

Anthony Burgess

# ROZPUSTNE NASIENIE



# ANTHONY BURGESS

# **ROZPUSTNE NASIENIE**

Przełożył z angielskiego i przypisami opatrzył: Robert Stiller

Wydanie oryginalne: 1962

Wydanie polskie: 2003

# Spis treści

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

[CZEŚĆ DRUGA](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[CZEŚĆ CZWARTA](#)

[CZEŚĆ PIĄTA](#)

[EPILOG](#)

[POSŁOWIE AUTORA](#)

[PRZYPISY](#)

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1

Było to w dniu poprzedzającym noc, kiedy uderzyły wreszcie noże urzędowego niezadowolenia.

Beatrice Joanna Foxe siąkała nosem, jak przystało na żalobną matkę, gdy mały trupek w żółtym plastikowym pojemniku przechodził w ręce dwóch pracowników Ministerstwa Rolnictwa (Departament Odzyskiwania Fosforu). Były to wesole stworzenia, o twarzach jak węgiel i uzębieniu jak śnieg, a jedno z nich śpiewało popularną od niedawna piosenkę. Ciągłe wygruchiwanie w telewizji przez powłóczyście obojnakich młodzieńców, niezbyt pasowała do tego męskiego głosu z głębokiej, basowej gardzieli z Wysp Karaibskich. W dodatku makabryczna.

*Mój przeuroczy Fred,  
Wszyscy się doń trzęsą,  
Od brzucha po grzbiet  
On jest moje mięso.*

Mały trupek nazywał się Roger, a nie Fred. Beatrice Joannie wyrwało się szlochanie, lecz tamten sobie dalej wyśpiewywał, nie przejmując się swym zajęciem, wobec którego ciąгла praktyka wytworzyła w nim pełnię beztroski.

– I po wszystkim – rzekł serdecznie dr Acheson, gruby wałach anglosaski. – Znowu kęs pięciotlenku fosforu dla Matki Ziemi. Chyba nawet nie pół kilo. Ale i to się przyda. – Tu śpiewak zamienił się w świstaka. Poświstując kiwnął głową i wręczył kwit. – Proszę wstąpić do mego biura, pani Foxe – uśmiechnął się dr Acheson. – Wydam pani kopię świadectwa śmierci. Zanieście ją pani do Ministerstwa Bezpłodności i wypłacą pani kondolencje. Gotówką.

– Ja chcę tylko mojego synka – zasiąkała.

– To przejdzie – odpowiedział jej radośnie dr Acheson. – Każdemu przechodzi. – Przyglądał się dobrodusznie, jak dwaj czarni wynoszą pojemnik na korytarz do windy. Ich ciężarówka czekała o dwadzieścia trzy piętra niżej. – Proszę o tym pomyśleć z narodowego, z globalnego punktu widzenia. Jedna gęba mniej do wyżywienia. Pół kilograma pięciotlenku fosforu dla głodnej ziemi. W pewnym sensie syn do pani wróci, pani Foxe. – Ruszył przodem do swego malutkiego gabinetu. – Panno Herschhorn – powiedział do sekretarki – proszę świadectwo śmierci. – Panna Herschhorn w typie germańsko-chińskim prędko wykwała dane do swego printofonu; ze slotu wysunął się wydruk; dr Acheson płynnym, kobiecym ruchem przybił swój podpis. – Proszę, pani Foxe – powiedział. – I naprawdę niech pani to weźmie na rozum.

– Na rozum – odparła cierpko – to ja widzę, że gdyby pan doktor się postarał, można było go zachować przy życiu. Ale pan uznał, że nie warto. Jedna więcej gęba do wyżywienia, bardziej przydatna Państwu jako fosfor. Och, wy wszyscy jesteście tacy bez serca. – Znowu się rozpląkała. Panna Herschhorn, brzydka chuda dziewczyna o psim spojrzeniu i czarnych, bardzo prostych włosach zrobiła minę do swego zwierzchnika. Wszyscy byli najwidoczniej przyzwyczajeni do takich spraw.

– Był już w ciężkim stanie – łagodnie rzekł dr Acheson. – Naprawdę staraliśmy się, jak Doga kocham. Ale takie zapalenie opon to sprawa galopująca, rozumie pani, galopująca. Poza tym – dodał z naganą – za późno go pani do nas przyniosła.

– Sama o tym wiem. To moja wina. – Chusteczka jej całkiem przemokła. – Jednak można go było uratować. Mój mąż tak samo uważa. Ale wy się już chyba nie troszczycie o ludzkie życie. Wy tu

wszyscy. Och, moje biedactwo.

– Owszem, troszczymy się o ludzkie życie! – odparł surowo dr Acheson. – Troszczymy się o zachowanie stabilizacji. Troszczymy się o to, żeby Ziemia nie padła ofiarą przeludnienia. Troszczymy się, żeby każdy miał co jeść. Proszę – głos mu złagodniał – iść teraz do domu i odpocząć. Idąc do wyjścia pokaże pani to świadectwo w Aptece i poprosi o coś na uspokojenie. No, już dobrze – poklepał ją po ramieniu. – Proszę być rozsądna. I nowoczesna. Taka inteligentna kobieta. Macierzyństwo proszę zostawić tym z dołów, oni do tego są. Oczywiście – uśmiechnął się – tego wymagają również od pani przepisy. Miała pani swój ustalony przydział. Z macierzyństwem dla pani koniec. Niech pani się postara zlikwidować w sobie uczucia macierzyńskie. – Znów ją poklepał i w ostatnim klepnięciu wyraził, że to koniec i basta. – A teraz przepraszam...

– Nigdy – rzekła Beatrice Joanna. – Nigdy wam tego nie przebaczę. Nikomu z was.

– Żegnam, pani Foxe! – panna Herschhorn włączyła mały dyktafon, który zaczął syntetycznym głosem, brzmiącym jak u psychopaty, recytować terminarz wizyt dra Achesona na popołudnie. Jego tłusty zad odwrócony był arogancko do Beatrice Joanny. Już po wszystkim: jej synek w drodze do przerobienia na pięciotlenek fosforu, a z niej tylko pieprzona, ślimacząca się zawalidroga. Wyszła z podniesioną głową na korytarz, pomaszerowała do windy. Ładna dziewczyna w wieku dwudziestu dziewięciu lat, ładna po dawnemu, w tym guście, którego w jej środowisku już nie akceptowano. Prosta czarna suknia bez wdzięku i wcięcia nie mogła ukryć jej ruchliwej wydatności w biodrach, obciskający stanik zaś nie potrafił do końca spłaszczyć jej znakomitego biustu. Włosy o barwie cydru nosiła, według mody, przycięte w grzywkę i proste; twarz upudrowaną zwyczajnie na biało; żadnych perfum, bo perfumy są wyłącznie dla mężczyzn; a jednak (i nawet przybladła od tego smutku) roztaczała wokół siebie jak gdyby żar i blask zdrowia, a co gorsza, jakby groźbę płodności. Było w Beatrice Joannie coś atawistycznego: wzdrygnęła się instynktownie na widok dwóch radiografistek w białych płaszczach, które wyszły z gabinetu na drugim końcu korytarza i poszły ociężale ku windzie, miłośnie do siebie uśmiechnięte, wpatrzone sobie w oczy i splecione palcami. Obecnie zachęcano do tego (wszystko i byle co, byle odwrócić seks od jego naturalnego celu) i po całym kraju nawoływały afisze Ministerstwa Bezpłodności, ukazujące, w ironicznych kolorkach dziecięcych, obejmującą się parę jednej lub drugiej płci z podpisem: *Skoro już Sapiens to Homo*. W Instytucie Homoseksu odbywały się nawet kursy wieczorowe.

Beatrice Joanna spojrzała z niesmakiem, wchodząc do windy, na chichoczącą parę w uścisku. Dwie białe kobiety były typami klasycznie dopełniającymi się: puszyste kociątko i krępe żabsko. Beatrice Joannie zebrało się na mdłości, odwróciła się plecami do całujących się. Na piętnastym piętrze winda zgarnęła wymuskanego dupiastego młodzieńca w modnym, dobrze skrojonym żakiecie bez klap, w obcisłych spodenkach do pół łydki i w kwiecistej koszuli z okrągłym dekoltem. Zwrócił ostre z niesmaku oczy na dwie miłośnice, z irytacją wzruszając ramionami, i z równym niesmakiem odął usta na pełną kobiecość Beatrice Joanny. Zaczął sobie szybkimi, wprawnymi ruchami poprawiać makijaż, wdzięcząc się, gdy wargi jego całowały szminkę, do swego odbicia w lustrze. Miłośnice zachichotały, nie wiadomo, z niego czy z Beatrice Joanny. – Co za świat! – pomyślała, gdy tak lecieli w dół. – Ale – zastanowiła się, spoglądając na niego ukradkiem lecz uważnie – może to chytra symulacja. Może ten młody człowiek, jak jej szwagier Derek, jak jej kochanek Derek, nieustannie odgrywa publicznie taką rolę i zawdzięcza swą pozycję i możliwości awansu temu oszustwu? Ale – znów nie mogła się pozbyć tej myśli, tak często ją nachodzącej – musi być coś z gruntu niezdrowego w mężczyźnie, który potrafi coś takiego choćby udawać. Ona z pewnością nigdy by nie potrafiła, nie mogłaby symulować obleśnych gestów homoseksualnej miłości, choćby od tego zależało jej życie. Świat oszalał; do czego to doprowadzi? Kiedy winda zjechała na parter, wetknęła

sobie torebkę pod pachę, znów podniosła do góry głowę i zebrała się w sobie do śmiałego skoku w ten obłąkany świat na zewnątrz. Z jakiegoś powodu drzwi windy zacięły się. – Coś podobnego! – oburzył się fircyk z wielką dupą, szarpiąc się z nimi, i w tej samej chwili odruchowego lęku przed zamknięciem w pułapce jej chora wyobraźnia przeistoczyła kabinę tej windy w żółty pojemnik z potencjalnym pięciotlenkiem fosforu. – Och – załkało jej się po cichu – mój biedny chłopczyk.

– Coś podobnego. – To młody goguś, jaskrawy od cyklamenu szminki na wargach, zaświergotał widząc jej łzy. Drzwi windy odpuściły i rozwarły się. Plakat na ścianie holu pokazywał dwóch mężczyzn w czułym uścisku. *Kochaj swego bliźniego!* brzmiał podpis. Przyjaciółki zachichotały na Beatrice Joannę.

– Niech was diabli – powiedziała, ocierając oczy. – Żeby wszystkich was diabli porwali. Jesteście nieczyści, otóż to, jesteście nieczyści.

Młodzieniec zachybotał się, wydając odgłos zgorszenia, i odfalował. Lesbijka jak żabsko opiekuńczo objęła ramieniem swą przyjaciółkę i przyjrzała się wrogo Beatrice Joannie. – Ja jej dam nieczyści – przemówiła ochryple. – Wytrę jej mordę o błoto, zobaczysz. – Och, Fredo – rzekła z uwielbieniem ta druga – jaka ty jesteś dzielna.

## 2

Kiedy Beatrice Joanna zjeżdżała na dół, jej mąż Tristram Foxe wjeżdżał na górę. Sunął w pomruku maszynerii na trzydzieste drugie piętro Szkoły Unitarnej (Męskiej) Londynu Południowego (Kanał) Rejon Czwarty. Licząca sześćdziesięciu uczniów Klasa Piąta (Rzut X-1) czekała na jego lekcję z historii współczesnej. Tylne ściany windy, na wpół zasłonięta cielskiem nauczyciela sztuki Jordana, przedstawiała mapę Wielkiej Brytanii, całkiem świeżą, nowe wydanie dla szkół. Ciekawe. Wielki Londyn, na wschód i na południe dochodzący do morza, wgryzł się jeszcze głębiej w Prowincje Północną i Zachodnią; jego nową granicę na północy stanowiła teraz linia biegnąca od Lowestoft do Birmingham; a na zachodzie w dół od Birmingham do Bournemouth. Powiadano, że chcący przenieść się z Prowincji do Wielkiego Londynu nie muszą się przeprowadzać; wystarczy poczekać. Same Prowincje ciągle jeszcze ukazywały stare granice hrabstw, ale diaspora, imigracja i mieszanki rasowe sprawiły, że narodowe określenia „Walia” i „Szkocja” straciły już dawną ścisłość.

Uczący matematyki w niższych klasach Beck mówił do Jordana: – Powinno się zlikwidować jedno albo drugie. Kompromis! ta nasza wieczna przypadłość, liberalny nałóg kompromisu! Siedem siódmaków to jedna gwinea, dziesięć szóstaków to korona, osiem półkoronówek to funt. Biedne młodziaki nie mogą się w tym połapać. My niczego nie umiemy wyrzucić, to nasz wielki grzech narodowy! – tu Foxe wysiadł, a stary łysoni Beck odjechał dalej bluzgając. Tristram ruszył do Klasy Piątej, wmaszerował, mrugnął do uczniów. Majowe światło z okna zwróconego ku morzu wybielało ich puste twarze, puste ściany. Rozpoczął lekcję.

– ...stopniowe sprowadzanie dwóch głównych, przeciwstawnych sobie ideologii politycznych do pojęć w istocie teologiczno-mitycznych. – Tristram nie był dobrym nauczycielem. Mówił za szybko dla swoich uczniów, używał terminów sprawiających im trudności ortograficzne, miał skłonność do mamrotania pod nosem. Klasa posłusznie usiłowała notować jego słowa w zeszytach. – Pelagianizm – powiedział – uważano niegdyś za herezję. Nazywano go nawet Herezją Brytyjską. Czy ktoś mi potrafi wymienić drugie z imion Pelagiusza?

– Morgan – rzekł przyszczaty chłopiec nazwiskiem Morgan.

– Tak jest. Obydwa imiona znaczą: człowiek morski. – Chłopiec siedzący za Morganem

zagwizdał przez zęby jakby na kobzie i dźgnął go w plecy. – Przestań – powiedział Morgan.

– Tak – podjął Tristram. – Pelagiusz pochodził z narodu, który niegdyś zamieszkiwał Prowincję Zachodnią. Był tym, co za dawnych, religijnych czasów nazywało się mnich albo zakonnik. Był mnichem. – Tristram podniósł się zwawo zza stolika i wyżółcił to słowo na niebieskiej tablicy, jak gdyby w obawie, że uczniowie go nie potrafią napisać. Usiadł z powrotem. – Pelagiusz sprzeciwił się doktrynie grzechu pierworodnego i twierdził, że człowiek może sam osiągnąć zbawienie. – Chłopcy łypali tępo. – Na razie nie przejmujcie się tym – pocieszył ich Tristram. – Zapamiętajcie tylko zawartą w tym sugestię, że człowiek może się doskonalić. Okazało się więc, że pelagianizm stanowił jądro liberalizmu i doktryn od niego pochodnych, zwłaszcza socjalizmu i komunizmu. Czy nie za szybko mówię?

– Tak, proszę pana! – zaszczekało i zakwiczało sześćdziesiąt załamujących się w mutacji głosów.

– Dobrze. – Tristram miał twarz łagodną, bez wyrazu, jak i ci chłopcy, z oczyma gorączkowo świecącymi zza szkieł kontaktowych. Włosy mu się kręciły po murzyńsku; zarastające skórki u nasady paznokci na wpół zakrywały sine półksiężyce. W wieku trzydziestu pięciu lat był już prawie od czternastu lat nauczycielem. Zarabiał mało co ponad dwieście gwinei miesięcznie, ale od śmierci Newicka spodziewał się awansu na kierownika Wydziału Nauk Społecznych. Oznaczałoby to znaczną podwyżkę pensji, a tym samym większe mieszkanie i lepszy start życiowy dla małego Rogera. Tu przypomniał sobie, że Roger nie żyje. – Dobrze! – powtórzył tonem sierżanta instruktora z czasów, kiedy nie nastał jeszcze Wieczny Pokój. – Natomiast Augustyn utrzymywał, że człowiek jest grzeszny z przyrodzenia i zbawiony być może jedynie przez łaskę Bożą. Okazało się, że to legło u podstaw konserwatyizmu i innych wstecznych przekonań politycznych, opartych na leseferyzmie. – Popatrzył radośnie na swoją klasę. – Pogląd, jak widzicie, całkiem odwrotny – podsumował zachęcająco. – Wszystko to jest właściwie proste.

– Ja tego nie chwytam, proszę pana – zagrzmiał duży i śmiały chłopak nazwiskiem Abney-Hastings.

– Bo rozumiecie – podjął zyczliwie Tristram – starzy konserwatyści nie spodziewali się po człowieku nic dobrego. Uważano, że człowiek jest z natury łapczywy, że chce mieć coraz więcej i więcej na własność, że jest istotą nie współdziałającą i samolubną, nie troszczącą się o rozwój społeczeństwa. Grzech to w gruncie rzeczy po prostu inny wyraz na określenie samolubstwa, panowie. Proszę o tym pamiętać. – Pochylił się do przodu, splatając dłonie i rękawami wjeżdżając po łokcie w żółty pył kredowy, pokrywający stolik jakby piaskiem naniesionym przez wiatr. – Co byście zrobili z samolubem? – zapytał. – Proszę mi odpowiedzieć.

– Dałoby mu się wycisk – odparł chłopiec o bardzo jasnej karnacji nazwiskiem Ibrahim ibn Abdullah.

– Nie – Tristram potrząsnął głową. – Żaden augustianin by tak nie postąpił. Jeśli spodziewacie się po człowieku wszystkiego, co najgorsze, nie możecie się rozczarować. A tylko rozczarowani uciekają się do przemocy. Pesymista, inaczej mówiąc augustianin, czerpie swego rodzaju posępną rozkosz z obserwacji, jak nisko człowiek może upaść w postępowaniu. Im więcej grzechu spostrzeża, tym bardziej potwierdza się jego wiara w grzech pierworodny. Każdy lubi potwierdzenia swych najgłębszych przekonań: to jedna z najtrwalszych ludzkich satysfakcji. – Tristrama jakby znudziły te banalne wywody. Przyjrzał się bacznie swojej sześćdziesiątce, rząd za rządem, jak gdyby dla rozrywki chciał wypatrzeć złe zachowanie; ale wszyscy siedzieli cicho i uważnie, jak złoto, jakby zależało im na potwierdzeniu tez pelagiańskich. Mikroradio na przegubie Tristrama bzyknęło trzy razy. Podniósł je do ucha. Rozległ się komarzy zaśpiew niby głosik sumienia: – Podczas pauzy



proszę przyjść do pryncypała – drobnutkie pykanie spółgłosek zwartych. W porządku. Pewnie o to chodzi, pewnie o to. Więc niebawem obejmie funkcję po tym biedaku, po Newicku, może nawet z wyrównaniem pensji za ubiegły okres. Na razie ujął się po adwokacku za brzegi wdzianka pod szyją, tam gdzie w epoce klap znajdowałyby się klapy marynarki. Podjął ze świeżym wigorem.

– Obecnie – rzekł – nie ma u nas partii politycznych. Przekonaliśmy się, że stara dychotomia mieści się w nas samych i nie wymaga jakiejś naiwnej projekcji w postaci sekt albo frakcji. My sami jesteśmy Bogiem i Diabłem, chociaż nie równocześnie. Na to stać co najwyżej Pana Livedoga będącego, rzecz jasna, po prostu fikcyjnym symbolem. – Tu wszyscy uczniowie się uśmiechnęli. Wszyscy bowiem uwielbiali *Przygody Pana Livedoga w Kosmikomiksie*. Pan Livedog (zwany też potocznie Żywopsem) to wielki komiczny demiurg, przysadzisty i *sufflaminandus* jak Shakespeare, płodzący wciąż niepożądane życie po całej ziemi. Przeludnienie to jego sprawka. Ale w żadnej z przygód nie udaje mu się na szczęście wygrać: Pan Homo, jego ludzki szef, uciera mu w końcu nosa.

– Teologia bazująca na przeciwstawnych doktrynach pelagiańskiej i augustiańskiej nic już nie znaczy. Wykorzystujemy te mitologiczne symbole tylko dlatego, że pasują one w szczególny sposób do naszej epoki, w coraz większym stopniu polegającej na czynniku wizualnym, obrazkowym, piktograficznym. Pettman! – krzyknął Tristram z nagłą uciechą. – Ty coś jesz. Co to za jedzenie na lekcji?

– Ja nic nie jem, proszę pana – usprawiedliwił się Pettman – ja bardzo przepraszam. – Miał skórę we fioletowawym odcieniu drawidyjskim i mocne rysy indiańskie. – To ten ząb. Ja muszę go ciągle ssać, proszę pana, żeby nie bolał, panie profesorze.

– Chłopiec w twoim wieku i żeby jeszcze miał zęby? – zdziwił się Tristram. – Zęby to atawizm. – Tu przerwał. Często powtarzał to samo Beatrice Joannie, mającej ich wyjątkowo świetny garnitur, górnych i dolnych. We wczesnym okresie ich małżeństwa sprawiało jej przyjemność gryzienie go w płatki uszu. – No przestań, kochanie. Oj, kochana, przecież to boli. – A jeszcze mały Roger. Biedny mały Roger. Westchnął, po czym wrócił do lekcji.

### 3

Beatrice Joanna zdecydowała, że mimo splątanych w kłębek nerwów i łupania w potylicy nie życzy sobie z Apteki nic na uspokojenie. Nie chciała już niczego więcej od Państwowej Służby Zdrowia, dziękuję bardzo. Nabrała w płuca powietrza, jak przed zanurkowaniem, po czym wbiła się w masę ludzką wypełniającą obszerny przedsionek szpitala. Cała ta mieszanina pigmentacji, wskaźników czaszkowych, nosów i warg stwarzała pozór jakiejś monstrialnej poczekalni międzynarodowego portu lotniczego. Dopchała się do schodów i przystanęła u ich szczytu, chłonąc czyste powietrze ulicy. Czasy prywatnego transportu już niemal dobiegły końca; po ulicy zatłoczonej przez pieszych sunęły już tylko państwowe furgonetki, limuzyny i mikrobusy. Zapatrzyła się wzwyż. Budynki o niezliczonych piętrach parły w majowe niebo, błękitnawe jak kacze jajo powleczone macicą perłową. Zapieczone i obrane ze skorupki. Jakby posiniałe i oszroniałe na wysokości. Przetrwało tylko następstwo pór roku, ich wieczne powtarzanie się w koło. Ale w tym nowoczesnym świecie koło też zamieniło się w emblemat znieruchomienia, ograniczoności globu, więzienia. Tam w górze, na wysokości co najmniej dwudziestu pięter, na fasadzie Instytutu Demografii, widniała płaskorzeźba koła z linią prostą na styk. Był to symbol upragnionego zwycięstwa nad problemem przeludnienia: długość tej prostej, zamiast rozciągać się od nieskończoności w nieskończoność, równała się obwodowi koła. Stagnacja. Zrównoważenie ludności globu i globalnych zasobów żywności. Jej mózg to akceptował, ale jej ciało, będące ciałem osierociałej matki, krzyczało: nie,

nie! Wszystko to było zaprzeczeniem tyłu spraw: bluźnierstwem przeciw życiu w imię rozumu.

Tchnienie morza przeszło jej po lewym policzku.

Poszła w kierunku południowym ulicą wielkiego Londynu, gdzie sama szlachetność zawrotnej wyniosłości murów i metalu jakby odpłacała się za wulgarność znaków i haseł. *Syrop Złoto Słońca. Narodowe Stereo TV. Syntelingua.* Przedzierała się pod prąd w tłumie jednolicie zmierzającym na północ. Spostrzegła większą niż zwykle obfitość mundurów: policjantów i policjantek na szaro, często nieporadnych, jakby ze świeżego zaciągu. Szła przed siebie. Na końcu ulicy, jakby wizja czegoś normalnego, zamigotało morze. Było to Brighton, administracyjne centrum Londynu, jeśli wyrazem centrum określić można linię wybrzeża. Beatrice Joanna kroczyła tak żwawo, jak to było możliwe w prącym na północ tłumie, zmierzając ku chłodnej zielonej wodzie. Jej widok, dostrzeżony w tym wąskim i zawrotnym wąwozie, zawsze był obietnicą czegoś normalnego i rozległego, wolności, ale rzeczywiste wyjście na brzeg morza zawsze okazywało się rozczarowaniem. Co jakieś sto metrów pojawiała się tu krzepkie molo, zabudowane gmachami urzędów albo mieszkalnymi mrowiskowcami, pchającymi się w stronę Francji. Jednak odczuwało się czyste, słone tchnienie, które łapczywie chłoneła. Intuicyjnie żywiła przekonanie, że jeśli istnieje Bóg, to przebywa na morzu. Przestrzeń morza mówiła o życiu, szeptała lub krzyczała o płodności; ten głos nigdy nie dał się całkowicie stłumić. Żeby chociaż – takie owładnęło nią zwariowane uczucie – biedne ciało Rogera można było wrzucić do tych tygrysyich wód, żeby je poniosły rybom do obgryzania, a nie przetwarzać go tak oziębłe na chemikalia i milczący pokarm dla ziemi. Obląkany instynkt mówił jej, że ziemia umiera, że wkrótce morze stanie się ostatnią skarbnicą życia. „Rozległe morze, obdarzone szaleństwem, lamparcia skóra i płaszcz dziurawione przez tysiące bożków słonecznych...” Wyczytała gdzieś taki przekład z tekstu w jednym z pomocniczych języków europejskich. „Morze pijane swym niebieskim mięsem, smok gryzący się w ogon.”

– Morze – odezwała się po cichu, gdyż promenada przybrzeżna była równie zatłoczona jak ulica, z której dopiero co wyszła. – Morze, pomóż nam. Jesteśmy ciężko chorzy, morze! Przywróć nam zdrowie, przywróć nas do życia.

– Co proszę? – odezwał się podstarzały Anglosas, wyprostowany, ogorzały, piegowaty, z siwym wąsem: w czasach wojskowych z miejsca uznano by go za byłego żołnierza. – Czy pani do mnie?

– Przepraszam. – Zarumieniwszy się pod swym białym jak mąka pudrem, Beatrice Joanna czym prędzej odeszła, instynktownie kierując się na wschód. Odruchowo podniosła oczy na olbrzymi spiżowy posąg, który stał wyzywająco, stercząc na półtora kilometra w powietrze, na szczycie Siedziby Rządu: brodacz w antycznym stroju, wpatrzony w słońce. W nocy oświetlony reflektorami. Gwiazda przewodnia dla statków, człowiek morza, Pelagiusz. Ale Beatrice Joanna pamiętała czasy, w których był to święty Augustyn. A podobno jeszcze dawniej miał to być król tego kraju, premier, popularny brodaty gitarzysta, Eliot (dawno zmarły piewca bezpłodności), Minister Zarybiania, kapitan jedenastki Męskiej Świętej Gry z Hertfordshire albo – jak ludzie mówili najczęściej i z największą satysfakcją – wielki nieznajomy, Anonimowy Czarodziej.

Obok Siedziby Rządu, bezwstydnie świecąc oknami na płodne morze, stał bardziej przysadzisty, skromniejszy, liczący tylko dwadzieścia sześć piętrowy budynek Ministerstwa Bezpłodności. Nad jego portykiem widniało nieodzowne koło niewinnie całujące się ze stycznią, jak również wielka płaskorzeźba nagiej, bezpłciowej postaci tłukącej jajka. Beatrice Joanna pomyślała, że mogłaby zainkasować należne jej (tak nazywane cynicznie) kondolencje. Byłby to powód, aby wejść do budynku i pretekst, aby pokręcić się po jego przedsionku. A nuż spotka *jego*, wychodzącego z pracy? Wiedziała, że w tym tygodniu jest na zmianie A. Zanim przekroczyła promenadę, spojrzała na

krzątający się tłum niemalże nowymi oczyma: czyżby oczyma morza? Otóż i Brytyjczycy – a ściślej mówiąc, ludność zamieszkująca Wyspy Brytyjskie – z przewagą Eurazjatów, Eurafrykanów, Europolinezyjców – w słońcu szczerze oświetlającym ich karnacje śliwkowe, złociste, nawet brunatne; jej własna brzoskwiniowa cera, zamaskowana białą mączką, stała się rzadkością. Podziały etniczne już się nie liczyły; świat dzielił się na grupy językowe. Czyżby od niej właśnie – pomyślała w przyływie niemal proroczego uświadomienia – i od niewielu takich jak ona niewątpliwych Anglosasów zależeć miało powstrzymanie tego szaleństwa i przywrócenie godności skundlonemu światu? Coś jakby przypominała sobie, że jej rasa czyniła to już niejednokrotnie.

#### 4

– Jednym z osiągnięć rasy anglosaskiej – rzekł Tristram – był parlamentaryzm, oznaczający w końcu rządy którejś partii. Kiedy wreszcie zrozumiano, że działalność rządu może być bardziej efektywna bez dyskusji i bez opozycji, nieodłącznych od rządów partyjnych, zaczęto uświadamiać sobie naturę *cyklu*. – Podeszedł do niebieskiej tablicy i żółtą kredą narysował na niej wielkie, niezgrabne koło. – Otóż – powiedział, odwracając głowę i spoglądając na uczniów – cykl działa następująco. – Zaznaczył trzy łuki. – Tu mamy fazę pelagiańską. Następnie mamy fazę przejściową. – Jego kreda pogrubiała najpierw jeden łuk, a potem drugi. – Prowadzi ona do fazy augustiańskiej. – Znowu pogrubienie i kreda powróciła do punktu wyjścia. – Pelfaza, Interfaza, Gusfaza, Pelfaza, Interfaza, Gusfaza i tak dalej. W kółko i bez końca. Taki rodzaj wiecznego walca. Teraz musimy się zastanowić: cóż to za siła napędowa sprawia, że koło się obraca? – Zwrócił się z powagą do swojej klasy, otrzepując sobie dłón o dłón z kredy. – Najpierw przypomnijmy, na czym polega pelagianizm. Rząd działający w fazie pelagiańskiej opiera się na przekonaniu, że człowieka można udoskonalić, że osiągnie on doskonałość swoim własnym wysiłkiem i że do całkowitej doskonałości zmierza się drogą prostą. Człowiek pragnie być doskonały. Chce być dobry. Obywatele danej wspólnoty pragną współpracować z rządzącymi, więc w istocie niepotrzebne są środki przymusu, sankcje, które by zmuszały ich do współdziałania. Prawa oczywiście są potrzebne, bo żadna jednostka, choćby nie wiem jak dobra i chętna do współpracy, nie może dokładnie znać potrzeb wspólnoty. Prawa wskazują drogi do wyłaniającego się modelu społecznej doskonałości: one są przewodnikiem. Lecz ze względu na podstawową tezę, że obywatel pragnie zachowywać się jak dobre zwierzę społeczne, a nie jak samolubna bestia pustosząca lasy, zakłada się posłuszeństwo dla prawa. Dlatego państwo pelagiańskie nie widzi konieczności, aby konstruować zawiły aparat karny. Jeżeli naruszysz prawo, powiedzą ci, żebyś tego na przyszłość nie robił, albo wymierzą ci parę koron grzywny. Jeżeli okazujesz się nieposłuszny, nie wynika to z Grzechu Pierworodnego i nie jest żadną istotną cechą tkaniny ludzkiej. Tylko skazą, której pozbedziemy się gdzieś po drodze do ludzkiej doskonałości. Czy to jasne?

Wielu uczniów pokiwało głowami: zwiślało im, czy rozumieją jego wypowiedź, czy nie rozumieją.

– Otóż w pelagiańskiej fazie, czyli w Pelfazie, wydaje się, że wielkie liberalne marzenia dadzą się spełnić. Zanika grzeszny popęd łapczywości, brutalne żądze podporządkowuje się kontroli rozumu. Na przykład dla prywaciarza, kapitalisty, dla tego symbolu chciwości w cylindrze, nie ma miejsca w pelagiańskim społeczeństwie. Toteż Państwo kontroluje środki produkcji, Państwo jest jedynym pracodawcą. Lecz wola Państwa to wola obywateli, więc obywatel pracuje dla samego siebie. Nie sposób wyobrazić sobie szczęśliwszy rodzaj egzystencji. Pamiętajcie jednak – Tristram zniżył głos do ekscytującego niemalże szeptu – pamiętajcie, że aspiracje zawsze trochę wyprzedzają

rzeczywistość. A co niszczy marzenia? Co je niszczy, ha? – Wykonał zniemacka wielki werbel na biurku, coraz to głośniej wykrzykując: – Rozczarowanie. *Rozczarowanie*. ROZCZAROWANIE! – Oblicze jego rozpromieniło się. – Rządzący – podjął umiarkowanym tonem – są rozczarowani, kiedy stwierdzą, że ludzie nie są tak dobrzy, jak im się wydawało. Pograżeni w swoich snach o doskonałości, spostrzegają ze zgrozą, że pieczęć została naruszona i nagle widzą, jacy ludzie są naprawdę. Wtedy rodzi się konieczność spróbowania, czy uda się narzucić obywatelom dobro przemocą. Więc wbija się im do głowy prawa, brutalnie i pośpiesznie kleci się system egzekwowania tych praw. Rozczarowanie otwiera perspektywy chaosu. Irracjonalne. Paniczne. Rozum przestaje działać, wkracza grube prostactwo. Brutalność! – wykrzyczał Tristram. Klasę wreszcie to zaciekało. – Bicie. Tajna policja. Tortury w jasno oświetlonych piwnicach. Skazywanie bez sądu. Wyrwanie paznokci obcęgi. Łoże do rozciągania. Tortura wodna. Wyłupywanie oczu. Plutony egzekucyjne o porannym chłodzie. Wszystko to z powodu rozczarowania. Interfaza! – Uśmiechnął się bardzo przyjemnie do swoich uczniów. Klasa wyczekiwała kolejnych przykładów okrucieństwa. Z błyszczącymi oczyma, wybałuszeni, z rozdziawioną gębą.

– A co to jest, panie profesorze – spytał Bellingham – tortura wodna?

## 5

Beatrice Joanna, mając za sobą przestwór chłodnej, życiodajnej wody, wstąpiła w otwartą paszczę Ministerstwa, woniejącą jak usta dokładnie wypłukane środkiem odkażającym. Przepchała się łokciami do biura pyszniącego się napisem: KONDOLENCJE. Przy kontuarze czekało mnóstwo osieroconych matek, niektóre z nich – odzywające się tonem jakby nieodpowiedzialnym – ścisnęły świadectwa zgonu jak przepustki do lepszych czasów. Zajeżdżało wonią taniego alkoholu – zwanego spirt – i Beatrice Joanna rozpoznawała wymięte cery i krwią podbiegłe oczy nałogowych alkoholiczek. Dawno minęły czasy zastawiania w lombardzie żelazka; Państwo nie sprzeciwiało się dzieciobójstwu.

– Udusił się w pościeli. Miał akurat trzy tygodnie jak obszył.

– Mój się poparzył. Ściągnął na siebie gotujący się czajnik. – Mówiąca uśmiechnęła się jak gdyby z dumą, jakby dziecko jej wykazało się szczególną bystrością.

– Wypadł z okna, a jak? Bawił się, nie?

– Forsa jak znalazł.

– A pewnie, przyda się człowiekowi.

Piękna dziewczyna z Nigerii odebrała od Beatrice Joanny świadectwo zgonu i poszła do centralnie umieszczonej kasy. – Bóg zapłać, panienko – dziękowała jakaś wiedźma, z wyglądu sądząc, od dawna już bezpłodna. Poskładała banknoty, otrzymane od urzędniczki, tej Euroafrykanki. – Bóg zapłać, panienko. – Niezdarnie licząc monety, wyczłapała uszczęśliwiona. Staroświecki zwrot wywołał uśmiech na twarz urzędniczki: w tych czasach imię Boga nieczęsto można było usłyszeć.

– Bardzo proszę, pani Foxe. – Ładna Nigeryjka wróciła. – Sześć gwinei i trzy siódmaki. – Beatrice Joanna nie zadała sobie fadygi, aby spytać, jak ta suma została wyliczona. Z nagłym poczuciem winy, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, pośpiesznie zgarnęła pieniądze do torebki. Moneta wartości trzech szylingów, zwana siódmakiem, błysnęła po trzykroć, wrzucana do portmonetki: król Karol VI w postaci trojaczków, ironicznie uśmiechnięty w lewo. Król i królowa nie podlegali tym samym prawom rozplodu co zwyczajni obywatele: w ubiegłym roku zginęły trzy księżniczki, wszystkie w jednej katastrofie lotniczej; trzeba było wszak zatroszczyć się o następstwo tronu.

*Nie miej ich więcej!* apelował plakat. Beatrice Joanna gniewnie przepchała się do wyjścia. Stała w przedsionku, czując się rozpaczliwie samotna. Pracownicy w białych fartuchach, skrzętni i ruchliwi jak plemniki, wpadali do Wydziału Badań Antykoncepcyjnych. Windy pędziły w górę i na dół, na rozmaite piętra Wydziału Propagandy i z pięter. Beatrice Joanna czekała. Wokół niej pełno mężczyzn i półmężczyzn, rozszczebiotanych i sepleniących. Wreszcie pojawił się – czego mogła się poniekąd spodziewać o tej właśnie godzinie – jej szwagier Derek, jej skryty kochanek Derek, z tęczką pod pachą. Pograżony w ożywionej rozmowie z fircykowatym kolegą, błyskający pierścionkami, kiedy wywodził punkt po punkcie, prostując rozmigotane palce. Patrząc na to świetne naśladownictwo zachowania się w stylu przepisowo pedalskim (w jego aspektach wtórnych czyli towarzyskich) nie potrafiła do końca stłumić iskierki obrzydzenia, budzącej się odruchowo w jej łędźwiach. Słyszała poczymchującą emfazę jego wypowiedzi; jego ruchy miały wdzięk jak u tancerza. Nikt nie wiedział, nikt oprócz niej, co za lubieżny satyr czai się pod tym naskórkowym wyglądem. Mnóstwo ludzi spodziewało się, że zajdzie bardzo wysoko w hierarchii Ministerstwa. Gdybyż tylko wiedzieli – przemknęła jej złośliwa myśl – jego koledzy, gdyby domyślali się jego zwierchnicy! Łatwo mogłaby go zrujnować. Ale czy mogłaby? Oczywiście, że nie. Derek to nie taki rodzaj człowieka, który by się pozwolił zrujnować.

Stała tak, czekając, z założonymi przed sobą rękoma. Derek Foxe pożegnał się z kolegą – *Cóż za wspaniały pomysł, mój kochany! Obiecuję ci, że jutro musimy sobie nad tym posiedzieć!* – i po trzykroć klepnął go na pożegnanie w pośladek. Po czym spostrzegł Beatrice Joannę, rozejrzał się bacznie i podszedł. Z wyrazu oczu nikt by się domyślił. – *Halloo!* – powiedział, wdzięcząc się. – *Cóż tam nowego?*

– Umarł dzisiaj rano. Teraz jest – zapanowała nad sobą – w rękach Ministerstwa Rolnictwa.

– *Moje kochanie.* – Powiedział to głosem kochanka, jak mężczyzna do kobiety. Rozejrzał się ukradkiem i wyszeptał: – *Lepiej nie pokazujemy się razem. Mogę do ciebie zajrzeć?* – Zawahała się i kiwnęła głową. – *O której mój braciszek wraca dzisiaj do domu?* – zapytał.

– *Najwcześniej o siódmej.*

– *Przyjdę. Muszę być ostrożny.* – Uśmiechnął się po pedalsku do przechodzącego kolegi, z głową w loczkach jak Disraeli. – *Dzieje się coś dziwnego* – powiedział. – *Chyba mnie śledzą.*

– *Ty zawsze jesteś ostrożny, prawda?* – odezwała się troszkę za głośno. – *Zawsze taki cholernie ostrożny.*

– *Och, proszę ciszej* – wyszeptał. – *Popatrz* – wymówił to z lekką irytacją. – *Widzisz tego człowieka?*

– *Którego?* – W przedsionku było ich pełno.

– *Małego z wąsem. Widzisz go? To Loosley. Jestem pewien, że mnie obserwuje.* – Wypatrzyła, kogo miał na myśli: drobny, jakby zagubiony człowieczek z przyłożonym do ucha przegubem, jak gdyby sprawdzał, czy zegarek mu nie przestał cykać, a naprawdę wsłuchujący się w mikroaparat radiowy, trochę na uboczu od rojącego się tłumu. – *Idź do domu, kochana* – rzekł Derek Foxe. – *Przyjdę mniej więcej za godzinę.*

– *Powiedz mi to* – zażądała Beatrice Joanna. – *Powiedz mi, zanim odejdę.*

– *Kocham cię* – wymówił samym ruchem ust, jakby przez okno. Co za sprośne słowa, gdy wypowiada je mężczyzna do kobiety w tej siedzibie antymiłości. Twarz wykrzywiła mu się, jakby gryzł ałun.

– Ale Interfaza – ciągnął Tristram – oczywiście nie może trwać wiecznie. – Wykrzywił twarz w maskę, będącą wyrazem szoku. – Następuje szok – powiedział. – Rządzący są zaszokowani rozmiarami swych własnych wybryków. Uświadamiają sobie, że myśleli po heretycku: jaki człowiek jest grzeszny, zamiast o tym, że jest z natury dobry. Łagodzą więc represje i wynika z tego kompletny chaos. Ale rozczarowanie teraz już sięgnęło dna. Jego szok już nie może skłonić Państwa do działań represyjnych, więc pojawia się coś na kształt filozofii pesymizmu. Inaczej mówiąc: osuwamy się w fazę augustiańską, czyli w Gusfazę. Zaczyna obowiązywać pogląd, że człowiek to stworzenie grzeszne, po którym nie można się spodziewać w ogóle nic dobrego. Czyli odmienne urojenie, proszę panów, urojenie, które znów przeważa nad rzeczywistością. W końcu wychodzi na to, że zachowania społeczne człowieka są jakby lepsze, niż mógłby się spodziewać jakikolwiek augustiański pesymista, więc zaczyna się wyłaniać coś na kształt optymizmu. W rezultacie powraca pelagianizm. I znowu znajdujemy się w Pelfazie. Koło wykonało pełny obrót. Czy są pytania?

Billy Chan podniósł rękę i zapytał: – A czym wylupuje się oczy, panie profesorze?

Tu rozległy się przeraźliwe dzwonki, zabrzmiały gongi, sztuczny głos rozwrzeszczał się z głośników: – Zmiana, zmiana, wszyscy przechodzą, zmiana. Pięćdziesiąt sekund do zmiany. Zaczyna się odliczanie. Pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć, czterdzieści osiem... – Tristram pozdrowił uczniów samym ruchem ust, w tym hałasie nic nie dałoby się usłyszeć, i wyszedł na korytarz. Chłopcy pędzili na lekcje muzyki konkretnej, astrofizyki, mowy kontrolowanej. Odliczanie ciągnęło się rytmicznie: – Trzydzieści dziewięć, trzydzieści osiem... – Tristram podszedł do windy dla personelu i nacisnął guzik. Lampki pokazywały, że kabina już mknie z najwyższego piętra (pracownie artystyczne o wielkich oknach; wykładowca sztuki Jordan, jak zwykle, pierwszy na starcie). Wskaźnik błyskał: 43... 42... 41... 40... – Dziewiętnaście, osiemnaście, siedemnaście... – Rytm wyliczanki zamienił się w anapesty, a następnie w trocheje. Winda zatrzymała się i Tristam wsiadł. Jordan opowiadał swemu koledze Mowbrayowi o nowych kierunkach w malarstwie, jakby rozdawał nieciekawe karty: Zwiagincew, Abrahams, F.A. Cheel. – Współbrzmienie plazmatyczne – wygłaszał Jordan. Pod niektórymi względami świat w ogóle się nie zmienił. – Trzy, dwa, jeden, zero. – Głos zamilkł, lecz na każdym kolejnym piętrze (18... 17... 16... 15...) ukazującym się oczom Tristrama roiło się od chłopców, którzy jeszcze nie dotarli do swoich klas, po niektórych widać było, że nawet się nie śpieszą. Pelfaza. Nikt nie próbuje wyegzekwować obowiązujących zasad. Rzecz się dokonała. Mniej lub więcej. 4... 3... 2... 1. Parter. Tristram wyszedł z windy.

## 7

Beatrice Joanna weszła do windy w Spurgin Building przy Rossiter Avenue. 1... 2... 3... 4... Wjechała na czterdzieste piętro, gdzie czekało ich malutkie mieszkanko, już bez synka. Mniej więcej za pół godziny zjawi się Derek; odczuwała rozpaczliwą potrzebę, aby się pocieszyć w jego ramionach. Czyżby Tristram nie był wyposażony w to samo, co jej potrzebne? Nie, jednak nie to samo. Ciało kieruje się swoją własną, osobliwą logiką. Był taki czas, że dotknięcie Tristrama sprawiało jej przyjemność, wstrząsało nią, doprowadzało do ekstazy. Ale to skończyło się już dawno temu... ściśle mówiąc, zaraz po narodzinach Rogera, jak gdyby spółczenie go było jedyną funkcją Tristrama. Miłość? Wydawało jej się, że wciąż jeszcze kocha Tristrama. Był taki łagodny, uczciwy, delikatny, wielkoduszny, wyrozumiały, życzliwy, nieraz dowcipny. Lecz kochała tego Tristrama z bywalni, a nie tego w łóżku. A czy kocha Derka? Na razie nie odpowiedziała sobie na to pytanie. 26... 27... 28... Pomyślała: jakie to dziwne, ta wspólnota ciała ich obu! Ciało Tristrama stało się padliną; ciało jego starszego brata to istny ogień i lód, rajski owoc, nieopisanie rozkoszny i

podniecający. Doszła do wniosku, że jest zakochana w Derku, ale chyba go raczej nie kocha. 30... 31... 32... Powiedziała sobie, że kocha Tristrama, chociaż nie jest w nim zakochana. Czyli że jak dotąd kobieta potrafi myśleć (jak na początku) za pomocą swoich instynktów, swego (jak obecnie) zawilego systemu nerwowego, oraz (tak będzie zawsze) swych narządów wewnętrznych (ich bezkresnego świata). 39... 40. Amen.

Beatrice Joanna dzielnie otworzyła kluczem swe mieszkanie i wstąpiła w znajomy zapach Anaphro (odświeżacz powietrza, opracowanego przez chemików z Ministerstwa, w którym pracował jej kochanek, który to odświeżacz maszyna umieszczona w piwnicy rozprzodzała rurami po całym bloku) i szum lodówki. Chociaż w gruncie rzeczy brakowało jej skali porównawczej, za każdym razem, kiedy tu wchodziła, szokowała ją i przerażała ciasnota tej przestrzeni życiowej – standartowej dla ludzi w ich grupie zarobków – sypialnia jak pudełko, kuchenka jak trumna, łazienka, w którą trzeba się wciskać niemalże jak w sukienkę. Bywalnia miała rozmiar dwóch dużych kroków, a te można uczynić tylko dlatego, że całe umeblowanie kryje się w suficie i ścianach, wysuwane w razie potrzeby za naciśnięciem guzika. Beatrice Joanna wydobyła w ten sposób krzesło, tak iż pojawiło się niechętnie kanciaste, niesympatyczne siedzonko. Zmęczona, usiadła z westchnieniem. *Dysk Codzienny* połyskiwał jeszcze, jak płaskie czarne słoneczko, zatknięte na ścianie. Włączyła jego sztuczny głos, bezpłciowy i bez wyrazu. „Trwa strajk w Państwowych Zakładach Syntemleku. Wezwania do pracowników, aby podjęli pracę, pozostały bez skutku. Przywódcy strajku nie chcą odstąpić od swego żądania podwyżki o koronę i trzy szóstaki dziennie. Dokerzy w Southampton, solidaryzując się ze strajkującymi, odmawiają wyładunku importowanego syntemleku.” Beatrice Joanna przesunęła strzałkę na Pasma KobiECE. Tym razem prawdziwie kobiecy głos – aż piszczący od kwaśnego zachwyty – przemawiał za dalszą redukcją sylwetki biustu. Wyłączyła. Nerwy miała wciąż rozdygotane, w potylicy ciągle waliło jakby młotkiem. Rozebrała się i wzięła kąpiel w miednicy zwanej wanną. Oprószyła sobie ciało zwyczajnym, bezwonnym, białym pudrem i nałożyła szlafrok utkany z jakiegoś wprowadzonego niedawno, długiego łańcucha polimerów amidku. Podeszła do umieszczonego w ścianie panelu przycisków i przełączników, sprawiając, że para metalowych ramion łagodnie opuściła z zagłębienia w suficie plastikową szafkę. Wyjęła z niej brązową buteleczkę i wytrząsnęła dwie tabletki. Popiła je wodą z papierowego kubka, wrzuciła pusty kubek do dziury w ścianie, skąd poleciał do pieca w piwnicy. I czekała.

Derek spóźniał się. Ją to zniecierpliviło. Nerwy jej ciągle drgały, w głowie dudniło. Ogarnęły ją przecucia śmierci, zagłady; po czym, narzucając sobie rozumne myślenie, niby jakiś obcy i ciasny pancerz, stwierdziła, że te przecucia to chandra po wydarzeniach, które już minęły i nie dadzą się odrobić. Zażyła jeszcze dwie tabletki i wyprawiła następny kubek na atomizację w płomieniach. Po czym, nareszcie, rozległo się pukanie do drzwi.

## 8

Tristram zapukał do drzwi sekretarki pryncypała, oznajmił, że nazywa się Foxe i że pryncypał go wezwał. Ponaciskano guziki; zamigotały ponad drzwiami światelka; Tristramowi kazano wejść.

– Zapraszam, bracie Foxe – wykrzyknął Joscelyne.

Sam wyglądał trochę na lisa, a z pewnością nie na franciszkanina. Łysy, z tikami na twarzy i dobrym stopniem z uniwersytetu w Pasadenie. Sam jednak pochodził z Sutton w Zachodniej Wirginii, a chociaż po lisiemu zbyt skromny, aby się nad tym rozwodzić, blisko spokrewniony z Wysokim Komisarzem Terytoriów Ameryki Północnej. Jednakże stanowisko pryncypała otrzymał za niewątpliwe zasługi. Za to i za życie nienagannie bezpłciowe. – Siadaj, bracie Foxe – zagaił

Joscelyne. – Siadajże. Poczęstuj się kawką. Gościnnie wskazał naczynie z tabletkami kofeinowymi, stojące na podkładce z bibuły. Tristram uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Daje ci czadu, kiedy go najbardziej potrzeba – rzekł Joscelyne, biorąc dwie. Po czym zasiadł przy biurku. Odblask południowego morza lśnił na długim nosie, niebieskawym ryju, na ustach szerokich i ruchliwych, na twarzy przedwcześnie pomarszczonej. – Nagrałem pańską lekcję – powiedział, ruchem głowy wskazując najpierw tablicę rozdzielczą na białej ścianie, a potem głośnik na suficie. – Uważa pan, że do dziatwy dociera wiele z takich zagadnień?

– Nie spodziewam się, aby za dużo z tego rozumieli – rzekł Tristram. – Po prostu, wie pan, ogólne pojęcie i tyle. To jest w programie, ale na egzaminach nigdy się nie pojawia.

– Tak, tak, no chyba. – Pryncypała w gruncie rzeczy to nie obchodziło. Obracał w palcach teczkę z szarym grzbietem, jego teczkę: Tristram widział napis FOXE do góry nogami na okładce. – Szkoda starego Newicka – rzekł Joscelyne. – Był całkiem niezły. A teraz został z niego pięciotlenek fosforu gdzieś w Zachodnich Prowincjach. Ale spodziewam się, że maszeruje wciąż jego duch-wtrącił ogólnikowo. I czym prędzej dorzucił: – Mam na myśli, że tutaj, w szkole.

– Tak, tak, oczywiście. W szkole.

– No tak. Otóż – powiedział Joscelyne – pan był jak najbardziej odpowiedni na jego następcę. Przystudiowałem dzisiaj pańskie akta... – *Był*. Tristram przełknął gorzką pigułę zaskoczenia. *Był*, powiedział szef, *był*. – Niezła lektura. Wykonał pan tu kawał dobrej roboty, to widać. I jest pan najstarszy na wydziale. Należałby się panu awans na to stanowisko i kropka. – Odchylił się na oparcie, przyłożył czubek kciuka do czubka drugiego kciuka – a potem mały palec, serdeczny, środkowy, wskazujący – czubek stykał się z czubkiem. Przy tym twarz mu drgała. – Pan rozumie – przemówił – że nie ode mnie zależy obsadzanie tych wakansów. To robi zarząd. Do mnie należy wyłącznie rekomendacja. Tak, rekomendacja. Otóż ja wiem, że to brzmi absurdalnie, ale w naszych czasach przyznanie pracy nie jest w pierr...wszym rządzie kwestią kwalifikacji. Bynajmniej. Nie w tym rzecz, ile kto zaliczył stopni naukowych ani jak się sprawdza w tym, co robi. Rozstrzygające jest – a używam tego zwrotu w sensie jak najbardziej ogólnym – jego zaplecze rodzinne. Otóż to.

– Ależ – zaczął Tristram – moja rodzina...

Joscelyne uniósł dłoń gestem zatrzymującym ruch. – Nie o to mi chodzi, jakie pańska rodzina ma w świecie osiągnięcia – zaznaczył. – Chodzi o to, ile tej rodziny jest. Albo było. – Tik przebiegł mu po twarzy. – To kwestia arytmetyki, nie eugeniki czy pozycji społecznej. Przecież wiem równie dobrze jak ty, bracie Foxe, że wszystko to brednie. Ale tak już jest. – Jego prawa dłoń nagle podfrunęła, zawisła w powietrzu, po czym spadła na biurko jak ciężki przycisk. – Z przedstawionych tu faktów – co zabrzmiało jakby *fucked off* – wynika... wynika... o, tutaj: że było was czworo. Siostra w Chinach (zatrudniona w Globalnym Rejestrze Demograficznym, prawda?) i brat, któż by to pomyślał! w Springfield, Ohio. Znam dobrze to miasto. I oczywiście tutejszy Derek Foxe, homo i na wysokim stanowisku. A ty, bracie Foxe, jesteś żonaty. I masz dziecko.

Popatrzył na Tristrama ze smutkiem.

– Już nie mam. Mój syn dzisiaj rano umarł w szpitalu. – Tristramowi zadrżała wysunięta dolna warga.

– Aha, umarł? No dobrze. – Kondolencje miały obecnie znaczenie wyłącznie pieniężne. – Młody, prawda? Jeszcze malutki. Niedużo pięciotlenku fosforu z tego wynikło. Ale jeśli o pana chodzi, jego śmierć nie zmienia pańskiej sytuacji. – Joscelyne mocno ścisnął dłonie, jak gdyby chciał w modlitwie unieważnić ojcostwo Tristrama. – Jeden poród na rodzinę. Żywe czy umarłe. Pojedyny, dwojaczki, trojaczki. Bez różnicy. Otóż – zapewnił – pan nie naruszył żadnego prawa. Nie zrobił pan nic takiego, czego teoretycznie zrobić pan nie powinien. Wolno panu się ożenić, jeżeli



pan tego chce, wolno panu mieć jeden poród w rodzinie, chociaż najlepsi z ludzi, oczywiście, tego nie robią. Po prostu nie robią.

– Cholera – powiedział Tristram – cholera ciężka, ktoś musi podtrzymywać istnienie gatunku. Ludzkość przestałaby istnieć, gdyby niektórzy z nas się nie rozmnażali. – Złość go ogarnęła. – A kogo pan właściwie ma na myśli, mówiąc o „najlepszych z ludzi”? – zapytał. – Takich jak mój brat Derek? Ten porażony władzą drobny pedałek, włączący – tak jest! – dosłownie włączący w...

– *Calmo* – przerwał mu Joscelyne – *calmo*. – Dopiero co wrócił z konferencji edukacyjnej w Rzymie, tym bezpapieskim mieście. – Jeszcze chwila i powiedziałby pan coś nader obraźliwego. „Pedałek” to określenie nadzwyczaj pogardliwe. Proszę nie zapominać, że tym krajem w istocie rządzą homoseksualiści: i tak samo jest, nawiasem mówiąc, w całym Związku Anglojęzycznym. – Obniżył brwi, przyglądając się Tristramowi z lisią troską. – Mój wujek, Wysoki Komisarz, jest homo. Kiedyś ja sam omal nie stałem się homo. Traktujmy tę sprawę bez emocji – rzekł. – To niestosowne, właśnie, po prostu niestosowne. Postarajmy się więc *parlare* o tym *calmamente*, dobrze? – Uśmiechnął się, dokładając starań, żeby uśmiech wyglądał zgrzebnie i prostodusznie. – Wie pan równie dobrze jak ja, że rozmnażanie się lepiej zostawić niższemu warstwowi. Proszę nie zapominać, że sama nazwa „proletariat” wywodzi się od łacińskiego *proletarius*, który to wyraz oznacza służących Państwu swym potomstwem, czyli *proles*. Ty i ja powinniśmy być wyżsi ponad coś takiego, nieprawdaż? – Odchylił się w fotelu, uśmiechnięty, wystukując długopisem na biurku, nie wiadomo dlaczego, literę O alfabetem Morse’a. – Jeden poród na rodzinę: to zasada czy rekomendacja, czy jakkolwiek pan zechce to nazwać, tylko że proletariat łamie tę zasadę bez ustanku. Gatunkowi nie grozi wymarcie. Powiedziałbym raczej, że na odwrót. Z wyższych kręgów dochodzą mnie pogłoski... zresztą nieważne, mniejsza o to. Faktem jest, że pański rodzic i rodzicielka złamali tę zasadę bardzo rażąco, zaiste! nadzwyczaj rażąco. Tak jest. Czymże on był? kimś w Ministerstwie Rolnictwa, prawda? Tak wynika z jego akt personalnych. No cóż, było to, powiedziałbym, dosyć cyniczne: jedną ręką przykładać się do zwiększenia narodowych zasobów żywności, a drugą ręką płodzić czwórkę dzieci. – Tu połapał się, że przeciwstawienie to wypadło dość groteskowo, ale zbył to wzruszeniem ramion. – A o czymś takim się nie zapomina, bracie Foxe, nie zapomina się. Grzechy ojców... jak mawiano za dawnych czasów.

– Wszyscy prędzej czy później pomożemy Ministerstwu Rolnictwa – zauważył pośpiesznie Tristram. – Całkiem niezły kawał pięciotlenku fosforu, ta nasza czwórka.

– I pańska małżonka również – podjął Joscelyne, szeleszcząc licznymi kartkami w aktach. – Ma siostrę w Prowincji Północnej. Zameżną z urzędnikiem rolnictwa. Z dwojgiem dzieci. – Tu zrobił: – No no no! Otacza cię swoista aura płodności, bracie Foxe. W każdym razie, jeśli chodzi o stanowisko kierownika wydziału, wydaje się dość oczywiste, że gdy wszystkie inne walory kandydatów będą równe, to zarząd jednak wybierze kandydata, nie mającego w rodzinie tego rodzaju *fucked off*. – Na tej wymowie „faktów” skupiła się irytacja Tristrama. – No, bo spójrzmy. Popatrzmy na innych kandydatów. – Joscelyne pochylił się do przodu, łokcie oparł na biurku i zaczął ich odliczać na palcach. – Wiltshire jest homo. Cruttenden nieżonaty. Cowell żonaty i ma jedno dziecko, zatem odpada. Crum-Ewing poszedł na całość i jest *castrato*, więc mocna kandydatura. Fiddian się po prostu nie liczy. Ralph jest homo.

– W porządku – powiedział Tristram. – Przyjmuję wyrok. Zostanę, gdzie jestem, i będę się przyglądał, jak ktoś młodszy – bo musi być młodszy; zawsze tak jest – awansuje przeskakując mnie. Ze względu na mój rejestr *fucked off* – dodał z goryczą.

– Tak, o to właśnie chodzi – rzekł Joscelyne. – Cieszę się, że tak to przyjąłeś. Sam widzisz, jak do tego podejście wielu tych z wierchuszki. Dziedzictwo, tak się to nazywa, dziedzictwo. Czyli

rodzinny model umyślnej płodności. Tak. Coś w rodzaju dziedzicznej skłonności do przestępstw. W tych czasach nie ma lekko. A między nami mówiąc, chłopie, radziłbym ci uważać. Miej oko na swoją żonę. Nie wpuszczajcie się w dalsze dzieci. Żebyś nie stał się tak nieodpowiedzialny jak proletariusze. Jedno takie potknięcie i nie ma cię. Wylatujesz. – Zrobił gest, jakby podrzywał sobie gardło. – Wypływa mnóstwo młodych ludzi, nader obiecujących. Ludzi tak myślących, jak należy. Nie chciałbym cię stracić, bracie Foxe.

## 9

– Najdroższy.

– Kochanie, kochanie, kochanie. – Objęli się łapczywie, jeszcze przy otwartych drzwiach. – Cium cium cium cium cium. – Derek wyswobodził się z jej objęć i kopniakiem zatrzaskał drzwi.

– Muszę uważać – powiedział. – Nie zdziwiłbym się, gdyby Loosley śledził mnie aż tutaj.

– No i co z tego? – zapytała Beatrice Joanna. – Wolno ci odwiedzać brata, kiedy zechcesz, nie?

– Nie bądź głuptasem. Loosley to człowiek dokładny, muszę przyznać to tej małej świni. Wyniuchałby, w jakich godzinach Tristram pracuje. – Derek podszedł do okna. Natychmiast cofnął się od niego, śmiejąc się z własnej głupoty. Tyle pięter nad ziemią, tyle mróweczek ludzkich, nie do rozpoznania, pełną gębą w przepastnej głębi ulicy. – Może już ponoszą mnie nerwy – powiedział. – Tylko że... no, coś się kroi. Mam dziś wieczór spotkać się z ministrem. Coś mi na to wygląda, że szykuje mi się duża robota.

– Co za robota?

– Obawiam się, że taka robota, przy której nie będziemy się już mogli tyle widywać. Przynajmniej przez jakiś czas. Robota w mundurze. Dzisiaj rano przyszli krawcy, żeby wziąć ze mnie miarę. Szykuje się coś dużego. – Derek pozbył się swej publicznej skóry, fircykowatego naskórka. Sprawiał teraz wrażenie męskie i twarde.

– No tak – powiedziała Beatrice Joanna. – Dostaniesz robotę, która będzie ważniejsza niż widywanie się ze mną. Czy o to chodzi? – Kiedy wszedł do mieszkania i wziął ją w ramiona, pomyślała, w przyływie szaleństwa, czy nie namówić go, żeby razem uciekli, aby żywić się orzechami kokosowymi i miłością pośród figowców. Ale zaraz przeważyło jej kobiece pragnienie, żeby mieć to, co najlepsze z dwóch światów. – Czasami zastanawiam się – powiedziała – czy ty naprawdę myślisz to, co mówisz. O miłości i tym podobne.

– Och, kochanie, kochanie – odparł zniecierpliwiony. – Tylko posłuchaj. – Nie był w nastroju do czulenia się. – Dzieją się rzeczy dużo ważniejsze od miłości. Sprawy życia i śmierci.

Cały mężczyzna. – Bzdury – rzuciła.

– Czystki, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zmiany w rządzie. Zaciąg bezrobotnych do policji. Och, wielkie rzeczy, naprawdę wielkie.

Beatrice Joanna zaczęła siąkać nosem, przybrała wygląd słabej, małej, bezbronnej. – Miałam taki okropny dzień – przemówiła. – Taka byłam nieszczęśliwa. Taka samotna.

– Najdroższa. To wstrętne z mojej strony. – Wziął ją znowu w ramiona. – Tak mi przykro. Myślę tylko o sobie. – Zadowolona, wciąż pociągała nosem. Ucałował jej policzek, szyję, czoło, pogrążył wargi w jej włosach koloru cydru. Ona pachniała mydłem, a on wszystkimi wonnościami Arabii. Złączeni uściskiem, niezręcznie przebyli czworonóż drogę do sypialni, niby w jakimś tańcu na oślep, nie uporządkowanym przez muzykę. Dawno już naciśnięto przycisk, sprowadzający łóżko w huśtnięciu – łukiem, jak nakreślona przez Tristrama Pelfaza – na podłogę. Derek czym prędzej się rozebrał, ukazując szczupłe ciało, w gruzłach i pasmach mięśni, po czym martwe oko telewizora na

suficie już mogło patrzeć na wijące się ciała – męskie: delikatnie zbrązowiałe jak przypieczona skórka, i kobiece: w barwie macicy perłowej, z lekka muśnięte błękitem i karminem – w zaczątkach aktu, formalnie tyleż cudzołożnego, co kazirodczego.

– Czy pamiętałaś – wydyszał Derek – o...? – Już nie do pomyślenia stał się idealny obserwator, który mógłby pomyśleć równocześnie o pani Shandy i zarazem, myśląc o niej, zaśmiać się.

– Tak... tak...

Zażyła tabletki. Żadnego zagrożenia. Dopiero gdy osiągnęli punkt nieodwracalny, uświadomiła sobie, że tabletki, które połknęła, były przeciwbólowe, a nie antykoncepcyjne. Rutyna czasem zawodzi. A potem już było za późno i przestała się tym przejmować.

## 10

– Róbcie to dalej – rzekł Tristram, w niezwykle dla siebie sposób marszcząc czoło. – Sami przeczytajcie. – Rzut 7 Klasy Czwartej odpowiedział mu wybałuszeniem oczu i rozdziawieniem ust. – Ja idę do domu – powiedział. – Mam dość jak na ten jeden dzień. Jutro odbędzie się sprawdzian z materiału od strony 267 do 274 – włącznie – waszego podręcznika. Chroniczne zagrożenie nuklearne i początek wiecznego pokoju. Dunlop – rzucił ostro. – Dunlop! – Chłopiec miał istotnie twarz niby z gumy, ale w tym stuleciu całkowitej nacjonalizacji nazwisko jego nie było ani odpowiednie do tego, ani się z tym nie gryzło. – Dłubanie w nosie to nawyk wysoce niestosowny, Dunlop – powiedział. Klasa zachichotała. – Róbcie dalej – powtórzył Tristram już u drzwi. – I życzę wam bardzo dobrego dnia. Lub wczesnego wieczoru – poprawił się, spoglądając na różowe morskie niebo. To dziwne, że w języku angielskim nigdy nie rozwinęła się forma zwrotu pożegnalnego, odpowiednia na tę porę dnia. Coś w rodzaju Interfazy. Dzień pelagiański, noc augustiańska. Tristram odważnie wyszedł z klasy, ruszył korytarzem do windy, pomknął na dół i wyszedł z kolosalnego budynku. Nikt go nie zatrzymywał. Po prostu nauczyciele nie opuszczali swych klas przed końcowym dzwonkiem; a tym samym, w jakiś mistycznym sensie, Tristram nadal przebywał w pracy.

Popłynął ostro przez tłumy na Earp Road (gdzie równocześnie trwały przypyływ i odpływ) i skręcił na lewo w Dallas Street. I tam, przy samym skrócie w McGibbon Avenue, zmroził go widok czegoś, co jakby nie miało bezpośredniego związku z tym doznaniem. Na ulicy, blokując niewielki ruch, stała kompania mężczyzn w szarych mundurach – tłum przyglądał im się, zachowując stosowny dystans – trzy plutony pod komendą dowódców, w postawie na spoczynku. Większość z nich obszczerzona w niepewnym uśmiechu, szurająca nogami: rekruci, domyślił się Tristram, ze świeżego zaciągu, ale każdy już uzbrojony w przysadzisty, matowo połyskujący karabin. Spodnie ich zwęzły się w czarne, elastyczne mankiety, obciśnięte na cholewce butów na grubej podeszwie; wcięte kurtki o dziwnie archaicznym kroju i kołnierzach, na których połyskiwały mosiężne dystynkcje, a przy kołnierzach czarne krawaty. Na głowach mieli szare czapki z daszkiem, z odznaką policyjną martwo połyskującą w miejscu, gdzie mieszczą się płyty czołowe.

– Szukają dla nich roboty – odezwał się stojący obok Tristrama, nieogolony mężczyzna w wyrudziałej czerni, z wałkiem tłuszczu pod brodą, chociaż ciało miał wychudzone. – To bezrobotni. A raczej byli nimi – poprawił się. – Najwyższy czas, aby rząd coś z nimi zrobił. Tam stoi mój szwagier, widzi pan, drugi od końca w pierwszym szeregu. – Wskazał palcem, z wyrazem zastępczej dumy. – Zatrudniają ich – dodał. Człowiek najwidoczniej samotny, rad, że może się do kogoś odezwać.

– Dlaczego? – zapytał Tristram. – O co tu chodzi? – Ale już wiedział: to koniec Pelfazy. Teraz ludzie zostaną zmuszeni do tego, aby stali się dobrzy. Poczul coś w rodzaju paniki na swój własny

temat. Może lepiej wrócić do szkoły? Może nikt się nie dowie, jeżeli zaraz tam wróci? Bardzo głupio postąpił, nic takiego dotąd mu się nie przytrafiło. Może powinien zatelefonować do pryncypała i powiadomić go, że wyszedł wcześniej, bo się bardzo źle poczuł...

– Wezmą niektórych w karby – wciął się chudy z tłustym podbródkiem. – Już za dużo tych młodych chuliganów szwenda się w nocy po ulicach. Nie trzymają ich tak krótko, jak należy. Nauczyciele już przestają nad nimi panować.

– Niektórzy z tych młodych rekrutów – zauważył ostrożnie Tristram – mają wygląd podejrzanie chuligański.

– Mojego szwagra nazywa pan chuliganem? To najporządniejszy chłopak pod słońcem, tak jest, a bezrobotny prawie od czternastu miesięcy. Żaden tam chuligan, mój panie.

Teraz oficer stanął na czele kompanii. Elegancki, z pupą obciśniętą siedzeniem spodni, srebrne belki na naramiennikach świeciły w słońcu, na biodrze rewolwer w pięknej kaburze ze sztucznej skóry, zawołał niespodziewanie męskim głosem: – *Kompniaaaaa* – kompania zeszywniała, jakby w oczekiwaniu ciosu. – *Czność*. – Warknął to, jakby cisnął kamykiem; jego ludzie nieporadnie usiłowali stanąć na baczność. – *Na mój roooo... skasss, rrooo...* (samogłoska chwiała się pomiędzy dwoma alofonami) *zej sie!* Niektórzy obrócili się na lewo, niektórzy w prawo, inni przyglądali się, co robią tamci. Śmiech i szydercze oklaski tłumu. Ulicę wypełniły grupki niepewnie snujących się policjantów.

Tristram, z uczuciem jakby mdłości, ruszył ku Earnshaw Mansions. W piwnicy pod tym grubym, oschłym wieżowcem była pijalnia zwana Montague. Jedynym odurzającym trunkiem w tych czasach był piekący destylat z jarzyn i skórek owocowych, tak zwany spirt, sam przez się znośny jedynie dla żołądków najniższych klas społecznych. Tristram położył na kontuarze półkoronówkę i podano mu szklankę tego złośliwie kleistego trunku, mocno rozwodnionego oranżadą. Nie było nic innego do picia: plantacje chmielu, pradawne rejony winorośli, wszystko to podzieliło los pastwisk i plantacji tytoniu w Wirginii czy w Turcji; wszystkie produkowały teraz żywność bardziej pożywną. Świat zrobił się niemalże wegetariański, niepalący, abstynencki z wyjątkiem tego spirtu. Tristram z powagą wzniosł do góry i wychylił szkło, po czym za następną półkoronówkę zażył jeszcze raz pomarańczowego ognia i poczuł, że od biedy może się z tym pogodzić. Diabli wzięli awans, Roger nie żyje. Do diabła z Joscelynem. Niemalże dobrodusznie wykonał głową szwenk po ciasnej, niedużej sali. Pedały, niektórzy z nich brodaci, ćwierkali sobie wesoło w ciemnym zakątku; pijący przy barze byli na ogół heteroseksualni, posępni. Tłusty i dupiasty barman polazł kaczym chodem do muzykatora, umieszczonego na ścianie, wrzucił szóstaka i wypuścił na salę, jak zwierzaka, jakiś zgrzytliwy kawałek muzyki konkretnej: łyżki brzęczące w blaszanym zlewie, przemówienie Ministra Zarybiania, napełniająca się spłuczka w klozecie, przegazowywanie silnika: wszystko to ponagrywane w odwrotną stronę, wzmacniane lub osłabiane, gruntownie zmieszane. Mężczyzna siedzący obok Tristrama odezwał się: – Co za potworność. – Powiedział to do pojemników ze spirtem, nie poruszywszy głową i prawie nie poruszając wargami, jak gdyby, choć uwaga ta domagała się wygłoszenia, jednak nie życzył sobie, aby ją podchwycono jako pretekst do wciągnięcia go w rozmowę. Jeden z brodatych pedałów zaczął recytować:

*Moje umarłe drzewo. Oddajcie mi to umarłe drzewo.  
Deszczu, deszczu, odejść. Niech ziemia zostanie sucha.  
Strać kopniakiem bogów na powrót w zaskorupiałą  
Ziemię. W głąb jej świdrem przewierconego brzucha.*

– Co za potworne brednie – rzekł sąsiad, teraz już głośniej. Po czym obrócił głowę, powolutku i czujnie, w jedną i w drugą stronę, aby przyjrzeć się bacznie Tristramowi po prawej i pijącemu po lewej, jakby wyrzeźbiono jednego podług drugiego i on musiał sprawdzić, czy są podobni. – Wie pan, kim byłem? – zagadnął. Tristram zastanowił się. Posępny facet z oczyma jakby w węglistych grotach, z czerwonym nosem, o melancholijnych ustach Stuartów. – Jeszcze jednego – powiedział do barmana, z brzękiem rzucając monetę. – Tak sądziłem, że pan się nie domyśli – rzekł z satysfakcją, zwracając się do Tristrama. – Otóż – wychylił do dna podły spirt, mlasnął i westchnął: – Byłem księdzem. Wie pan, co to takiego?

– Jakiś rodzaj mnicha – rzekł Tristram. – Miało to coś wspólnego z religią. – Nie krył się z wyrazem trwożnej fascynacji, jak gdyby napotkał samego Pelagiusza. – Tylko że – zaprotestował – księży już nie ma. Księża nie istnieją od setek lat.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie dłonie, rozkładając palce, jakby sprawdzał, czy się nie trzęsą. – Te palce – przemówił – codziennie dokonywały cudu. – I już nieco rozsądniej: – Kilka ich się zdarzyło. Parę ośrodków oporu na Prowincjach. Ludzie nie godzący się z tym liberalnym głównem. Pelagiusz – oznajmił – był heretykiem. Człowiekowi potrzebna jest łaska Boża. – Powrócił do swych dłoni, przypatrując się im klinicznie, jak gdyby szukał jakiejś plamki, zapowiadającej początek choroby. – Jeszcze tego świństwa – rzekł do barmana, posługując się teraz dłońmi, ażeby znaleźć w kieszeniach jakieś pieniądze. – Owszem – powiedział do Tristrama. – Są jeszcze księża, choć ja do nich już nie należę. Wyrzucili mnie – wyszeptał. – Pozbawili sutanny. Och, Boże, Boże, Boże! – zabłaznował. Paru gejów zachichotało, słysząc to boskie imię. – Ale tej mocy nie mogą mi odebrać, nigdy, przenigdy!

– Cecil, ty stare krówsko!

– Och jej, popatrz, jak *ona* się ubrała!

Heteroseksualiści też odwrócili się, żeby popatrzeć, ale nie z takim entuzjazmem. Weszło trzech policyjnych rekrutów, z szerokim uśmiechem na twarzy. Jeden przez moment zastępował, kończąc paralitycznym salutem. Drugi udawał, że przejeżdża po sali seriażem ze swego karabinu. I wciąż ta muzyka konkretna, zimna, abstrakcyjna, obojętna. Pedaly zaśmiewały się, rżały, padały sobie w objęcia.

– Nie za to mnie pozbawiono sutanny – wyjaśnił sąsiad. – To była prawdziwa miłość, najprawdziwsza, a nie to bluźniercze udawactwo. – Ponuro skinął głową w kierunku wesołej grupy policjantów i cywilów. – Była młodziutka, miała dopiero siedemnaście lat. Och, Boże, Boże. – Ale – stwierdził stanowczo – boskiej mocy nie mogą mi odebrać. – Znowu przyjrzał się swoim dłoniom, tym razem jak Makbet. – Chleb i wino – powiedział – w ciało i krew... Tylko że wino już nie istnieje. A papież – dodał – to zgrzybiały staruszek na Wyspie św. Heleny. A ja – stwierdził bez fałszywej skromności – jestem marnym urzędniczyną w Ministerstwie Paliw i Energii.

Jeden z policyjnych pedałów wrzucił półkoronówkę do muzykatora. Nagle wypadła z niego melodia taneczna, jakby pękła torba dojrzałych śliwek: połączenie abstrakcyjnych odgłosów z taśmą na bazie powolnego, głęboko dudniącego rytmu. Jeden z policjantów zatańczył z brodatym cywilem. Wyglądało to całkiem wdzięcznie, musiał przyznać Tristram, wyszukanie i wdzięcznie. Ale pozbawiony sutanny ksiądz zareagował obrzydzeniem. – Co za wstrętny ekshibicjonizm – powiedział, a gdy jeden z nie tańczących pedałów pogłodził muzykę, wrzasnął donośnie i bez uprzedzenia: – Wyłączyć ten pieprzony hałas!

Gejowie spojrzeli z łagodnym zaciekawieniem, tancerze rozdziawili do niego zdumione usta, wciąż jeszcze kołyszając się łagodnie we wzajemnym uścisku. – *Ty się wyłącz* – powiedział barman. – Nie chcemy tu żadnych kłopotów.

– Zwyródniała banda skurwysynów – powiedział ksiądz. Tristram podziwiał jego duchowną stylistykę. – Grzech sodomski. Bóg powinien was wszystkich śmiercią porazić.

– Ty stary grzdylu – warknął na niego jeden. – Czego psujesz zabawę? Jak cię wychowali? – I rzuciła się na niego policja. Odbyło się to szybko, tanecznie i ze śmiechem; żadna przemoc w rodzaju tego, co Tristram czytał na temat przemocy za dawnych czasów; wyglądało to prędzej na łaskotanie niż bicie. Ale po takiej chwili, jak doliczyć do pięciu, ksiądz był rozłożony tyłem na kontuarze, usiłując nabrać tchu gdzieś z bardzo głęboka, usta miał obficie zakrwawione. – To twój przyjaciel? – zwrócił się jeden z policjantów do Tristrama. Tristram przeżył szok widząc, że policjant ma na ustach czarną szminkę, pasującą do jego krawata.

– Nie – odpowiedział Tristram. – W życiu go nie widziałem. Nigdy w życiu. Zresztą już wychodzę. – Dopił swój pomarańczowy spirt i ruszył do wyjścia.

– I wtedy kogut zapał – burknął ksiądz pozbawiony sutanny. – Oto moja krew – oznajmił, wycierając sobie usta. Był tak zawiany, że już nie mógł odczuwać bólu.

## 11

Kiedy leżeli, dysząc już coraz wolniej, jakoś magicznie osiągnąwszy równoczesną detumescencję, z jego ramieniem pod jej rozluźnionym ciałem, zastanowiła się, czy przypadkiem nie tego właśnie pragnęła? Nie powiedziała o niczym Derkowi; to jej własna sprawa. Czuła się jakby oderwana, już niezależna od kochanka, jak poeta mógłby się poczuć – napisawszy sonet – już niezależny od pióra, którym go napisał. Z podświadomości wypłynęło jej słowo *pramacierz*: i zastanawiała się, co by to mogło znaczyć?

On pierwszy wynurzył się z ponadczasowości, pytając leniwie, jako że mężczyzna to zwierzę czasowe: – Która godzina?

Nie odpowiedziała mu. Odezwała się za to: – Nie rozumiem. Całej tej obłudy i oszustwa. Dlaczego ludzie muszą udawać, że są czymś takim, czym wcale nie są? Wszystko to jakaś upiorna farsa. – Wypowiadała to ostro, ale wciąż jak gdyby z jakiegoś stanu beczasowego. – Ty kochasz się kochać – powiedziała. – Kochasz się kochać bardziej niż jakikolwiek mężczyzna, którego spotkałam w życiu. A jednak traktujesz to jak coś, czego należy się wstydić.

Derek głęboko westchnął. – Dychotomia – rzekł, od niechcienia rzucając w nią tym słowem, jakby piłką, wypchaną kaczym puchem. – Pamiętaj o ludzkiej dychotomii.

– Co za ludzkiej – ziewnęła – jak jej tam?

– Podział. Sprzeczności. Instynkty mówią nam jedno, a rozum drugie. Skutki mogą się okazać tragiczne, gdybyśmy do tego dopuścili. Lepiej traktować to jako coś komicznego. Mieliśmy rację – ujął to eliptycznie – wyrzucając Boga i wprowadzając na jego miejsca pana Żywopsa. Bóg to pojęcie tragiczne.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mniejsza o to. – Z opóźnieniem podchwycił jej ziewnięcie, ukazując swe śnieżnie białe plastikowe korony. – Przeciwnastawne postulaty linii prostej i koła. Ty cała jesteś liniowa, to twój kłopot.

– Przecież jestem kolista. Nawet kulista. Popatrz.

– Fizycznie... owszem. Ale nie umyślowo. Pozostałaś stworzeniem instynktownym, pomimo tylu lat edukacji, sloganów i subliminalnej propagandy filmowej. W ogóle cię nie obchodzi stan świata i sytuacja Państwa. A mnie obchodzi.

– A po co mi to? Ja mam własne życie do przeżycia.

– Nie miałybyś w ogóle życia do przeżycia, żadnego, gdyby nie tacy ludzie jak ja. Państwo to każdy jego obywatel. Przypuśćmy – rzekł bardzo poważnie – że nikt nie przejmowałby się wskaźnikiem urodzeń. Że nie obchodzi nas ta linia prosta, biegnąca wciąż naprzód, naprzód i naprzód. Dosłownie wyzdychalibyśmy z głodu. Jak mi żywops miły, już i tak nie nastarczamy z żywnością. Udało nam się osiągnąć coś w rodzaju stabilizacji, dzięki wysiłkom mojego departamentu i podobnych instytucji rządowych na całym świecie, ale długo się tak nie pociągnie. Na pewno nie w tej sytuacji, do której to wszystko zmierza.

– Co masz na myśli?

– Stara historia. Górę wziął liberalizm, a liberalizm to rozprzężenie. Zdajemy się na działalność edukacyjną, propagandową i na darmowe środki antykoncepcyjne, na kliniki przerywania ciąży i kondolencje. Popieramy niepłodne formy aktywności seksualnej. Oszukujemy się, że ludzie są wystarczająco dobrzy i mądrzy, aby uświadamiali sobie, jaka na nich spoczywa odpowiedzialność. I jakie to daje skutki? Kilka tygodni temu w Prowincji Zachodniej wyszedł na jaw przypadek małżeństwa, mającego sześcioro dzieci. *Sześcioro!* Proszę cię bardzo. I wszystkie żyją. Bardzo staroświeckie małżeństwo: wyznawcy Boga. Głędzący o wypełnianiu woli Bożej i tym podobne duperelki. Jeden z naszych urzędników przeprowadził z nimi rozmowę, starał się przemówić im do rozumu. Wyobraź sobie: osiem ciał w mieszkanku mniejszym od tego. Ale do nich nic nie przemawiało. Zdaje się, że mieli egzemplarz Biblii. Jak mi żywops, nie wiadomo, skąd go wytrzasnęli. Widziałaś kiedy coś takiego? – Nie.

– Taka stara książka religijna, pełna sprośności. Trwonić swe nasienie to wielki grzech, a jeżeli Bóg cię miłuje, to wypełni twój dom dzieciakami. Język też bardzo staroświecki. W każdym razie ciągle na to się powoływali, bredzili o płodności, że bezpłodne drzewo figowe zostało przeklęte i tak dalej. – Derek wzdrygnął się z najszczerzą zgrozą. – A w dodatku ta para była jeszcze całkiem młoda.

– I co się z nimi stało?

– A co *mogło* się stać? Powiedziano im, że prawo nie pozwala na więcej niż jeden poród, żywy czy martwy. A oni na to, że takie prawo to grzech. Gdyby Bóg nie życzył sobie, ażeby człowiek się rozmnażał – oświadczyli – to po cóż by obdarzył go instynktem rozrodczym? Powiedziano im, że Bóg to staroświeckie pojęcie, ale nie przyjęli tego do wiadomości. Wytłumaczono im, że mają zobowiązania w stosunku do swoich bliźnich, z czym zgodzili się, ale nie mogli pojąć, co to ma wspólnego z ograniczaniem rodziny. Bardzo trudny przypadek.

– I nic im nie zrobili?

– Niedużo. Ukarano ich grzywną. Zapowiedziano, że nie wolno im już mieć więcej dzieci. Dano im pigułki antykoncepcyjne i kazano zgłaszać się po instrukcje do miejscowej kliniki kontroli urodzeń. Ale nie wyglądali na skruszonych. A takich jak oni jest mnóstwo! Na całym świecie: Chiny, Indie, Indonezja. To jest właśnie przerażające. I dlatego muszą nastąpić zmiany. Włos się jeży, kiedy pomyślimy o liczbie ludności świata. Jest już zawyżona o wiele milionów. A wszystko przez to, że okazywało się ludziom zaufanie. Za kilka dni przydziały żywności będą zmniejszone, zobaczysz. Któraż to godzina? – zapytał znów. Nie było to pytanie naglące; gdyby chciał, mógłby wysunąć rękę spod jej ciepłego, rozluźnionego ciała, wychylić się i sięgnąć w dalszy kąt malutkiego pokoiku po swój mikroaparat radiowy do noszenia na rękę, z tyłu pokazujący czas. Ale był jeszcze zbyt rozleniwiony, aby się poruszyć.

– Chyba jakaś piąta trzydzieści – odpowiedziała Beatrice Joanna. – Możesz to sprawdzić w telewizji.

Jego wolne ramię bez trudu sięgnęło do wyłącznika w głowach łóżka. Pstryknęło i lekka zasłona

opadła na okno, odcinając akurat tyle dnia, co trzeba, i po jakiejś sekundzie spłynęła z sufitu łagodnie bulgocąca i zawodząca muzyka. Nie dęta, nie brzdąkana, nie wybijana, jak to, czego w tej samej chwili słuchał w roztargnieniu Tristram, popijając spirt. A tutaj klapiące zawory, woda z kranu, syreny statków, tupot maszerujących nóg, hurgot grzmotu, wokalizacje przez krtaniowy mikrofon: odwracane w czasie i zmieniane nie do poznania, żeby z tego wynikła krótka symfonia, mająca sprawiać przyjemność, a nie pobudzać. Ekran ponad ich głowami rozjarzył się bielą, a potem błysnął kolorowym, stereoskopowym wizerunkiem posągu, wieńczącego Siedzibę Rządu. Wyzywająco patrzyły kamienne oczy nad barokową brodą, sterczał wydatny nos, prując wiatr; chmury za nim płynęły jakby w pośpiechu; niebo w barwie szkolnego atramentu.

– Otóż i on – powiedział Derek – kimkolwiek jest: nasz patron. Święty Pelagiusz, święty Augustyn, święty Anonim: który z nich? Dzisiaj wieczór będzie już wiadomo.

Wizerunek świętego wygasł. Po czym rozkwitło imponujące kościelne wnętrze: czcigodna szara nawa, esowate łuki. Od ołtarza zstępowały dwie pulchne męskie postacie, ubrane w śnieżną biel, jak lekarze rezydujący w szpitalu. – Święta Gra – zapowiedział głos. – Panie z Cheltenham przeciwko Panom z West Bromwich. Panie z Cheltenham wygrały rzut losowy i postanowiły bić jako pierwsze. – Białe grubaski podeszły, aby obejrzeć bramkę w nawie. Derek wyłączył. Stereoskopowy obraz stracił najpierw jeden wymiar, a potem wygasł.

– Więc mamy tuż po szóstej – rzekł Derek. – Czas już na mnie. – Delikatnie wyciągnął zdrętwiałe ramię spod łopatek swej kochanki, po czym wy dostał się z łóżka.

– Mamy dużo czasu – ziewnęła Beatrice Joanna.

– Już go nie mam. – Derek naciągnął swe wąskie spodnie. Zapiął na przegubie mikroaparat, spojrział na godzinę. – Dwadzieścia po – stwierdził. A potem: – Też mi Święta Gra. – Prychnął pogardliwie. – Wiesz co – powiedział – lepiej, żebyśmy się nie widzieli może przez tydzień. W każdym razie nie przychodź mnie szukać w Ministerstwie. Jakoś skontaktuję się z tobą. Znajdę jakiś sposób – zapowiedział niejasno, głosem przytłumionym wewnątrz koszuli. – Bądź aniołem – poprosił, nakładając wraz z marynarką swoją pedalską maskę – i wyjrzyj tylko na zewnątrz, zerknij, czy nie ma kogoś na korytarzu? Nie chciałbym, żeby widziano, jak wychodzę.

– Dobrze – westchnęła Beatrice Joanna, wstała z łóżka, narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi. Popatrzyła w lewo i w prawo, jak dziecko ćwiczące się w przechodzeniu przez jezdnię, wróciła i powiedziała: – Nie ma nikogo.

– No i Dogu dzięki. – Przedostatnią afrykatę wymówił z przesadą, trochę za miękko i z pretensją.

– Ze mną nie musisz grać pedała, Derek.

– Dobry aktor – odpowiedział wdzięcząc się – zaczyna grać już za kulisami. – Musnął ją motyliim pocałunkiem w lewy policzek. – Do widzenia, najdroższa.

– Do widzenia.

Ruszył, kolebiąc się w biodrach, korytarzem do windy. Ukryty w nim satyr zasnął do następnego razu. Kiedykolwiek to będzie.

## 12

Ciągle jeszcze nieco wstrząśnięty, mimo dwóch następnych szklanek spirtu w piwniczce bliżej domu, Tristram wszedł do Spurgin Building. Nawet i tu, w wielkim holu, zobaczył roześmiane szare mundury. Nie podobało mu się to, wcale nie podobało. Przy drzwiach windy czekali sąsiedzi z czterdziestego piętra: Wace, Durnnell i Visser; pani Hamper i młody Jack Phoenix; panna Wallis,



panna Runting, Arthur Spragg; Phipps, Walker-Meredith, Fred Hamp i osiemdziesięcioletni pan Earthrowl. Wskaźniki windy błyskały: 47... 46... 45. – Widziałem coś okropnego – rzekł Tristram do starego pana Earthrowla. – He? – zapytał pan Earthrowl. 38... 37... 36. – Specjalne zarządzenie o stanie nadzwyczajnym – powiedział Phipps z Ministerstwa Zatrudnienia. – Wszystkich wezwano z powrotem do pracy. – Młody Jack Phoenix ziewnął; Tristram po raz pierwszy spostrzegł, że ma czarne włosy na kościach policzkowych. 22... 21... 20... 19. – Policja w dokach – mówił Durnnell. – Nie ma innego sposobu na tych skurwysynów. Pójdzie na ostre. Powinni wziąć się za nich już kilka lat temu. – Popatrzył z aprobatą na szarą policję w czarnych krawatach, jak gdyby w żałobie po doktrynie pelagiańskiej, z karabinkami pod pachą. 12... 11... 10. Tristram wyobraził sobie, jak wali któregoś pedała lub kastrata w jego miłą, pulchną buziuchnę. 3... 2... 1... P. Otóż i buziuchna, ani miła, ani też pulchna: jego brat Derek. Popatrzyli na siebie zdumieni.

– Co ty – zapytał Tristram – robisz tu, na Żywopsa?

– Och, Tristram – przemówił mizdrzącą się artykulacją Derek, wypowiadając imię brata dźwiękowo, z nieszczerą pieśczołliwością. – A więc jesteś.

– Tak. Szukałeś mnie, czy co?

– No właśnie, mój drogi. Chciałem powiedzieć, jak strasznie ci współczuję. Biedny, biedny chłopczyzna.

Winda prędko się wypełniała. – Czy to wyraz urzędowego współczucia? Byłem przekonany, że wasz departament cieszy się z każdej śmierci. – Marszczył czoło, zdziwiony.

– To ja, twój brat – rzekł Derek. – A *nie* urzędnik z M.B. – Wypowiadał się trochę sztywno. – Przyszedłem złożyć – omal nie powiedział: „kondolencje”, ale w porę jeszcze połapał się, że zabrzmiałyby to cynicznie. – Braterską wizytę – dokończył. – Widziałem się z twoją *żoną* (króciutka pauza przed tym słowem, nienaturalne wybicie go, sprawiły, że zabrzmiało to wręcz nieprzyzwoicie) i powiedziała mi, że jeszcze pracujesz, więc... W każdym razie strasznie, strasznie mi przykro. Musimy – oznajmił mętnie jakby na pożegnanie – spotkać się któregoś wieczora. Na kolacji, czy jakoś tak. A teraz muszę uciekać. Jestem umówiony z Ministrem. – I już znikł, kręcąc na pożegnanie zadkiem. Tristram wtłoczył się do windy, na wcisk ze Spragiem i panną Wallis, wciąż ze zmarszczonym czołem. Co tu jest grane? Drzwi się zasunęły, winda ruszyła w górę. Panna Wallis, blada klucha z nosem tak świecącym, jakby jej zmókł, tchnęła na Tristrama duchem ożywionych po odwodnieniu kartofli. Z jakiego powodu Derek raczył odwiedzić ich mieszkanie? Nie lubili się, i to nie tylko dlatego, że Państwo – był to jeden z aspektów polityki dyskredytowania rodziny jako takiej – zawsze sprzyjało wrogości pomiędzy braćmi. Między nimi zawsze istniała zawiść o pieśczołoty, których doznawał Tristram, ulubieniec ojcowski: wygrzane miejsce w łóżku tatusia w świąteczne poranki; czubek jajka na śniadanie; najlepsze zabawki na Nowy Rok. Drugi brat i siostra dobrodusznie wzruszali tylko ramionami, ale nie Derek. Derek dawał wyraz swojej zawiści, podstępnie kopiąc, kłamiąc, ochlapując błotem niedzielny skafander kosmiczny Tristrama, dopuszczając się aktów wandalizmu na jego zabawkach. Aż w okresie dojrzewania wykopano między nimi ostatni rów: inwersja seksualna Derka i nieskrywane obrzydzenie, jakie okazywał jej Tristram. Co więcej, mimo gorszego wykształcenia i związanych z tym szans Derek radził sobie dużo, dużo lepiej od brata: tu zawistne warknięcia, tam triumfalne granie na nosie. Jakiż to więc złośliwy powód dzisiaj go tu sprowadził? Tristram instynktownie kojarzył te odwiedziny z nowym reżimem, z początkiem Interfazy. Czyżby jakieś szybkie telefony pomiędzy Joscelynem a Ministerstwem Bezpłodności (przeszukać jego mieszkanie, może znajdą się tam nieortodoksyjne notatki do wykładów; wypytać żonę o jego poglądy na kontrolę urodzeń). Nieco spanikowany, Tristram kartkował w pamięci wygłaszane przez siebie lekcje: może ta ironiczna pochwała

Mormonów w Utah; może pełna elokwencji dygresja na temat *Złotej gałęzi* (zakazana lektura); może jakaś drwina z pedalskiej hierarchii po szczególnie wstrętnym lanczu w szkolnej stołówce. Bardzo to było niefortunne – pomyślał jeszcze raz – że akurat dzisiaj zebrało mu się na wyjście ze szkoły bez pozwolenia. Po czym duch męstwa wezbrał mu w żołądku, gdy winda zatrzymała się na czterdziestym piętrze. Spirit wykrzyknął: „A niech ich diabli porwą!”

Tristram ruszył do swego mieszkania. Przystanął pod drzwiami, zacierając w sobie odruchowe wyczekiwanie na okrzyk, którym witało go dziecko. Wszedł. Beatrice Joanna siedziała w szlafroku, nie zajmując się niczym. Zerwała się, ogromnie zaskoczona, widząc męża tak wcześnie wracającego do domu. Tristram przez otwarte drzwi sypialni spostrzegł wymięte łóżko, jak u gorączkującego pacjenta.

– Miałaś gościa? – zapytał.

– Gościa? Co za gościa?

– Spotkałem na dole mego ukochanego braciszka. Powiedział, że wstąpił tutaj, szukając mnie.

– Ach, on. – Odetchnęła bardzo głęboko. – Myślałam, że masz na myśli – no wiesz – gościa.

Tristram zawęszył przez wszechobecny, przenikliwy zapach Anaphro, jak gdyby za czymś podejrzanym. – Czego chciał?

– Dlaczego tak wcześnie wracasz? – spytała Beatrice Joanna. – Źle się czujesz, czy co?

– Bardzo źle się poczułem usłyszawszy to, co mi powiedziano. Nie dostanę awansu. Dyskwalifikuje mnie skłonność mojego ojca do rozmnażania się. I mój własny heteroseksualizm. – Założywszy ręce do tyłu, przeszedł do sypialni.

– Nie zdążyłam posprzątać – powiedziała, biorąc się do wygładzania pościeli. – Byłam w szpitalu. Dopiero co wróciłam.

– Zdaje się, że mieliśmy niespokojną noc – powiedział. Wszedł z sypialni. – A robotę dostanie jakiś mały, parszywy pedałek, taki jak Derek. Chyba mogłem się tego spodziewać.

– Trafił nam się kiepski okres, co? – powiedziała. Przystanąła na chwilę jakby opadła z sił, samo nieszczęście, trzymając koniec wymiętego prześcieradła. – Nic nam nie wychodzi.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, po co Derek tu przyszedł.

– Właściwie to nie wiadomo. Szukał ciebie. – Przeszło o włos, pomyślała; niewiele brakowało. – Trochę mnie to zaskoczyło, że go widzę – zaimprovizowała.

– Co za łgarz – powiedział. – Tak myślałem, że nie przyszedł z wyrazami współczucia. Ale ciekawe, skąd wiedział o śmierci Rogera? Jak to przewąchał? Założę się, że tylko od ciebie.

– Już wiedział – zmyśliła. – Wypatrzył to w Ministerstwie. Codzienna statystyka zgonów, czy coś w tym rodzaju. Będziesz coś jadł? Bo ja wcale nie jestem głodna. – Pozostawiła łóżko, przeszła do bywalni i ściągnęła z sufitu małą lodówkę, niby jakiegoś polarnego bożka.

– O coś mu chodzi – podjął Tristram. – Na pewno. Muszę się mieć na baczności. – Po czym, z pomocą spirtu: – A niby dlaczego, u diabła? Niech ich wszystkich cholera weźmie. Żeby tacy jak Derek rządzą krajem! – Wydobył krzesło ze ściany. Beatrice Joanna wyciągnęła jeszcze stół z podłogi. – Czuję się antyspołecznie – rzekł Tristram. – Po wariacku antyspołecznie. Kimże oni są, żeby nam rozkazywać, jak mamy kierować swoim życiem? A poza tym, aha – dodał – wcale mi się nie podoba to, co się wyprawia. Wszędzie mnóstwo policji. Uzbrojonej. – Wolał nie opowiadać jej, co się przydarzyło w barze księdzu pozbawionemu sutanny. Beatrice Joanna nie lubiła, gdy czasami się napił.

Podawała mu kotlet z jarzyn, liofilizowany i teraz odtworzony, na zimno. Spożył go z umiarkowanym apetytem. Następnie podała mu plaster puddingu z sytemleku. – Masz chęć na odżywkę? – zapytała, gdy zjadł. Odżywka to jednostka odżywcza, produkt Ministerstwa Żywności

Syntetycznej. Pochyliła się nad nim, sięgając do szafki w ścianie, i dojrzał przeblysł jej obfitej nagości pod szlafrokiem. – Niechaj Bóg skarże i pośle do piekła ich wszystkich – rzekł – to znaczy Bóg we własnej osobie.

Wstał i usiłował wziąć ją w objęcia.

– Nie, proszę, nie rób tego – błagała. Trudno i darmo; nie zniesie jego dotknięcia. Szamotała się. – Nie jestem w nastroju – oznajmiła. – Jest mi niedobrze. – Zaczęła pociągać nosem. Ustąpił.

– A niech będzie – powiedział. – No, niech ci będzie. – Podeszedł do okna i przygryzł swymi plastikowymi zębami lewy paznokciec na małym palcu, czując się niezręcznie. – Przepraszam, że to zrobiłem. Po prostu nie pomyślałem. – Uprzątnęła ze stołu papierowe talerze i przez dziurę w ścianie wrzuciła je do incineratora. – Ech, do diabła – wyrzucił z siebie nagle i gwałtownie. – Normalny, przyzwoity seks zamienili w przestępstwo. I już go nie chcesz. No i tym lepiej. – Westchnął. – Czuję, że będę musiał przystąpić na ochotnika do wałachów, żeby w ogóle nie stracić pracy.

W tej sekundzie Beatrice Joanna przeżyła ostrą powtórkę wrażenia, które na sekundę olśniło i poraziło jej korę mózgową, kiedy leżała pod Derkiem na tym wymiętym, gorączkowym łóżku. Jakby eucharystyczny moment przeraźliwej fanfary trąb i rozbłysku światła, jaki podobno widzi się (tak mówią) w chwili przecięcia nerwu wzrokowego. I drobny głosik, dziwnie przenikliwy, piszczący: „Tak tak tak.” Skoro wszyscy powtarzają, że trzeba uważać, to może i ona też powinna uważać. Bez przesady, rzecz jasna. Tylko tyle, żeby Tristram się nie dowiedział. Wiadomo, że środkiem antykoncepcyjnym też zdarza się zawieść. Odezwała się. – Przepraszam cię, kochanie. Nie to miałam na myśli. – Przygarnęła go, ramionami objąwszy za szyję. – Więc jeżeli chcesz... – Gdyby dało się to zrobić pod znieczuleniem! Ale i tak długo nie potrwa.

Tristram pocałował ją żarłocznie.

– Ale *ja* zażyję tabletki – powiedział – a nie ty.

Odkąd urodził się Roger – przy niezaprzeczalnie i na szczęście rzadkich okazjach, gdy dochodził swoich praw małżeńskich – zawsze upierał się, że on sam podejmie środki ostrożności. Bo tak naprawdę wcale nie chciał Rogera. – Wezmę trzy sztuki – powiedział. – Na wszelki wypadek. – Drobny głosik w jej wnętrzu wydał malutki śmieszek.

Beatrice Joanna i Tristram, na różne sposoby zaprzątnięci, nie widzieli i nie słyszeli orędzia, jakie w telewizji wygłosił premier. Ale w milionach innych domostw – przeważnie na sufitach sypialni, bo gdzie indziej brakowało miejsca – stereoskopowy wizerunek bulwiastej, z workami pod oczyma, twarzy uczonego od starożytności, jakim był J.E. czcigodny Robert Starling, jarzyła się i piorunowała jak rozbłyskująca żarówka. Mówiła o zgubnych zagrożeniach, jakie lada chwila spadną na Anglię, na Związek Anglojęzyczny, na całą kulę ziemską, jeżeli natychmiast nie podejmie się, chociaż z ubolewaniem, pewnych drastycznych i surowych środków zaradczych. Oznacza to wojnę. Bo trzeba wypowiedzieć wojnę nieodpowiedzialności oraz tym elementom, które sabotują – a sabotażu tego dłużej nie można tolerować – cały aparat Państwa, wojnę masowemu lekceważeniu roztropnych i liberalnych praw, a w szczególności tego prawa, które dla wspólnego dobra stara się ograniczać wzrost zaludnienia. Na całej planecie – zapowiedziało z powagą świetliste oblicze – przywódcy państw przemówią do swych narodów jeszcze tej nocy albo nazajutrz w sposób równie naglący. Przewiduje się jak najsurowsze kary w przypadkach dalszej nieodpowiedzialności (bardziej bolesne, jak należało rozumieć, dla karzących niż dla ukaranych). Przetrawanie w skali globalnej zależy od zrównoważenia populacji z wyliczonym naukowo minimalnym zasobem żywności; zacisnąć pasa; wytrwać i wygrać tę wojnę; walka ze złem; współdziałanie dla wspólnego dobra; niech żyje Król.

Breatrice i Tristram przeoczyli też sensacyjne, stereoskopowe ujęcia filmowe pokazujące, jak uporano się w krótkich abcugach ze strajkiem w Państwowym Zakładach Syntemleku.

Policja, tak zwane szaraki, używała pałek i karabinów, nie przestając się śmiać; chromatyczny mózg bryznął w obiektyw.

Jak również przeoczyli późniejszą wiadomość o utworzeniu sił zwanych Policją Populacyjną, której Najwyższy Komisarz był doskonale znany im obojgu: brat, wiarołomca, kochanek.

# CZEŚĆ DRUGA

## 1

We wszystkich instytucjach użyteczności publicznej obowiązywał system ośmiogodzinnych zmian. Ale szkoły podstawowe i średnie dzieliły dzień (każdy dzień, bo wakacje następowały sukcesywnie) na cztery zmiany po sześć godzin. W niecałe dwa miesiące po wprowadzeniu Interfazy Tristram Foxe siedział o północy przy śniadaniu (zmiana rozpoczynała się o godzinie pierwszej) pod zagładającym z ukosa letnim księżycem w pełni. Usiłował zjeść coś w rodzaju płatków zbożowych z papieru zwilżonego syntemlekiem i – choć wygłodniały przez całą dobę, bo racje żywnościowe znacznie obcięto – miał duże trudności, aby spożyć łyżką tę włóknistą, mokną okropność: przypominało to jakby zjadanie własnych słów. Kiedy tak bez końca żuł rosnący mu w ustach kęs, syntetyczny głos *Dysku Codziennego* (wydanie z 23.00) popiskiwał jak animowana mysz, sam organ zaś obracał się z wolna, połyskliwie czarny, zatknięty na ścianie.

„Wyjątkowo niskie połowy śledzi, jak dotąd bez precedensu, można wytłumaczyć tylko jakimś niewyjaśnionym zakłóceniem w ich rozmnażaniu, jak donosi Ministerstwo Zarybiania...”

Tristram wyciągnął lewą rękę i wyłączył.

Teraz u ryb kontrola urodzeń, co? Tristrama nagle wchłonął na moment przyływ pamięci gatunkowej: coś jakby okrągła, płaska ryba na całym talerzu, chrupiąco brązowa, z pikantnym sosem. Ale obecnie wszystkie ryby, jakie odłowiono, miazdzone były w maszynach i zamieniane w nawóz albo w uniwersalne kostki odżywcze (do przyrządzania jako zupa, kotlety, chleb czy budyń), które Ministerstwo Żywności Naturalnej wydawało jako główną część tygodniowego przydziału.

Kiedy w bywalni umilkł ten maniakałny głos i jego koszmarny bełkot dziennikarski, Tristram wyraźniej usłyszał, jak Beatrice Joanna wymiotuje w łazience. Biedactwo regularnie wymiotowało już od kilku dni zaraz po wstaniu. Może przez ten pokarm. Każdy mógłby się od niego porzygać. Wstał od stołu i zajrzał do niej. Błada i wymęczona, oklapła, jakby wymioty wszystko z niej wycisnęły. – Na twoim miejscu poszedłbym do szpitala – odezwał się ciepło. – Sprawdzić, co ci jest.

– Nic mi nie jest.

– Nie wygląda mi na to. – Odwrócił swój mikroaparat radiowy na przegubie. Tarcza zegarka pokazała, że już po wpół do pierwszej. – Muszę lecieć. – Ucałował jej wilgotne czoło. – Uważaj na siebie, kochanie. Naprawdę pójdz do tego szpitala.

– To nic takiego. Zwykła niestrawność. – I rzeczywiście, jakby specjalnie dla niego, wygląd jej się znacznie poprawił.

Tristram wyszedł (zwykła niestrawność) i przyłączył się do grupy czekającej przy windzie. Stary pan Earthrowl, Phipps, Arthur Spragg, panna Runting (wszystko to kostki rasowe, tak jak żywnościowe) wyruszali do pracy w ministerstwach i fabrykach państwowych: Allsopp i brodaty Abazoff, Darking i Hamidun, pani Gow, której męża zgarnięto trzy tygodnie temu, gotowi do roboty na zmianie, która skończy się o dwie godziny później niż u Tristrama. Pan Earthrowl mówił nierównym, starczym głosem: – Według mnie to wcale nie w porządku, że ci gliniarze wciąż nas pilnują. Za moich młodych lat tak nie było. Jak się chciało zapalić w ubikacji, to się wychodziło na papierosa i nikt o nic nie pytał. A teraz... gdzie tam! Siedzą człowiekowi na karku ci gliniarze, bez chwili przerwy. Moim zdaniem to nie w porządku. – Zrzędził tak bez ustanku (a brodaty Abazoff mu przytakiwał) przy wsiadaniu do windy: starzec nieszkodliwy i niezbyt rozgarnięty, spędzający życie na wkręcaniu dużej śruby w tylną ściankę telewizora, którego pudło w liczbie pomnożonej przez

nieskończoność, podpełzało do niego i odjeżdżało na sunącej taśmie.

W windzie Tristram spytał po cichu panią Gow:

– Są jakieś wiadomości?

Podniosła ku niemu oczy, kobieta po czterdziestce z podłużną twarzą, o skórze suchej i przydymionej jak u Cyganki. – Ani słówka. Jestem pewna, że go zastrzelili. *Zastrzelili go!* – krzyknęła raptem. Reszta jadących windą udawała, że tego nie słyszy.

– Nonsens. – Tristram poklepał ją po chudym ramieniu. – W gruncie rzeczy nic nie zawinił. Wkrótce wróci, przekona się pani.

– To jego własna wina – odrzekła pani Gow. – Popijał ten spirt. Za dużo gadał. Zawsze mu powtarzałam, że któregoś dnia posunie się za daleko.

– No, no – rzekł Tristram, ciągle ją poklepując. Prawda była taka, że Gow właściwie nic nie powiedział; po prostu wydał krótki, chrapliwy odgłos w stronę grupki policjantów przed którąś z najmniej wyszukanych pijalni, gdzieś opodal Guthrie Road. Odwieziono go przy akompaniamencie wielkiego śmiechu i więcej go nie ujrzano. W tych czasach lepiej było trzymać się z dala od spirtu, a najlepiej pozostawić spirt chłopcom w szarych mundurach.

4... 3... 2... 1... P. Tristram wycłapał z windy. Na tłocznej ulicy czekała na dworze podbita księżycem śliwkowa noc. A w holu funkcjonariusze Polpopu, czyli Policji Populacyjnej: czarne mundury, czapki z błyszczącym daszkiem, odznaka i błyszcząca obroza z wybuchającą bombą, która obejrzana z bliska okazywała się pękającym jajkiem. Nie uzbrojeni, mniej od szaraków skłonni do nie baczącej na nic przemocy, bystrzy i grzeczni, przynosili na ogół zaszczyt swemu komisarzowi. Tristram, włączając się w tłum podążający do pracy z wyrazem jakby „nie sądziłem, że śmierć zgarnie aż tylu”, wymówił na głos, do spływającego nocą Kanału La Manche i srebrzącego się powyżej nieba, słowo „brat”. Dla niego było to już określenie wyłącznie pejoratywne, może niesłuszne, jeśli chodzi o biednego, nieszkodliwego George’a, najstarszego z nich trzech, ciężko harującego w ośrodku rolniczym koło Springfield w stanie Ohio. George niedawno przysłał jeden ze swoich skąpych listów, po nudziarsku rzeczowy, co się tyczy nowych eksperymentów z nawozami sztucznymi, a nie kryjący zdziwienia, co to za dziwna rdza zbożowa szerzy się na pszenicy od zachodu po stanach Iowa, Illinois oraz Indiana.

Poczciwy, stary, solidny George.

Tristram wszedł do pocziwego, starego, solidnego drapacza chmur, gdzie mieściła się Szkoła Unitarna (Męska) Południowego Londynu (Kanał) Rejon Czwarty. Zmiana Delta właśnie wylewała się z gmachu, a jeden z trzech zastępców Joscelyne’a, szpakowaty fircyk z rozdziawioną gębą nazwiskiem Cory, stał w wielkim holu i obserwował. Zmiana Alfa wciskała się pośpiesznie do wind, po schodach do góry, po korytarzach. Tristram miał pierwszą lekcję na drugim piętrze: podstawy geografii historycznej dla XX Rzutu Klasy Pierwszej. Sztuczny głos wyliczał: „Osiemnaste... Siedemnaste...” Czy to jego imaginacja, czy ten produkt Państwowej Korporacji Syntelingu miał brzmienie surowsze, bardziej żelazne od poprzednich? „Trzecie... Drugie... Pierwsze...” Już się spóźniał. Pomknął do góry windą dla personelu i zadyszany wpadł do klasy. W tych czasach trzeba było uważać.

Ponad pięćdziesięciu chłopców w rozmaitych mieszankach kolorów powitało go zbiorowym, grzecznym „Dzień dobry”. Dzień? Akurat. Na dworze zaległa głęboka noc. Ponad nocą zalegał księżyc, ogromny i przerażający symbol kobiecości.

Tristram przemówił: – Zadania domowe. Proszę je położyć na pulpitach. – Szczęk metalowych zatrząsków, kiedy chłopcy otwierali tornistry, a potem klaskanie zeszytów, szelest kartek przewracanych do miejsca, gdzie narysowali swe mapy świata. Tristram przechadzał się, z

założonymi do tyłu rękoma, pobieżnie sprawdzając. Ogromny, zatłoczony glob w rzucie Mercatora, dwa wielkie imperia: Enspun (Związek Anglojęzyczny) i Ruspun (Związek Rosyjskojęzyczny), niezdarnie skopiowane przez chłopców oblizujących wargi, wystawiających języki. Wyspy Aneks dla nadmiaru ludności, wciąż jeszcze budowane na głównych oceanach. Pokojowy świat, który zapomniał o sztuce samozagłady, pokojowy i zamartwiający się. – Niedbalstwo – powiedział Tristram, kładąc palec na rysunku Cottama. – Umieściłeś Australię za bardzo na południe. Zapomniałeś narysować Irlandię. – Tak jest, panie psorze – przyznał się Cottam. A jeden chłopiec, Hynard, w ogóle nie odrobił lekcji. Wystraszony, z podkrążonymi oczyma. – Co to ma znaczyć? – spytał Tristram.

– Bo nie mogłem, panie profesorze – wyjaśnił Hynard, z trzęsącą się dolną wargą. – Przenieśli mnie do schroniska, panie profesorze. Nie miałem kiedy, panie profesorze.

– Ach. Do schroniska. – Było to coś nowego, instytucja dla sierot, chwilowych i trwałych. – Co się stało?

– Zabrali ich, panie profesorze. Tatusia i mamusię. Powiedzieli, że są winni przestępstwa.

– Co takiego zrobili?

Chłopiec zwiesił głowę. Nie żadne tabu, lecz świadomość zbrodni sprawiła, że zaczerwienił się i milczał. Tristram przemówił do niego łagodnie:

– Twoja mama urodziła dziecko, tak?

– Miała urodzić – wymamrotał chłopiec. – Zabrali ich. Musieli wszystko spakować. A potem zabrali mnie do schroniska.

Wielki gniew ogarnął Tristrama. Był to (co uświadomił sobie ze wstydem) właściwie gniew sztuczny, gniew pedantyczny. Ujrzał się w gabinecie pryncypała, jak wygłasza: „Państwo uważa kształcenie tych dzieci za coś ważnego, co chyba znaczy, że i odrabianie lekcji w domu jest ważne, i oto Państwo wpycha tu swoją wstrętną, obłudną mordę i nie pozwala jednemu z moich uczniów odrobić lekcji. Jak Doga kocham, o co właściwie chodzi?” Wątpła irytacja człowieka powołującego się na zasady. Oczywiście z góry wiedział, jak brzmiałaby odpowiedź: przede wszystkim to, co najważniejsze, a najważniejsze ze wszystkiego jest przetrwanie. Westchnął, poklepał chłopca po głowie i przeszedł na przód klasy. – Zadanie na dzień dzisiejszy – oznajmił – to narysować mapę Obszaru Rekultywacji Sahary. Weźcie ołówki. – Dzień, rzeczywiście! Noc, jak ocean szkolnego atramentu, trwała niespożycie rozlana na dworze.

## 2

Beatrice Joanna pisała list. Ołówkiem, nieporadnie wskutek odzwyczajenia się, za pomocą oszczędzających papier logogramów, których nauczyła się w szkole. Już od dwóch miesięcy nie widziała Derka, a zarazem widziała go aż za dużo. Za dużo publicznego wizerunku w telewizji; Derek jako rozsądnie napominający Komisarz Policji Populacyjnej; a wcale nie widziała go jako kochanka, ubranego w lepiej pasujący do niego mundur nagości i pożądania. Nie było cenzury pocztowej, więc uważała, że może pisać bez ogródek. Napisała: „Najdroższy, chyba powinnam być dumna ze sławy, jaką sobie zapewniasz, i wspaniale wyglądasz w swoim nowym ubraniu. Ale nic na to nie poradzę, że pragnęłabym, aby wszystko było jak dawniej, kiedy mogliśmy ze sobą leżeć kochając się i nie troszczyć się o nic poza tym, żeby nikt się nie dowiedział, co jest pomiędzy nami. Nie wierzę, aby te piękne czasy przeminęły. Tak mi ciebie brakuje. Brakuje mi twoich ramion, obejmujących mnie, i twoich warg na moich i twego...”

Wykasowała ten logogram; niektóre rzeczy są zbyt cenne, aby je powierzać zimnym

skrótowcom.

„...i twoich warg na moich. Och, kochany, nieraz budzę się w nocy albo po południu, albo rano, albo o dowolnej porze, kiedy akurat idziemy do łóżka według tego, na której zmianie on pracuje, i tak pragnę ciebie, że chciałoby mi się krzyczeć.”

Wcisnęła sobie lewą pięść do ust, jakby tłumiąc ten krzyk. „Och, najdroższy, kocham cię, kocham, kocham. Pragnę twoich ramion, obejmujących mnie, i twoich warg...” Tu spostrzegła się, że już to napisała, więc wykreśliła ten kawałek; ale wykreślenie go sprawiło, że teraz wyglądało, jak gdyby rozmyśliła się i już nie pragnęła jego ramion, warg i tak dalej. Wzruszyła więc ramionami i pisała dalej: „Czy nie mógłbyś jakoś skontaktować się ze mną? Wiem, że dla ciebie to zbyt ryzykowne pisać do mnie, bo Tristram na pewno wypatrzyłby twój list na korespondencyjnej kratce naszego bloku, ale na pewno mógłbyś przesłać mi jakiś znak, że jeszcze mnie kochasz? A przecież nadal kochasz mnie, prawda, najdroższy?” Mógł przesłać jej znak. Za dawnych czasów, w czasach Szekspira i radia parowego, kochankowie posyłali swoim kochankom kwiaty. Obecnie, jeśli pozostały jakieś kwiaty, to tylko jadalne. Mógłby przesłać jej paczkę odwodnionego rosolu z pierwiosnków, lecz oznaczałoby to uszczerbek dla jego skąpych racji żywnościowych. Pragnęła czegoś romantycznego i odważnego, wielkiego i bluźnierczego gestu. Napisała w przypiływie natchnienia: „Kiedy będziesz następnym razem w telewizji, jeżeli mnie jeszcze kochasz, wtrąć jakieś specjalne słówko, tylko dla mnie. Na przykład *kochać* albo *pożądać*. Wtedy będę wiedziała, że nadal mnie kochasz, jak i ja nadal kocham ciebie. Poza tym nie dzieje się nic nowego, życie toczy się jak zawsze, bardzo nudne i monotonne.” To było akurat kłamstwo: owszem, pomyślała, stało się coś bardzo nowego, ale to musiała zachować dla siebie. Linia prosta w jej wnętrzu, wieczna i życiodajna włócznia, chciała powiedzieć mu: „Raduj się!” ale koło doradzało ostrożność; mało tego, w obrotach jego krył się osobisty podmuch lęku. Postanowiła się nie martwić, jakoś to będzie. Podpisała się: „Twoja wiecznie uwielbiająca Beatrice Joanna.”

Zaadresowała list do Komisarza D. Foxe, Kwatera Główna Policji Populacyjnej, Gmach Bezpłodności, Brighton, London, przy czym odczuła lekki dreszcz przy *Bezpłodności*, tym słowie, zawierającym własną odwrotność. Wielkimi, śmiało kreślonymi logogramarm dopisała: OSOBISTE & POUFNE. Po czym udała się w długą, pionową podróż do skrzynki pocztowej przy Earnshaw Mansions. Była piękna lipcowa noc, wysoko szybował księżyc, gwiazdy, krążące satelity, noc jakby stworzona do miłości. Pięciu młodych szaraków, oświetlonych uliczną latarnią, rycząc ze śmiechu biło oszołomionego staruszka, chyba znieczulonego spirtem, jeśli wnosić z braku reakcji na policzkowanie i pałowanie. Poza tym wydawało się, że jak Nazarejczyk z czasów Nerona, obkoczony przez rozchichotane lwy, wyśpiewuje coś w rodzaju hymnu.

– Wstydzilibyście się – zganiła ich ostro Beatrice Joanna. – To naprawdę wstyd. Taki biedny staruszek.

– Pilnuj własnego nosa – odparł z irytacją jeden z szaraków. – Ty *kobieto!* – dodał szyderczo. Pozwolili swojej ofierze odczołgać się, wciąż ze śpiewem na ustach. Ona zaś, jak najbardziej kobieca i pilnująca własnego nosa, w sensie społecznym i biologicznym, wzruszyła tylko ramionami i wysłała swój list.

### 3

W koszyku na listy w pokoju nauczycielskim znalazł się list do Tristrama od jego siostry Emmy. Była czwarta trzydzieści, półgodzinna przerwa na obiad, ale dzwonek jeszcze się nie rozległ. Rozkoszny świt wstawał nad morzem daleko poniżej okna pokoju nauczycielskiego. Tristram obracał



w palcach list z krzykliwym znaczkiem chińskim, z napisem „Poczta lotnicza” w ideogramach i cyrylicą, uśmiechając się, że oto kolejny przykład rodzinnej telepatii. Zawsze tak bywało: ilekroć George przysłał list z Zachodu, w dzień czy dwa później dochodził list od Emmy ze Wschodu. Ale co charakterystyczne, to że nigdy żadne z nich nie napisało do Derka. Tristram czytał, stanąwszy pośród swych kolegów, wciąż jeszcze uśmiechnięty: „Robota się posuwa. W zeszłym tygodniu poleciałam z Chengjiang do Xingyi, do Szanghaju i przez Duyun do Shijian. Męczące! Wciąż jeszcze tyle tu miejsca, co na stojąco, ale od niedawnej zmiany w polityce rząd centralny wprowadza środki doprawdy przerażające. Dziesięć dni temu przeprowadzono w Zhongjing masowe egzekucje ludzi, którzy złamali prawo zabraniające powiększania rodzin. Wielu z nas uważało, że posunięto się za daleko...” Typowe dla niej niedopowiedzenie; Tristram wyobraził sobie jej chłodną twarz 45-letnią i wypowiadające to, chłodno zaciśnięte wargi. „Jednak wydaje się, że wywiera to zbawienny wpływ na tych, których życiową ambicją jest mimo wszystko, ażeby zostać przodkiem odbierającym cześć od całej góry kłębiącego się potomstwa. Tacy staną się zapewne przodkami wcześniej, niżeli się spodziewają. Dziwna ironia losu, że głód szerzy się w prowincji Fujian, gdzie z niewiadomych przyczyn zawiodły zbiory ryżu...” Tristram zmarszczył czoło i coś go zastanowiło. George pisze o rdzy zbożowej, prasa donosi o połowach śledzi, a teraz to. Zbudziło się w nim jakieś dręczące podejrzenie. Że co? Sam nie wiedział.

– A jakże czuje się dzisiaj – odezwał się młody, zaczepny, mizdrzący się głos – nasz kochany Tristram? – Geoffrey Wiltshire, nowy szef Wydziału Nauk Społecznych, dosłownie błękitnooki chłoptaş o tak jasnej karnacji, że niemal białowłosy. Tristram, starający się powściągać swą nienawiść do niego, wymusił kwaśny uśmiech i odpowiedział: – Dobrze.

– Podłączyłem się do twojej lekcji w Szóstej Klasie – rzekł Wiltshire. – Mam nadzieję, że się nie pogiewasz, mój drogi, drogi Tristramie. – Podsunął mu pod nos tchnienie perfum i dwa komplety rozświetlonych rżęs. – Ale nauczasz rzeczy, której *nie należy* nauczać.

– Nie przypominam sobie.

Tristram usiłował zapanować nad swym oddechem.

– Ja natomiast przypominam sobie dość dokładnie. Powiedziałeś coś w tym rodzaju: że sztuka nie może kwitnąć w takim społeczeństwie, jak nasze, ponieważ – chyba tak się wyraziłeś – sztuka jest wytworem – wydaje mi się, że tak to nazwałeś – *żądzy ojcostwa*. Czekał – powiedział – czekał! – widząc, że Tristram otwiera usta. – Mówiłeś też, że materią sztuki są, w gruncie rzeczy, symbole płodności. Otóż niezależnie od faktu, mój ciągle jeszcze drogi Tristramie, niezależnie od faktu, że całkiem niepojęte jest, jak właściwie miałyoby to przystawać do programu, całkiem bezpodstawnie – i temu nie zaprzeczysz – całkiem bezpodstawnie nauczałeś czegoś, co – jak by na to nie spojrzeć – jest co najmniej błuźnierstwem. – Rozległ się dzwonek na obiad. Wiltshire objął Tristrama ramieniem, kiedy wszyscy skierowali się do stołówki dla personelu.

– Ależ – powiedział Tristram, opanowując gniew – do licha, przecież to prawda. Wszelka sztuka jest aspektem seksu.

– Nikt, mój drogi Tristramie, nie zaprzeczy, że jest to poniekąd jak najbardziej słuszne.

– Ale rzecz sięga jeszcze głębiej. Wielka sztuka, sztuka przeszłości, to swoista gloryfikacja mnożenia się. Chodzi mi o to, że... na przykład dramat. Chodzi o to, że tragedia i komedia wywodzą się z obrzędów płodności. Kozioł ofiarny – po grecku *tragos* – i wiejskie obchody priapiczne, z których wykrystalizował się dramat komiczny. Chodzi mi o to – wypluł z siebie Tristram – że na przykład architektura...

– Dosyć tego. – Wiltshire przystanął i opuścił ramię, którym dotąd obejmował barki Tristrama. Pomachał mu palcem wskazującym przed oczyma, jak gdyby rozpraszał zasnuwający je dym. –

Więcej nie będziemy tego znosić, jak uważasz, drogi Tristramie? Proszę cię, uważaj, bardzo cię proszę. Bo wiesz, wszyscy cię naprawdę lubimy.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– To ma *bardzo dużo* do rzeczy. A więc bądź grzecznym chłopcem (był co najmniej o siedem lat młodszy niż Tristram) i trzymaj się programu. Wtedy nie popełnisz zbyt wielkich błędów.

Tristram nie odpowiedział, zawzięcie tłumiąc swój kipiący wściekłe temperament. Ale wszedłszy do zaparowanej stołówki, rozmyślnie i sztywno oddalił się od Wiltshire'a, podchodząc do stołu, przy którym siedzieli Visser, Adair, Freathy, Reznick (jedno z prastarych nazwisk od zawodu) i Haskell-Sprott. Ci byli nieszkodliwi i uczyli nieszkodliwych przedmiotów: prostych umiejętności, w których różnice zdań po prostu nie mogły się pojawić. – Wyglądasz – zauważył Adair o mongolskich oczach – jakby chciało ci się porzygać.

– Bo też chce mi się rzygać – odrzekł Tristram. Haskell-Sprott, uprzedzając cały ten galimatias, wyjadał łyżką bardzo rzadką jarzynową potrawkę i skomentował:

– Po tym dopiero ci się zechce.

– Te małe skurwle już lepiej się zachowują, odkąd nam zapewniono szanse, żeby im dawać wycisk – mówił Visser. Odegrał scenę zajadłego boksu. – Na przykład młody Mildred – dziwne nazwisko, co? przecież to imię dziewczyny, a ten chłopak ma takie nazwisko – dla przykładu. Dzisiaj znowu się spóźnił, więc co ja robię? Pozwalam, żeby się nim zajęli twardziele, no wiecie, Brisker i Couchman, cała ta banda. Coś pięknego, jak go załatwili. W dwie minuty. Nie mógł się dźwignąć z podłogi.

– Dyscyplinę trzeba wyegzekwować – przytaknął mu Reznick ustami pełnymi potrawki.

– Wiesz – powiedział Adair do Tristrama – ty naprawdę wyglądasz, jakbyś chciał zwymiotować.

– Żebyś tylko nie miewał porannych wymiotów – obszczerzył się wieczny kawalarz Freathy.

Tristram odłożył łyżkę. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Taki żart – rzekł Freathy. – Nie miałem nic złego na myśli.

– Mówiłeś coś o porannych wymiotach.

– Nieważne. Dowcip i tyle.

– Przecież to niemożliwe – odezwał się Tristram. – To całkiem niemożliwe.

– Na twoim miejscu – rzekł Adair – poszedłbym się położyć. Jakoś marnie wyglądasz.

– Absolutnie niemożliwe – rzekł Tristram.

– Jeśli nie chcesz swojej potrawki – rzekł Freathy, nie posiadając się z łapczywości – to ja z największą ochotą... – i przysunął sobie talerz Tristrama.

– To nie w porządku – odezwał się Reznick. – Należy się tym podzielić. To zwykła bezczelność. – Każdy z nich ciągnął talerz do siebie, rozchlapując potrawkę.

– Może lepiej pójdę do domu – rzekł Tristram.

– Zrób to – doradził Adair. – Może chwyta cię jakaś choroba. Coś zaraźliwego. – Tristram wstał i zataczając się poszedł zameldować się Wiltshire'owi. Reznick wygrał współzawodnictwo i teraz triumfalnie siorbał potrawkę.

– Żarłoczność – rzekł wyrozumiale Haskell-Sprott. – Tak się określa to zjawisko.

#### 4

– Ale jak to się mogło zdarzyć? – wykrzykiwał Tristram. – Jakim cudem? – Dwa kroki do okna, dwa z powrotem do ściany, cały w nerwach, kurczowo ściskając dłonie za plecami.

– Nie ma rzeczy stuprocentowo niezawodnych – rzekła Beatrice Joanna, spokojnie usadowiona.

– W Zakładach Antykoncepcyjnych mógł się zdarzyć sabotaż.

– Bzdura. Kompletna i całkowita, cholerna bzdura. Ta uwaga jest nieodpowiedzialna – wykrzyknął Tristram, który wściekł się na nią. – To typowe dla twojego podejścia.

– Czy na pewno – zagadnęła Beatrice Joanna – zażyłeś swoje tabletki przy tej pamiętnej okazji?

– Pewnie, że na pewno! Do głowy by mi nie przyszło, żeby tak ryzykować.

– Nie, no pewnie. To nie w twoim stylu. – Zakołysała głową, podśpiewując: – Z tabletką, z tabletką unikniesz ciąży #letko. – Przesłała mu z dołu uśmiech. – Byłby to niezły slogan, prawda? Ale nas już nie sloganami wychowuje się, żebyśmy byli grzeczni. Robi się to za pomocą grubego kija.

– Zupełnie tego nie mogę pojąć – rzekł Tristram. – Chyba że... – Popatrzył na nią ze ściągniętymi brwiami. – Ale tego byś nie zrobiła, co? Nie byłabyś aż taka zła i podła, i grzeszna, żeby to zrobić. – Wypowiedź iście augustiańska. Złapał ją za przegub. – Czy masz kogoś innego? – zapytał. – Powiedz prawdę. Obiecuję, że nie będę się wściekał – powiedział z wściekłością.

– Och, nie bądź głupi – odparła bardzo spokojnie. – Nawet gdybym chciała cię zdradzić, to z kim? Nigdzie nie chodzimy, nie znamy nikogo. A w ogóle – dodała z oburzeniem – nie życzę sobie, żebyś tak się do mnie odzywał. Żebyś tak myślał. Byłam ci wierna od dnia, kiedyśmy się pobrali, i oto jaka wdzięczność i jakie uznanie spotykają mnie za moją wierność.

– Na pewno zażyłem tabletki – rzekł Tristram, zawzięcie sobie wszystko przypominając. – Pamiętam, kiedy to zrobiłem. Było to w dniu, kiedy nasz biedny mały Roger...

– Tak, tak, tak.

– I właśnie spożyłem obiad, i jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, to ty zaproponowałaś...

– Och, nie, Tristram. Nie ja. Na pewno nie ja.

– I dokładnie sobie przypominam, że ściągnąłem apteczkę z sufitu i że...

– Byłeś pijany, Tristram. *Okropnie* jechało od ciebie spirtem. – Tristram na chwilę opuścił głowę. – Czy jesteś pewien, że to były *właściwe* tabletki? Ja tego nie sprawdzałam. Ty zawsze wiesz najlepiej, może nie? – Błysnęła sarkastycznie swymi prawdziwymi zębami. – Tak czy owak, stało się. Może to był nagły przyptyw *żądzy ojcostwa*.

– Skąd znasz to wyrażenie? – wrzasnął na nią. – Od kogo to słyszałaś?

– Od ciebie – westchnęła. – To zwrot, którego czasami używasz. – Wybałuszył się na nią. – Musi w tobie tkwić – dodała – nielichy kawał heretyka. Przynajmniej w podświadomości. Masz pojęcie, co ty wygadujesz przez sen? Najpierw budzi mnie twoje chrapanie, a potem upewniwszy się, że masz słuchaczy, zaczynasz wygłaszać. Na swój sposób jesteś wcale nie lepszy ode mnie.

– Hm. – Rozejrzał się niepewnie, gdzie by tu usiąść. Beatrice Joanna wydobyła ze ściany z pomrukiem drugie krzesło. – Jakkolwiek do tego doszło – rzekł siadając – musisz się tego pozbyć. Coś na to zażyć. Nie zostawisz tego, aż będziesz zmuszona udać się do Ośrodka Aborcji. To byłoby haniebne. Niemal tak fatalne jak złamanie prawa. Zaniedbanie – wymamrotał. – Brak samokontroli.

– Och, czy ja wiem? – Nazbyt obojętnie podchodziła do sprawy. – Może nie będzie aż tak źle, jak ci się wydaje. Chodzi mi o to, że ludzie miewają dzieci ponad normę i nie ponoszą za to większych konsekwencji. Mam prawo do dziecka – oświadczyła dobitniej. – Państwo mi zabiło Rogera. Państwo dało mu umrzeć.

– Ech, brednie. Wszystko to już przerabialiśmy. W swojej głupocie chyba nie uświadamiasz sobie, że wszystko się *pozmieniało*. *Wszystko się pozmieniało!* – Podkreślał to, szturchając ją w kolano, przy każdym słowie. – Słuchaj no – powiedział. – Minęły czasy, kiedy Państwo nas przekonywało. Państwo już nie prosi, nie przekonuje. Państwo nakazuje i zmusza. Czy uświadamiasz sobie, że w Chinach ludzi faktycznie skazują na śmierć za naruszenie prawa o kontroli urodzeń?

Tracą ich. Wieszają czy strzelają, nie jestem pewien. Emma napisała mi o tym w liście.

– Tu nie są Chiny – odparła. – My jesteśmy bardziej cywilizowani.

– Co za brednie. Wszędzie ma być to samo. Rodziców jednego z moich uczniów zabrała Policja Populacyjna, rozumiesz? Zeszłej nocy. A nawet, jak mi powiedziano, jeszcze nawet nie urodzili tego dziecka. Po prostu ona zaszła w ciążę, o ile mi wiadomo. Jak Doga kocham, kobieto, tylko patrzeć, kiedy zaczną wpadać z myszami w klatce, żeby przeprowadzać test moczu, czy aby nie jesteś w ciąży.

– Jak to się robi? – spytała z ciekawością.

– Ty jesteś niepoprawna. – Znów się zerwał. Beatrice Joanna z piskiem maszynierii schowała jego krzesło w ścianie, żeby miał gdzie chodzić. – Dziękuję. Otóż posłuchaj – przemówił – tylko się zastanów, gdzie jesteśmy. Jeżeli ktokolwiek dowie się o naszym niedbalstwie, chociażby jego skutek jeszcze się nie pojawił, jeżeli ktokolwiek się o tym dowie...

– A skąd ma się dowiedzieć?

– Och, czy ja wiem. Ktoś może cię rano podsłuchać, kiedy wstajesz – tak określił to przez delikatność. – Choćby nasza sąsiadka, pani Pettitt. Szpiegów nie brakuje, wiesz o tym. Gdzie policja, tam szpicle, wiadomo. Nazywają ich kapusiami. Albo możesz się przed kimś wygadać – no – przypadkowo. Mogę ci od razu powiedzieć, że wcale mi się nie podoba to, co się dzieje w szkole. Ta mała świnka Wiltshire ciągle włącza podsłuch na moich lekcjach. Słuchaj – powiedział – ja teraz wychodzę. Idę do apteki. Wezmę dla ciebie pigułki z chininą i oleju rycynowego.

– Nie lubię ich. Nie znoszę ich smaku. Daj mi trochę czasu, dobrze? Tylko trochę. Może wszystko się dobrze skończy.

– Ty znowu swoje. A ja ci usiłuję wbić do twojej tępej łepetyny – rzekł Tristram – że żyjemy w niebezpiecznych czasach. Policja Populacyjna ma ogromną władzę. Bywają naprawdę groźni.

– Nie sądzę, żeby mogli mi coś zrobić – odrzekła z satysfakcją.

– Dlaczego? A niby dlaczego?

– Po prostu mam takie przeczucie. – Uwaga, uwaga. – Intuicja mi to podpowiada. – I nagle: – Och! – krzyknęła na całe gardło – mam tego tego wyżej uszu! Jeżeli Bóg stworzył nas takich, jak jesteśmy, to co nas obchodzi, że Państwo nam coś rozkazuje? Bóg jest silniejszy i mądrzejszy od Państwa, może nie?

– Nie ma żadnego Boga. – Tristram dziwnie na nią popatrzył. – Skąd ci to przychodzi do głowy? Kto ci tak mówił?

– Nikt mi tego nie mówił. Przecież nie widuję się z nikim, tyle co wychodzę, żeby wykupić racje żywności. Jeżeli rozmawiam, to sama z sobą. Albo z morzem. Zdarza mi się rozmawiać z morzem.

– Co to wszystko ma znaczyć? Co się dzieje? Czy ty się dobrze czujesz?

– Poza tym, że jestem ciągle głodna – odrzekła – czuję się doskonale. Po prostu świetnie.

Tristram podeszedł do okna i popatrzył w górę, na kawałeczek nieba widoczny ponad gołymi wieżowcami. – Czasami chodzi mi po głowie – powiedział – a nuż Bóg rzeczywiście istnieje? Ktoś tam w górze – wymamrotał jakby w zadumie – rządzący tym wszystkim. Tylko – odwrócił się do niej, jakby nagle spanikowany – nie mów nikomu, że to powiedziałem. Ja nie mówię, że Bóg *istnieje*. Powiedziałem tylko, że czasami chodzi mi to po głowie, nic więcej.

– Nie za bardzo mi ufasz, prawda?

– Nikomu nie ufam. Wybacz, ale powiem ci szczerze. Po prostu już nie śmiem ufać nikomu. Chyba nie potrafię już ufać nawet samemu sobie. – Po czym wyszedł w perłowy Poranek, żeby kupić chininy w jednej państwowej drogerii, a oleju rycynowego w drugiej. W pierwszej rozgadał się o malarii, wspominając nawet, że odbył kiedyś podróż studyjną po Amazonce; a w drugiej z powodzeniem udawał, że ma zaparcie.

Jeżeli nie Bóg, to chyba musi istnieć przynajmniej kierujący tą układanką demiurg. Na takie myśli zebrało się Tristramowi znacznie później, kiedy już miał czas i chęć, aby znów myśleć. Następnego dnia (choć takie pojęcie funkcjonowało już tylko w kalendarzu, bo faktycznie system pracy na zmiany przedstawiał naturalny czas, jakby się przelatywało różne strefy czasowe) Tristram zorientował się, że ktoś go śledzi. Coś schludnie czarnego w tłumie za jego plecami, stale trzymającego się na odległość, w zbliżeniu – gdy Tristram skręcił w Rostron Place – okazało się przystojnym, niedużym facetem z wąsami, z jajkiem Polpopu wybuchającym w słońcu na czapce, z trzema gwiazdkami połyskującymi na epoletach. Tristram uświadomił sobie, że wchłania go jakby galaretowate wrażenie koszmaru: członki miękną, płytki oddech i beznadziejność. Ale kiedy ciężarówka z przyczepą, pełna wyposażenia dla Ministerstwa Żywności Syntetycznej, zaczęła ostrożnie wjeżdżać z Rostron Place w Adkins Street, Tristram zdobył się na tyle sił i woli przetrwania, żeby przebiec na jej drugą stronę i odgrodzić się od swojego prześladowcy całą górą czerwonych rur i kotłów. Nie żeby to naprawdę coś załatwiało, uświadomił sobie, czując się beznadziejnie i głupio; i tak dopadną go, jeżeli o to im chodzi. Skręcił po raz drugi na lewo w Hanania Street. Rozciągała się tam przez całą szerokość dolnego piętra Reppel Building restauracja Metropol, przybytek wyższych urzędników, nie dla skromnego nauczyciela, niepewnego swojej pozycji. Pobrząkując w lewej kieszeni spodni kilkoma szóstakami, półkoronówkami i siódmakami, wszedł do środka.

W kręgu szklanek, szarych i czarnych mundurów na szerokich barach i jakby dziewczęcych ramionach, rozmawiano o sprawach publicznych. („Rezbat 371 stawia sprawę zupełnie jasno.”) Tristram przemknął się do pustego stolika i czekał na kelnera. („Przydział surowców należy wypracować na konferencji międzywydziałowej.”) Podeszedł kelner, czarny jak as pikowy w kremowym żakiecie. – Z czym pan każe? – zapytał. – Z pomarańczą – zamówił Tristram, nie odrywając oczu od wahadłowych drzwi. Weszła para elegantów w szarych mundurach, pokładając się ze śmiechu; poważny łysy wałach z chłopięcym sekretarzem; męska baba z wielkim, beżużytecznym biustem. Po czym Tristram ujrzał swojego prześladowcę, nie bez swoistej ulgi. Oficer zdjął czapkę, ukazując krótkie, proste, jakby natłuszczone włosy w kolorze rdzy, i rozejrzał się po tłumie pijących; Tristram omal nie pomachał, żeby mu pokazać, gdzie jest. Lecz oficer go i tak zaraz wypatrzył i podeszedł, uśmiechając się.

– Pan Foxe? Pan *Tristram* Foxe?

– Owszem, jak panu doskonale wiadomo. Proszę usiąść. Chyba że od razu chce mnie pan zgarnąć, rzecz jasna.

Czarny kelner przyniósł Tristramowi napój.

– Zgarnąć pana? – roześmiał się oficer. – Ach, rozumiem. Hej – odezwał się do kelnera – proszę to samo. Tak – zwrócił się do Tristrama – jest pan całkiem podobny do brata. Z wyglądu. Zupełnie jak pański brat Derek. Co do reszty, oczywiście nie mam pojęcia.

– Proszę ze mną nie igrzać – rzekł Tristram. – Jeśli chce pan wygłosić oskarżenie, to słucham. – Nawet wyciągnął przed siebie przeguby, jak gdyby jechał na rowerze.

Oficer się głośniej roześmiał. – Coś panu doradzę, panie Foxe – powiedział. – Jeżeli pan coś popełnił, to proszę poczekać, aż zostanie wykryte. Bo widzi pan, jesteśmy aż nadto zajęci nawet bez tego, żeby winowajcy zgłaszali się na ochotnika. – Położył otwarte dłonie na stole, jakby dla pokazania, że nie ma na nich krwi, i uśmiechnął się mile do Tristrama. Sprawiał wrażenie całkiem przyzwoitego faceta, mniej więcej w tym samym wieku co Tristram.

– Wobec tego – rzekł Tristram – czy mogę spytać... – Oficer pokręcił głową, jakby sprawdzał, czy ktoś w pobliżu mógłby ich usłyszeć, choćby nie podsłuchiwał. Ale Tristram skromnie był wybrał oddalony i osobny stolik. Oficer lekko skinął głową, zadowolony.

Rzekł: – Nie podam panu swego nazwiska. Mój stopień sam pan widzi: kapitan. Pracuję w organizacji, której Komisarzem jest pański brat. Chciałbym porozmawiać właśnie na temat pańskiego brata. Jak rozumiem, nie przepada pan za nim.

– Bynajmniej – odpowiedział Tristram. – Ale nie rozumiem, co to ma do czegokolwiek i kogokolwiek. – Kelner przyniósł spirt dla kapitana, a Tristram zamówił jeszcze jeden. – Na mój rachunek – rzekł kapitan. – Proszę od razu dwa. 1 to podwójne. – Tristram uniósł brwi.

– Jeżeli chce mnie pan upić – powiedział – żebym wygadał rzeczy, których nie powinienem...

– Co za głupstwa – roześmiał się kapitan. – Ależ z pana podejrzliwy człowiek. Sam pan widzi. Wyobrażam sobie, że jest pan doskonale świadom swej podejrzliwości.

– Bo jestem – odrzekł Tristram. – Okoliczności sprawiają, że wszyscy jesteśmy podejrzliwi.

– Powiedziałbym – zagaił kapitan – że pański brat Derek wspaniale sobie radzi, nieprawdaż? I to pomimo rozmaitych spraw. Na przykład mimo tego, jakie ma zaplecze rodzinne. Ale jak się jest homo, pan rozumie, to ściiera wszystkie inne grzechy, na przykład grzechy ojców.

– Radzi sobie wybornie – rzekł Tristram. – Derek jest obecnie bardzo wielkim człowiekiem.

– Ale powiedziałbym, że jego pozycja nie jest mimo to niewzruszona, bynajmniej. A co się tyczy *wielkiego* człowieka... no cóż, wielkość to rzecz względna, nieprawdaż? Tak – przytaknął sam sobie kapitan – względna. – Nachylił się bliżej do Tristrama i powiedział jakby od niechcenia: – Moje stanowisko w Ministerstwie, pan rozumie, upoważniało mnie co najmniej do wyższego stopnia w nowym korpusie. A noszę, jak pan widzi, trzy marne gwiazdki kapitańskie. Ktoś o wiele młodszy ode mnie nazwiskiem Dann zamiast nich nosi korony. Przeżył pan kiedyś, panie Foxe, coś podobnego? Czy zaznał pan kiedyś tego upokorzenia, że młodszy od pana przeskoczył pana w awansie?

– Och, tak – potwierdził Tristram. – Och, jeszcze jak. Och, jak najbardziej. – Kelner przyniósł dwa podwójne spirty. – Pomarańcza się skończyła – wyjaśnił. – Przyniosłem z czarną porzeczką. Mam nadzieję, że panowie nic nie mają przeciwko temu.

– Tak sądziłem – kiwnął głową kapitan. – Że pan to zrozumie.

– Oczywiście przez to, że nie jestem homo – rzekł Tristram.

– Bardzo wierzę – odpowiedział kapitan w grubym niedomówieniu – że jedno z drugim miało trochę wspólnego. Pański brat z pewnością by nie zaprzeczył, jak wiele zawdzięcza, pan rozumie, swojej seksualnej odwrotności. Ale niechże mi pan opowie, panie Foxe, o tej jego uroczej seksualnej odwrotności, pan go przecież zna od dziecka. Czy powiedziałby pan, że to jest autentyczne?

– Czy autentyczne? – Tristramowi zmarszczyło się czoło. – Ależ tak, powiedziałbym wręcz, że do obrzydliwości. Zaczął z tym figlować, zanim skończył szesnaście lat. Nigdy nie interesował się dziewczętami.

– Nigdy? Hm. Powróćmy do pańskiego wyznania, panie Foxe, że jest pan człowiekiem podejrzliwym. A czy podejrzewał pan kiedyś swoją żonę? – Uśmiechnął się. – To pytanie, które niełatwo zadać mężowi, ale pytam o to w najlepszej wierze.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł Tristram. A potem: – Jak Doga kocham, co pan przez to rozumie?

– Zaczyna panu świtać – kiwnął głową kapitan. – Jest pan szybki. Otóż, pan rozumie, to sprawa bardzo delikatna.

– Pan mi usiłuje powiedzieć – rzekł Tristram z niedowierzaniem – pan mi próbuje wmówić, że

moja żona... że moja żona i mój brat Derek...

– Obserwuję go już od dłuższego czasu – oznajmił kapitan. – On był świadom, że obserwuję go, ale niezbyt się tym przejmował. Udawać homoseksualistę, dla człowieka o normalnej orientacji, to musi być bardzo męczące, tak jakby silił się bez chwili przerwy na uśmiech. Że pański brat Derek spotykał się z pańską żoną przy różnych okazjach, za to ręczę. Mogę podać daty. Wiele razy odwiedzał pańskie mieszkanie. Oczywiście nie musi to jeszcze nic oznaczać. Może udzielał pańskiej żonie lekcji języka rosyjskiego.

– A to suka – rzekł Tristram. – A to skurwysyn. – Sam nie wiedział, które z nich go bardziej wkurzyło. – Nigdy mi nie mówiła. Nigdy ani słowem nie wspomniała, że on tam bywał. Ale teraz wszystko się układa w całość. Tak, zaczynam rozumieć. Spotkałem go, jak wychodził. Ze dwa miesiące temu.

– Aha. – Kapitan znów skinął głową. – Chociaż nigdy, pan rozumie, nie było dowodu. W sądzie – dopóki jeszcze istniały sądy – coś takiego nie zostałoby uznane za dowód występku. Pański brat mógł regularnie odwiedzać wasze mieszkanie na przykład dlatego, że lubił swego bratanka. Oczywiście nie przychodziłby, kiedy pan jest obecny, bo wiedział, że pan go nie kocha, zresztą jak i on pana. A żona pańska mogła nie wspominać o jego wizytach, bo pan mógłby się o to pogniewać. A kiedy wasze dziecko umarło, dwa miesiące temu, jeżeli mnie pamięć nie myli, to wizyty ustały. Oczywiście te wizyty mogły się skończyć z całkiem innego powodu, mianowicie dlatego, że awansował na swoje obecne stanowisko.

– Dużo pan wie, nieprawdaż? – rzekł Tristram z goryczą.

– Muszę dużo wiedzieć – odparł kapitan. – Ale podejrzenie, pan rozumie, to jeszcze nie pewność. Teraz przechodzę do czegoś ważnego, co naprawdę wiem o pańskiej żonie i pańskim bracie. Otóż pańska żona napisała do pańskiego brata. Za dawnych czasów nazywałoby się to listem miłosnym. Tylko ten jeden raz, ale w sposób nader obciążający. Napisała to w dniu wczorajszym. W liście pisze, jak strasznie jej brakuje pańskiego brata i rzecz jasna również o tym, jak bardzo go kocha. Wymienia również trochę szczegółów natury erotycznej... nie za dużo, ale wystarczająco. To głupota z jej strony, że napisała ten list, ale jeszcze większą głupotą było, że pański brat po przeczytaniu natychmiast go nie zniszczył.

– A więc – zawarczał Tristram – *pan* to widział na własne oczy, tak? A to niewierna suka – dorzucił. A potem: – To wyjaśnia całą sprawę. Wiedziałem, że *ja* się pomylić nie mogłem. Wiedziałem. Co za parszywe, oszukańcze, zdradzieckie... – miał na myśli oboje.

– Niestety – podjął kapitan – w sprawie tego listu musi pan polegać na moim słowie. Pańska żona wszystkiemu zaprzeczy, to jasne. Ale będzie wyczekiwała na to, kiedy pański brat Derek najbliższym razem wygłosi swoją pogadankę w telewizji, bo zażądała, żeby w tej pogadance znalazło się ukryte przesłanie do niej samej. Żeby jakoś wprowadził tam słowo *kochać* albo *pożądać*. Nieźle pomyślane – skomentował kapitan. – Zakładam jednak, że pan nie będzie widział potrzeby, aby czekać na takie potwierdzenie. To może, pan rozumie, w ogóle nie nastąpić. Tak czy owak zaś te dwa słowa, jedno z nich czy obydwa, mogą się całkiem naturalnie pojawić w telewizyjnym przemówieniu o treści patriotycznej: wszystko, co teraz się mówi w telewizji, jest patriotyczne, prawda? Mógłby na przykład powiedzieć, że kocha ojczyznę, albo że wszyscy pożądają sposobności, ażeby wnieść swój udział w wyjściu z aktualnie krytycznej sytuacji, jeśli taka zachodzi. Istotne wydaje mi się to, że pan, jak sądzę, zechce niemalże natychmiast przejść do działania.

– Tak – powiedział Tristram. – Natychmiast. Niech odejdzie. Niech sobie idzie. Nie chcę jej oglądać więcej na oczy. Niech sobie urodzi to dziecko. Gdziekolwiek zechce. Nie będę jej powstrzymywał.

– Czy pan chce przez to powiedzieć – rzekł ze zgrozą kapitan – że pańska żona jest w ciąży?

– Nie ze mną – powiedział Tristram. – Wiem to na pewno. Przysięgam, że nie ze mną. To Derek.

Ta świnia Derek. – Grzmotnął w stół i szklanki zatańczyły przy swojej własnej muzyce. – Rogacz – powiedział, niczym w jakiejś chichotliwej komedii z czasów elżbietańskich – za sprawą własnego brata.

Kapitan przyglądał sobie rdzawego wąsa małym palcem u lewej dłoni, najpierw jeden wąż, potem drugi. – Rozumiem – rzekł. – Oficjalnie nic mi o tym nie wiadomo. Nie ma dowodu, pan rozumie, że nie pan za to odpowiada. Zachodzi, co pan sam musi przyznać, możliwość, że dziecko – jeśli w ogóle przyjdzie na świat – co nie musi, rzecz jasna, oficjalnie nastąpić – że to dziecko jest pańskie. Chodzi mi o to, że skąd oficjalnie ktoś może wiedzieć, czy pan mówi prawdę?

Tristram popatrzył na niego zwężonymi oczyma.

– Pan mi wierzy?

– W co ja wierzę, to nie ma nic do rzeczy – odparł kapitan. – Przyzna pan jednak, że zwalanie takiej sprawy na Komisarza Policji Populacyjnej spotka się z niedowierzaniem. Związek z jakąś kobietą, pan rozumie, to całkiem inna sprawa. W przypadku pańskiego brata, ze względu na jego wysokie stanowisko, to złe i głupie. Ale żeby *zapłodnić* swoją kochankę... to już niesamowity przykład kretynstwa tak zawrotnego, że debilizm jego stałby się niewiarygodny. Pan rozumie? Pan rozumie? – Jego porzekadło po raz pierwszy było rzeczywiście pytaniem.

– Dorwę go – przyobiecał Tristram. – Nie ma obawy, dorwę go, tego świntucha.

– Wypijmy za to jeszcze po jednym – rzekł kapitan. Czarny kelner znajdował się w pobliżu, wybijając rytm swą metalową tacą na lekko ugiętym kolanie, z cicha wtórując bez melodii temu blaszanemu bębnieniu. Kapitan strzelił w palce. – Dwa podwójne – zarządził.

– Oboje są jednakowo winni – rzekł Tristram. – Czy może być ohydniejsza zdrada? Żona zdradziła. Brat zdradził. Och, mój Dogu, Dogu, Dogu. – Klepnął się dłońmi w oczy i policzki, kryjąc je od zdradzieckiego świata, lecz ukazując swe rozdygotane usta.

– Tak naprawdę to *on* jest winien – rzekł kapitan. – Zdradził nie tylko swego brata. Zdradził Państwo i swoje wysokie stanowisko państwowe. Pan rozumie, popełnił najpodlejszą i najgłupszą ze zbrodni. Proszę dorwać go, jego pierwszego. Pańska żona to kobieta i tyle, a kobiety nie mają poczucia odpowiedzialności. To on sprawił, on. Proszę go dorwać. – Pojawiły się trunki w barwie żalobnej purpury.

– I pomyśleć – jęknął Tristram – że dałem jej miłość, zaufanie... wszystko, co może dać mężczyzna.

Pociągnął spirytu z sokiem owocowym.

– Do diabła z tym, pan rozumie – odparł niecierpliwie kapitan. – Pan jeden może go dopaść. A ja niby co mogę zrobić, w mojej sytuacji, no co? Nawet gdybym zachował ten list, choćbym go zachował, myśli pan, że on by się nie dowiedział? Nie sądzi pan, że nadszedł by na mnie swoich zbirów? To niebezpieczny człowiek.

– A *cóż* ja mogę zrobić? – łzawo zapytał Tristram. – On ma bardzo wysokie stanowisko. – Ta nowa szklanka okazała się pełna biadolenia. – Żeby tak postąpić, nadużyć swojego stanowiska, zdradzić własnego brata!

Usta mu się roztrzęsły, wilgoć pociekła wokół szkieł kontaktowych. Wtem rąbnął potężnie pięścią w stolik. – A to suka! – wybuchnął, pokazując dolną protezę. – Poczekaj, niech ja się z nią zobaczę, poczekaj.

– Tak, tak, owszem, to może poczekać, pan rozumie. Pan posłucha, najpierw niech pan *jego* załatwi, tak jak mówię. On się przeprowadził, teraz mieszka pod 2095 Winthrop Mansions. Tam go



trzeba dorwać, załatwić go, dać mu nauczkę. On mieszka samotnie, pan rozumie.

– To znaczy zabić go? – zdumiał się Tristram. – Zabić?

– *Crime passionel*, tak się to nazywało. Zbrodnia w afekcie. Żonę można prędzej czy później zmusić do przyznania się, pan rozumie. Dorwij go pan, załatw go pan.

W Tristramie obudziło się mgliste podejrzenie. – Na ile mogę panu zaufać? – odezwał się. – Nie dam się wykorzystać, nie pozwolę się zmusić do wykonania za kogoś brudnej roboty, pan rozumie. – W końcu nie obeszło się bez tego, że zaraził się jego porzekadłem. – Opowiadał pan różne rzeczy o mojej żonie. Skąd mam wiedzieć, że tak było i że to prawda? Nie ma pan żadnych dowodów, nie pokazał mi pan dowodu. – Odsunął pustą szklankę na środek stołu. – Weź pan sobie ten parszywy trunek, którym usiłował pan mnie upić. – Zaczął się, nie bez trudu, podnosić z krzesła. – Idę do domu załatwić to z moją żoną, to właśnie zamierzam zrobić. A potem zobaczymy. Ale nie będę wykonywał za pana brudnej roboty. Nie ufam żadnemu z was i na tym koniec. Wszystko to są intrygi.

– Więc ciągle jeszcze pana nie przekonałem – rzekł kapitan. Zaczął szperać w bocznej kieszeni swej mundurowej kurtki.

– Tak, intrygi. Walka o władzę wewnątrz partii, typowe dla Interfazy. Otóż jestem historykiem. Powinienem być kierownikiem Wydziału Nauk Społecznych, gdyby ten świński pedał nie...

– Dobra, dobra – powiedział kapitan.

– Zdradzony – przemówił dramatycznie Tristram. – Zdradzony przez pedałów.

– Proszę przestać się tak wyrażać – ostrzegł go kapitan – bo jeszcze trochę, a zostanie pan zatrzymany.

– To wszystko, co potraficie. Zatrzymać. Aresztować. Zatrzymani w rozwoju, ha ha. – I znowu – Zdradzony.

– No dobrze – powiedział kapitan. – Skoro chce pan dowodu, to proszę. – Wyjął z kieszeni list i podniósł go do góry.

– Proszę mi go dać – zażądał Tristram, usiłując pochwycić list w pazury. – Chcę go zobaczyć.

– Nie – odparł kapitan. – Skoro pan mnie nie wierzy, dlaczego ja miałbym wierzyć panu?

– Więc tak – rzekł Tristram. – Więc napisała do niego. Świński list miłosny. Niech no jej dopadnę. Niech ja dopadnę ich obojga. – Rzucił z brzękiem na stolik, nie licząc, garść siódmaków i florenów, i z niewidzącymi oczyma, bardzo chwiejnie jął się zbierać do wyjścia.

– Jego najpierw – zaznaczył kapitan. Ale Tristram, zataczając się, już wychodził, ślepo zdążając do celu. Kapitan przybrał minę tragikomiczną i schował list do kieszeni. Był to list od starego przyjaciela, niejakiego Dicka Tumbulla, spędzającego urlop w Schwarzwaldzie. Przyszły takie czasy, że ludzie nie patrzą, nie słuchają, nie pamiętają. A jednak ten drugi list naprawdę istniał. Kapitan Loosley jak najbardziej widział i czytał go na biurku Komisarza Metropolii. A Komisarz, niestety – zanim zgarnął go wraz z resztą prywatnej korespondencji, po części obraźliwej, i wrzucił do piekielnej dziury w ścianie, widział, że on go zobaczył.

## 6

Skaczące zmieraczki plażowe, powłócznice, morski agrest, kość sepii, wargacze, ślizgowce i głowacze, rybitwy, głuptaki i mewy srebrzyste. Beatrice Joanna jeszcze raz odetchnęła morzem, po czym udała się do Państwowego Magazynu Żywnościowego (filia na Rossiter Avenue) u podnóża mieszkalnej góry zwanej Spurgin Building. Racje żywności znów zostały obcięte, nawet bez ostrzeżenia czy przeproszenia ze strony odpowiedzialnych za to bliźniaczych ministerstw. Beatrice Joanna otrzymała i zapłaciła za dwa brązowe bloki odwodnionych jarzyn strączkowych, dużą białą

puszkę syntemleku, płaty sprasowanego produktu zbożowego, niebieską butelkę „odżywu” czyli kostek odżywczych. Ale w odróżnieniu od innych pobierających to kobiet Beatrice Joanna nie popadła w jęki i odgrazania się (jakkolwiek stłumione, bo trzy dni temu nastąpiła tu niewielka i szybko stłumiona rewolta klientek, więc dzisiaj przy drzwiach stały szaraki). Przepęniała ją morze, niczym jakieś ogromne, sycące, okrągłe danie z chybotliwego mięsa, przerastałego na niebiesko i zielono. Wychodząc ze sklepu, zastanawiała się ogólnikowo, jak smakuje mięso. W ustach miała tylko wspomnienie słonawej, żywej, ludzkiej skóry w kontekście wyłącznie miłosnym: płatki uszu, palce, wargi. *On jest moje mięso*, śpiewano w piosence o przeuroczym Fredzie. Pomyślała sobie, że chyba przez to należy rozumieć termin: sublimacja.

I tak oto na zatłoczonej ulicy, w trakcie niewinnych zajęć gospodyni domowej, nagle dopadły ją głośne oskarżenia mężowskie.

– Tutaj jesteś! – wykrzyknął, chwając się od spirytu. Wściekle wymachiwał do niej rękoma, stojąc jakby przyklejony do chodnika pod wejściem do mieszkań, zajmujących większą część gmachu Spurgin Building. – Na gorącym uczynku, co? Przyłapana w drodze powrotnej! – Wielu przechodniów zainteresowało się. – Że niby wyszłaś na zakupy, co? Wiem o wszystkim, nie musisz udawać! – Zignorował jej siatkę ze skąpą zawartością. – Wszystko mi powiedziano, wszyściutko. – Zatoczył się, balansując rękoma, jakby na parapecie wysokiego okna. Odrobina życia w brzuchu Beatrice Joanny zadygotała, jakby zagrożona. – Tristram – zaczęła go dzielnie sztorcować – znowu piłeś! Natychmiast wracaj do domu i do tej windy! – Zdradziłaś mnie! – zawył Tristram. – Jesteś w ciąży! Z moim przeklętym bratem! Ty suko jedna, suko! No, to urodzisz je sobie. Jazda, wynoś się i ródź. Wszyscy już o tym wiedzą. – Niektórzy przechodnie wydawali ganiące odgłosy. – Tristram – powiedziała Beatrice Joanna przez rozciągnięte wargi. – Nie mów mi Tristram! – odparł Tristram, jakby to nie było jego imię. – Ty niewierna suko. – Wchodź do środka! – rozkazała mu Beatrice Joanna. – To jakaś pomyłka. Nie przy ludziach. – A dlaczego? – zaszydził Tristram. – Bo nie wypada? No jazda, zabieraj się. – Cała zatłoczona ulica i niebo stały się jego własnym, zdradzonym domostwem, celą tortur. Beatrice Joanna stanowczo usiłowała wejść do Spurgin Building. Tristram usiłował jej w tym przeszkodzić, machając rękoma jak rżęski pierwotniaka.

I wtedy rozległ się zgiełk, dobiegający od Froude Place. Był to pochód mężczyzn w kombinezonach, z wyglądu prostaków, idących z beładnym krzykiem hałaśliwego protestu.

– No widzisz? – zatriumfował Tristram. – Wszyscy wiedzą.

Mieli na kombinezonach PZWS i koronę, symbole Państwowych Zakładów Wytwórstwa Syntetycznego. Niektórzy nieśli protestacyjne transparenty: kawałki syntetycznego materiału przybite do kijów od szczotek, pośpiesznie ucięte kawałki kartonu na cienkich listwach. Jedynym prawdziwym napisem był logogram STRK. Oprócz tego niezdarne rysunki ludzkich szkieletów.

– Z nami koniec – oznajmił Tristram.

– Ty głupi kretynie – rzekła Beatrice Joanna – włącz do środka. Nie będziemy się do tego mieszać.

Wściekle patrzący przywódca robotników stanął na cokole latarni, lewym ramieniem trzymając się słupa. – Bracia! – wykrzyknął. – Bracia! Jeżeli chcą, żebyśmy robili porządną dniówkę, to muszą nas, do kurwy nędzy, porządnie karmić.

– Powiesić tego Jacksona – wymachiwał starszawy robotnik. – Na szubienicę drania.

– Wsadzić go do garnka i ugotować – zawołał jakiś komicznie zezowaty Mongoł.

– Nie bądź głupi – rzekła z niepokojem Beatrice Joanna. – Ja się stąd wynoszę, a ty zostań, jeżeli chcesz. – Gwałtownie odepchnęła zastępującego jej drogę Tristrama. Jej zakupy rozsypały się, a Tristram zadreptał i upadł. Rozplakał się. – Jak mogłaś, *jak mogłaś*, z moim własnym bratem? –

Weszła z zawziętym wyrazem twarzy do Spurgin Building, zostawiając go z jego sonatą pretensji. Tristram pozbierał się z trudnością i wstał, ściskając w rękach puszkę syntemleku. – Co się pchasz – ofuknęła go jakaś kobieta. – Mnie nic do tego. Chcę się dostać do domu.

– Mogą nam grozić – zawołał przywódca – aż ich ciężki szlag trafi. Mamy swoje prawa i nie mogą nas ich pozbawić, ani odebrać nam słusznych uprawnień w razie ich naruszenia, temu kurwa nie mogą zaprzeczyć. – Okrzyki. Tristram ujrzał się otoczony, wmieszany w tłum robotników. Jakaś uczennica, tak samo zagarnięta przez tłum, zaczęła płakać. – Bardzo słusznie, tak trzymać – potwierdził młody jeszcze mężczyzna, pryszczaty i niedogolony. – Zagłodzą nas wszystkich, kurwa, do tego idzie. – Zezwaty Mongoł odwrócił się do Tristrama całą twarzą. Mucha usiadła mu na porowatym nosie; oczy miał w sam raz tak ustawione, żeby ją widzieć. Przyglądał się, jak odlatuje, niby jakiś symbol wyzwolenia. – Nazywam się – rzekł do Tristrama – Joe Blacklock. – Po czym, zadowolony, zaczął znowu słuchać przywódcy. A ten wykrzykiwał, sam niestety pulchny jak kapłon: – Niech posłuchają, jak robotnikom puste kiszki grają marsza. – Okrzyki. – Solidarność! – wrzasnął ten solidnie zbudowany. Znowu okrzyki. Tristram był zgniatany w ścisku, popychany. I wtedy zjawiono się dwóch szaraków spod Państwowego Magazynu Żywnościowego (filia na Rossiter Avenue), uzbrojonych jedynie w pałki. Męscy z wyglądu, zaczęli energicznie działać. Rozległ się wielki krzyk bólu i wściekłości, gdy szarpnęli za prawe ramię czepiającego się latarni przywódcę. Ten wymachiwał i protestował. Jeden z policjantów upadł, stratowany butami. Nie wiadomo skąd pojawiła się krew na czyjejsz twarzy, jak najpoważniej. – Aaaaargh! – zacharczał mężczyzna tuż obok Tristrama. – Ubić skurwysynów! – Uczennica wrzasnęła. – Wypuścić ją! – zawołał trzeźwiejący Tristram. – Na Doga jasnego, zróbcie przejście. – Miażdżący tłum napierał. Jeszcze stojący szarak został przyparty do ciosowego muru Spurgin Building. Z rozdziawioną, zdyszaną gębą tłukł po czaszkach i twarzach. Ktoś wypluł górną protezę i w powietrzu zawisł na chwilę wyszczerzony uśmiech kota z Cheshire. Po czym rozległy się gwizdki. – Jedzie więcej tych skurwli – odezwał się zdławiony głos Tristramowi w sam kark. – Pyskać, cholera. – Solidarność! – wrzeszczał przywódca, zagubiony gdzieś pośród pięści. Syreny wozów policyjnych wyły w ponurych glissandach na trzy tony, w górę i w dół. Tłum rozlał się językami na wszystkie strony, jak ogień albo woda, rozbryźnięta przez kamień. Uczennica przebiegła jezdnię na pajęczych nóżkach, prysnęła w boczną uliczkę. Tristram wciąż tulił do siebie, jak niemowlę, białą puszkę syntemleku. Szaraki już zajęły ulicę, część twardych i głupich z wyglądu, inni słodziutko i wdzięcznie uśmiechnięci, wszyscy z karabinami w pogotowiu. Paradował wśród nich oficer ze świecącymi dystynkcjami na każdym ramieniu, z gwizdkiem w ustach jak smoczek, z dłonią na kaburze. Tłum przypatrywał się z obu końców ulicy. Powyżej ramion chwiały się tam i z powrotem plakaty i transparenty, teraz już lekko i niepewnie. W pogotowiu stały czarne furgonetki z otwartymi bocznymi drzwiami, ciężarówki z opuszczoną klapą. Sierżant coś wykrzyczał. W jednym miejscu przepychano się i ruszyły sztandary. Błyskotliwy inspektor z gwizdkiem wyjął pistolet z kabury. Wydał jeden srebrzysty gwizd i karabin splunął w powietrze. – Brać skurwysynów! – krzyknął jakiś robotnik w podartym kombinezonie. Wstępne natarcie zbitej falangi mężczyzn gwałtownie nabrało pędu i jeden z szaraków zwałił się z wrzaskiem. Tym razem gwizd zaświdrował jak bolący ząb. Karabiny zagrzmiały już na dobre i kule, jak szczenięta, zaskomlały odbite od murów. – Ręce do góry! – rozkazał inspektor, wyjąwszy gwizdek z ust. Niektórzy z robotników leżeli, rozwaleni i krwawiący w słońcu. – Zgarniać ich wszystkich! – wrzasnął sierżant. – Starczy miejsca dla wszystkich, ślicznotki. – Tristram upuścił swoją puszkę syntemleku. – Uwaga na tego tam! – krzyknął oficer. – Bomba własnej roboty.

– Ja do nich nie należę – próbował wyjaśniać Tristram, z rękoma założonymi na głowę. – Właśnie szedłem do domu. Jestem nauczycielem. Stanowczo protestuję. Zabierzcie te łapska.

– Dobrze – odpowiedział uprzejmie jakiś zwalisty szarak i kolba karabinu rąbnęła go prosto w brzuch. Tristram wypuścił z siebie delikatną fontannę purpurowego soku, którym rozrzedzano spirt. – Właż. – Wepchnięto go do czarnej ciężarówki, w jamie nosowej gardła doskwierał mu smak krótkiego rzygnięcia. – Mój brat – zaprotestował. – Komisarz pop... pop... pop... pop... – Nie mógł skończyć z tym pop. – Moja żona w tym domu, dajcie mi chociaż pomówić z żoną.

– Właż.

Poleciał do góry po szczeblach majdającej się klapy. – Pomuffić z zionom – zaszydził głos jakiegoś robola. – Ho ho. – Ciężarówka była pełna potu i rozpaczliwego dyszenia, jak gdyby całą jej zawartość dobrotliwie uchroniono przed jakimś morderczym biegiem na przełaj. Łupnęła podniesiona kłapa z wesołym brzękiem łańcuchów, zapadła kurtyna z plandeki. Robotnicy okrzyknęli radośnie zupełną ciemność i paru z nich zakwiczało dziewczęcym głosem: – Przestań, powiem mamie! – i: – Ach, jesteś nieznośny, Arturze! – Jakiś rozważny, oddychający kawał ciała obok Tristrama przemówił: – Nie biorą tego poważnie, to największy kłopot z wieloma z nich. Trudno na nich polegać. – Niski głos o luźnych, północnych samogłoskach zdobył się na żart: – Może komuś kanapkę z jajecznicą? – Słuchajcie – Tristram omal nie zapłakał w tę woniejącą ciemność: – Szedłem po prostu rozmówić się z żoną i tyle. To nie miało ze mną nic wspólnego. To nie fer. – Poważny głos przy nim rzekł: – Pewnie, że nie fer. Nigdy nie postępowali fer z robotnikami. – Inny, wrogi Tristramowi akcent warknął: – Zawrzyj ten ryj. Znamy takich. Mam cię na oku – co było jawnie niemożliwe. Tym czasem wiadomo było, że pędzą w całym konwoju i wyczuwało się ulice pełne szczęśliwych, nie zaaresztowanych ludzi. Tristram gotów był się pobeczeć. – Rozumiem – odezwał się jakiś nowy głos – że nie masz ochoty włączać się do naszej walki, przyjacielu, dobrze mówię? Inteligenci nigdy nie byli po stronie robotników. Czasami udawali, że są, ale tylko po to, żeby zdradzić. – To mnie zdradzono! – krzyknął Tristram. Ktoś odezwał się: – Dupa jego zdradzona. – I znudzony głos: – Zdrada klerków. – Ktoś zaczął przygrywać na organkach.

W końcu ciężarówka się zatrzymała z ostatecznym zgrzytem hamulców, z otwieraniem i trzaskaniem drzwi szoferki. Odciąganie zasuw, grzechot łańcuchów, i wielkie światło dnia wdarło się jak wiatr. – Wyłazić – rzekł kapral z karabinem, ospowaty Mikronezyjczyk. – Pan posłucha – rzekł wysiadając Tristram – chcę zgłosić w tej sprawie jak najbardziej stanowczy protest. Żądam, aby pozwolono mi zatelefonować do Komisarza Foxe, mojego brata. Nastąpiła tu straszna pomyłka. – Właż – rzekł jakiś policjant i Tristrama wepchnięto z innymi w przejście. Ponad ich głowami czterdzieści kilka pięter uleciało w niebo. – Wasza grupa tutaj – powiedział sierżant. – Po trzydziestu pięciu na jedną celę. Dla nikogo nie zabraknie miejsca, wy obrzydliwe, wielkie, antyspołeczne stwory. – Ja protestuję – zaprotestował Tristram. – Nie wchodzę tam – powiedział wchodząc. – Och, zamknij wreszcie – rzekł jakiś robotnik. – Z przyjemnością – odpowiedział sierżant. Zahurgotały za nimi trzy zasuw i na dodatek jeszcze klucz obrócił się w zardzewiałym zamku.

7

Beatrice Joanna spakowała tylko jedną torbę, bo nie miała wiele do pakowania. To nie były czasy posiadaczy. Pożegnała się z sypialnią, oczy jej zwilgły przy ostatnim spojrzeniu na drobny ścienny kojec Rogera. Po czym w bywalni przeliczyła całą swoją gotówkę: pięć banknotów po gwinei, trzydzieści koron, luzem trochę siódmaków, florenów i półkoronówek. Wystarczy. Nie było czasu na zawiadamianie siostry, ale Mavis często mówiła i często pisała: „Więc przyjedź, kiedy zechcesz. Tylko bez tego twojego męża. Wiesz, że Shonny go nie znosi.” Beatrice Joanna uśmiechnęła się na myśl o Shonnym, potem popłakała się, potem znowu wzięła się w garść. Przystawiła też

główny wyłącznik i szum lodówki ucichł. Teraz było to już martwe mieszkanie. Winna? Dlaczego miałaby się czuć winna? Tristram kazał jej się wynosić, więc się wynosi. Znowu się zastanowiła się: kto mu powiedział? Ile osób wiedziało? Może nigdy już nie zobaczy Tristrama. Drobne życie wewnątrz niej mówiło: „Działaj, nie myśl. Ruszaj się. Tylko ja się liczę.” Myślała, że w Prowincji Północnej będzie bezpieczna; i *ono* będzie bezpieczne. Nie czuła żadnego innego zobowiązania, tylko wobec tego: jeden cal sprzeciwu, może nieco ponad dwa gramy, komórki wciąż i wciąż na przekór wszystkiemu dzielące się, sprzeciwiające: epiderma, mezoderma, hipoderma. Drobniutkie życie przeciw monolitowi śmierci.

Wciąż i wciąż.

Zaczynało padać, więc założyła swój deszczowiec ze skórki cieniutkiej niby mgła. Na chodniku była przyschnięta krew, którą teraz kłuły igielki deszczu, żeby znowu popłynęła, choćby tylko do ścieku. Deszcz przybywał z morza i oznaczał życie. Poszła prędkim krokiem na Froude Square. Oświetlone czerwono wejście do stacji metra roilo się od ludzi, też oświetlonych czerwono jak diabli ze starego, mitycznego piekła, którzy milczeli, mamrotali, chichotali, mknęli pojedynczo albo parami w dół po stękających eskalatorach. Beatrice Joanna kupiła bilet w automacie, zanurkowała w aseptycznie białe katakumby, gdzie wiatry wypadały z tunelów, i wsiadła w metro do Centralnego Londynu. Szybkie połączenie miało ją tam dostawić w niecałe pół godziny. Koło niej jakaś staruszka miamląła i miamląła, gadając sama do siebie, z zamkniętymi oczyma, od czasu do czasu na głos: – Doris była dobra dziewczyna, dobra dla swojej matki, ale ta druga... – Preston, Patcham, Pangdean. Pasażerowie wysiadali, wsiadali. Pyecombe. Staruszka wysiadła, mamrocąc: – Doris. – Jadało się zapiekankę – mówiła blada, tłusta matka z cerą w barwie zakurzonego błękitu. Jej dziecko płakało. – Po prostu głodny – wyjaśniła. Teraz odcinki trasy porobiły się dłuższe. Albourne. Hickstead. Bolney. Warninglid. W Warninglid wsiadł mężczyzna o wyglądzie uczonego, z żyłastą szyją, i usiadł koło Beatrice Joanny, prychnąc jak delfin przy lekturze *Dh Wks v Wlym Shkspr*. Rozpakował batonik synteczeklu i przeżuwał go posapując. Dziecko znowu się rozplakało. Handcross. Pease Pottage. – To stara nazwa grochówki, też się to jadło – wytłumaczyła matka. Crawley, Horley, Salfords. Niejadalne. Redhill. Uczony wysiadł w Redhill, a wsiadli trzej funkcjonariusze Polpopu. Młodzi podporucznicy, zadbani, połyskujący od metalu i w czerni nie skalanej przez włosy, łupież albo resztki jedzenia. Bezczelnie przyglądali się pasażerom, oczyma jakby nawykłymi do wypatrywania nielegalnych ciąż. Beatrice Joanna rumieniła się, pragnąc, aby ta podróż dobiegła końca. Merstham, Caterham, Coulsdon. Już niedługo. Przycisnęła dłonie do brzucha, jak gdyby komórkujący w nim mieszkaniowiec już podskakiwał z okrzykami radości. Purley, Croydon, Thornton Heath, Norwood. Oficerowie policji wysiedli. Teraz już pociąg z pomrukiem pogrzył się w głąb czarnego serca tego ponadczasowego miasta. Dulwich, Camberwell, Londyn Centralny. I niebawem Beatrice Joanna znalazła się na linii dojazdowej do końcowej stacji Północno-Zachodniej.

Zaszokowała ją obfitość szarej i czarnej policji, zapelniającej ten hałaśliwy dworzec. Stała w kolejce do kas biletowych. Funkcjonariusze obu służb siedzieli przy długich stołach, blokujących dostęp do okienek kasowych. Bystry, bezczelni, opryskliwi.

– Proszę dowód osobisty. – Wręczyła go. – Dokąd?

– Państwowe Gospodarstwo Rolne NW313 koło Preston.

– Cel podróży?

Łatwo wpadła w rytm. – Wizyta towarzyska.

– Przyjaciele?

– Siostra.

– Ach tak. *Siostra*. – To brudne słowo. – Na jak długo? – Nie wiem. Pan posłucha, czy musicie

wiedzieć to wszystko?

– Na jak długo?

– Może na jakieś sześć miesięcy. A może dłużej. – Co jeszcze ma im powiedzieć? – Pan rozumie, opuszczam męża.

– Hm. Hm. Proszę sprawdzić tę pasażerkę, dobrze? – Urzędnik policji spisał z jej dowodu osobistego dane na oficjalny, brązowawy formularz. W międzyczasie inna młoda kobieta miała kłopoty. – Mówię panu, że *nie jestem* w ciąży – powtarzała. Złotowłosa policjantka o cienkich wargach, czarno ubrana, pociągnęła ją w kierunku drzwi z napisem: KONTROLA LEKARSKA. – Zaraz się przekonamy – oświadczyła. – Zaraz będziemy wiedzieli, prawda, kochanie?

– Ale przecież *nie jestem* – wykrzykiwała młoda kobieta. – Przecież mówię pani, że *nie jestem*.

– Proszę – rzekł do Beatrice Joanny przesłuchujący, oddając jej ostemplowany karnet. Miał przyjemną twarz klasowego starosty, z wyrazem surowości naciągniętym jak strasząca maska. – Za dużo tych nielegalnych ciężek próbuje uciec na prowincję. *Pani* nie próbuje czegoś takiego, prawda? W pani dowodzie wpisano jedno dziecko, syna. Gdzie on jest?

– Umarł.

– Aha. Tak. No i po sprawie, nie? Proszę przejść. – Więc Beatrice Joanna poszła kupić pojedynczy bilet na północ.

Policja przy barierkach, policja patroluje peron. Zatłoczony pociąg (z napędem nuklearnym). Beatrice Joanna usiadła, już wyczerpana, pomiędzy chudzielcem tak sztywnym, że jego skóra wyglądała jak pancerz, a drobnutką kobietą, której nóżki majdały się jak u dużej lalki. Naprzeciw siedział człowiek w garniturze w kratkę z prostacką twarzą komedianta, ssąc zawzięcie sztuczny trzonowiec. Mała dziewczynka, rozdziawiona, jakby miała polipa w nosie, oglądała Beatrice Joannę od stóp do głów i od głów do stóp, w niezmiennym, powolnym rytmie. Straszliwie otłuszczona młoda kobieta aż świeciła, jak umyślnie zapalona lampa, z nogami jak pniaki, które zdawały się wyrastać z podłogi przedziału. Beatrice Joanna zamknęła oczy. Niemal w tej samej chwili dopadł ją sen: szare pole pod grzmiącym niebem, kaktusowate rośliny chwiały się postępując, ludzie jak szkielety padali wywieszając czarne języki, a potem ona sama kopulująca z jakimś zwalistym facetem, który wszystko sobą zasłonił. Głośny śmiech i zbudziła się, wyrывая mu się. Pociąg jeszcze nie ruszył ze stacji; towarzysze podróży gapili się na nią (z wyjątkiem adenoidalnej dziewczynki) tylko z odrobiną ciekawości. Po czym – jak gdyby taki sen był obowiązkowym rytuałem, poprzedzającym odjazd – ruszyli z miejsca, pozostawiając za sobą szarą i czarną policję.

## 8

– Co oni z nami zrobią? – zapytał Tristram. Oczy jego przyzwyczaiły się do ciemności i wypatrzył, że ten obok to zezowaty Mongoł, który przed wiekami, na zbuntowanej ulicy, przedstawił mu się jako Joe Blacklock. Niektórzy z innych więźniów przykucnęli jak górnicy – nie było nic do siedzenia – inni stali oparci o ściany. Jeden staruszek, dotąd flegmatyczny, wpadł raptem w podniecenie i uczepił się krat, krzycząc w głąb korytarza: – Zostawiłem włączony piec. Muszę pójść do domu i go wyłączyć. Słowo daję, że zaraz wrócę. – A teraz leżał, wyczerpany, na zimnych płytach.

– Zrobią z nami? – powtórzył Joe Blacklock. – Jak wiem, to nic pewnego. Jak wiem, to niektórych puszcza, a innych zatrzymają. Mam rację, czy nie tak, Frank?

– Przywódcom się dostanie – odrzekł Frank, chudy, wysoki tępak. – Wszyscy mówiliśmy, żeby Arry dał spokój, to strata czasu. Nie powinien. No i widzisz, do czego nas doprowadził. I siebie.

– Kto – spytał Tristram. – Gdzie?

– Przywódca strajku, tak się nazwał. Zarobi trochę ciężkich robót. Albo i co gorszego, bo wszystko idzie coraz bardziej na ostro. – Ułożył dłoń w pistolet i wymierzył w Tristrama. – Jak może być, że będzie i z tobą – powiedział. – Bang bang.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego – zapewnił Tristram po raz trzynasty. – Po prostu wciągnęło mnie w tłum. Ciągłe wam powtarzam, że to pomyłka.

– Masz prawdę. Powiedz im to, jak po ciebie przyjdą. – Po czym Frank odszedł do kąta, by oddać mocz. Cela swojsko śmierdziała moczem. Mężczyzna w średnim wieku, z siwym puchem kurczącym na czaszce, o dzikim wyglądzie wędrownego kaznodziei, podszedł do Tristrama i przemówił:

– Załatwi pan sobie wyrok, jak tylko otworzy usta. Wielkie serce i dusza, to pan, doprawdy! Poznają w panu intelektualistę, ledwie pan wejdzie. Okazał pan wiele odwagi, tak czy inaczej, stając po stronie robotników. Będzie to panu wynagrodzone, gdy przyjdą lepsze czasy, popamięta pan moje słowa.

– Wcale nie stanąłem – omal nie rozplakał się Tristram.

– Ha – przemówił jakiś głos w kącie – owóż kroki nadchodzące słyszę, zaiste, jak mniemam. – Na korytarzu włączono światło, surowe jak jajko, i do celi zbliżył się tupot butów. Starzec z podłogi błagał: – Chcę tylko wyłączyć. Zaraz wrócę. – Pręty celi, śmiertelnie czarne na tle tego światła, wyszczerzyły się do nich wszystkich w szerokim uśmiechu. Dwóch szaraków, młodych i zbirowatych, uzbrojonych, wyszczerzyło się przez wyszczerzone pręty. Szczęknęły odciągane zasuwki, zgrzytnął obracany klucz, drzwi celi rozwarły się ze szczękiem. – Dobra – rzekł jeden z szaraków, młodszy kapral, tasując garść dowodów tożsamości. – Będę je zwracał, ka pe wu? Ci, którym je wydam, mogą spieprzać i żeby od tej pory byli grzecznymi chłopcami. No to jazda. Aaron, Aldiss, Barber, Collins, Chung... – *A ja co u diabła zrobiłem złego?* – zaprotestował Joe Blacklock. – Davenport, Dilke, Mohamed Daud, Dodds, Endore, Evans... – Mężczyźni czym prędzej chwyтали swoje dowody i wypychano ich brutalnie na wolność. – Fairbrother, Franklin, Gill, Hackney, Hamidin... – To musi być jakiś błąd – zawołał Tristram. – Ja jestem na F. – Jones, Lindsay, Lowrie... – Cela szybko się opróżniała. – Mackintosh, Mayfield, Morgan, Norwood, O'Connor... – Zaraz wrócę – obiecał staruszek, trzęsąc się i odbierając swój dowód – tylko wyłączę. Dziękuję wam, chłopcy. – Paget, Radzinowicz, Smith, Snyder, Taylor, Tucker, Ucuck, Vivian, Wilson, Wilson, Wilson. I na tym koniec. A ty kim jesteś, brachu? – zwrócił się szarak do Tristrama. Tristram mu wytłumaczył. – Żądam, aby pozwolono mi skontaktować się z moim bratem. Dajcie mi zadzwonić do żony. Napiszę skargę do Sekretarza Spraw Wewnętrznych. – Pisanie nikomu nie zaszkodziło – odparł szarak. – Może cię to uspokoi, jak będziesz pisał. Zrób to, brachu. Napisz.

## 9

– No proszę – zagrzemiał Shonny – chwala Bogu najwyższemu, kogo my tu widzimy. Moja rodzona szwagiereczka, Boże nam błogosław i ochraniaj nas, nie postarzała się ani o dzień, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, a musiało to być całe trzy lata temu. Wejdźże, wejdź, serdecznie witamy! – Wyjrzał podejrzliwie na zewnątrz i powiedział: – Nie życzę mu nic złego, uważasz, ale mam nadzieję, że nie przywiozłaś ze sobą tego ohydneho faceta, bo on coś takiego ma w samym wyglądzie, że włos mi się jeży i zęby cierpną. – Beatrice Joanna, uśmiechając się, potrząsnęła głową. Shonny to było coś z bajecznej przeszłości: szczerzy, bezpośredni, uczciwy, męski, z ogorzałą, prostacką, wesołą twarzą jak księżyc, dziwiącymi się oczyma jak z błękitnego lodu, o małpiej górnej

wardze, dolnej mięsiste zwisającej, z potężnym cielskiem w workowatym stroju farmerskim. – Mavis! – zawołał. – Mavis! – i Mavis pojawiła się w małej sionce, starsza o sześć lat niż Beatrice Joanna, o tych samych włosach w kolorze cydru, plamistych brązowych oczach i bujnych członkach, okazowo piersiasta.

– Nie miałam czasu was uprzedzić – powiedziała Beatrice Joanna, całując siostrę. – Wyjeżdżałam w pośpiechu.

– To było miejsce w sam raz do tego, żeby wyjechać w pośpiechu – rzekł Shonny, biorąc jej torbę – ta wielka, ohydna metropolia, niech jej Bóg ześle same najgorsze sny.

– Biedny mały Roger – uzaliła się Mavis, obejmując siostrę i prowadząc ją do bywalni. – To skandal. – Pokój był niewiele większy od tego w mieszkaniu Foxe’ów, ale jakby tchnął przestrzenią i tlenem.

Shonny oznajmił:

– Przede wszystkim łyknijmy sobie czegoś. Otworzył klapę w podłodze i ujawnił pluton butelek. – Nie kupisz tego nawet po dwadzieścia koron za setuchnę w tym rakowatym młynie, który został za tobą, obraza Boska. – Podniósł butelkę do elektrycznego światła. – Wino śliwkowe własnego wyrobu – oznajmił. – Wyrób wina jest niby zabroniony, jak mnóstwo innych rzeczy zdrowych i bogobojnych, ale do diabła z tą bandą nikczemnych zuczaków gnojarzy, którzy nam wymyślają prawa, niech Jezus się nad nimi zlituje. – Nalał. – Weź to do prawej ręki i powtarzaj za mną – rozkazał. – Wypili. – Poczekaj – przemówił Shonny. – Za co pijemy?

– Za mnóstwo rzeczy – odrzekła Beatrice Joanna. – Za życie. Za wolność. Za morze. Za nas. Za coś, o czym później wam powiem.

– Po szklaneczce za każde z nich – rzekł Shonny z rozpromienioną twarzą. – Miło, że jesteś – powiedział.

Shonny należał do Panceltów, był jednym z garstki tych, co przetrwali ze Związku Celtyckiego, a którzy jako dobrowolni uchodźcy porzucili Wyspy Brytyjskie i prawie sto lat temu osiedlali się, fala za falą, w Armoryce. Była w nim krzepiąca mieszanka wyspiarza z Man, Glamorgan, Szetlandów, hrabstw Ayrshire i Cork, ale zawzięcie podkreślał, że nie ma to nic wspólnego z krzyżówką ras. Fergus, Mojżesz tego Związku, nauczał, że Celtowie to jeden naród o jednym języku i w zasadzie jednej religii. Doktrynę o ponownym przyjsciu Mesjasza wycisnął z katolicyzmu, kalwinizmu w wersji metodystów, prezbiterianizmu: kościół, zbór i kircha były jedną świątynią nadchodzącego Pana. Ich misja polegała na tym, ażeby w świecie pelagiańskim, którego istotą był indyferentyzm, zachowywać płomień chrześcijaństwa, jak niegdyś w obliczu hord saksońskich.

– Odprawialiśmy tutaj modły, wiesz – odezwał się Shonny, dolewając wina kobietom – ale oczywiście to również nielegalne. Przedtem dawali nam spokój, ale teraz wprowadzili tę piekielną policję, co szpieguje i aresztuje, całkiem jak za dawnych dni prześladowań świętej pamięci. Kilka razy odprawialiśmy mszę. Ojciec Shackel, Boże błogosław i dopomóż nieszczęśnikowi, został przedwczoraj zgarnięty we własnym sklepie przez tych mizdrzących się, uszminkowanych pętałów ze spluwami – ojciec Shackel zajmuje się sprzedażą nasion – i zabrany nie wiadomo dokąd. A przecież te biedne, ocipiałe głupki nie potrafią albo nie chcą zrozumieć, że my składamy ofiary dla dobra Państwa. Wszyscy się zagłodzimy, zbaw nas Boże, jeżeli nie będziemy się modlić o przebaczenie za nasze bluźnierstwa. Za grzechy przeciwko światłu, za odmawianie życia. Wszystko to, co się dzieje, to kara Boska dla nas wszystkich. – Wychylił szklanekę śliwkowego wina i mlasnął grubymi, mięsistymi wargami.

– Wciąż obcinają racje – rzekła Beatrice Joanna. – Nawet nie podają powodu. Na ulicach były demonstracje. Tristram zamieszkał się w jedną z nich. Był wtedy pijany. Myślę, że policja go



zgarnęła. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego cało.

– No cóż – powiedział Shonny. – Ja mu źle nie życzę. Pijany, co? Może jednak w tym facecie tkwi coś dobrego.

– I jak długo chcesz u nas zostać? – spytała Mavis.

– Może lepiej powiem teraz niż później – odrzekła Beatrice Joanna. – Mam nadzieję, że to was nie oburzy czy coś tam. Jestem w ciąży.

– Och – powiedziała Mavis.

– I w dodatku – zaznaczyła Beatrice Joanna – cieszę się, że jestem w ciąży. *Chcę* urodzić to dziecko.

– No to musimy za to wypić – ryknął Shonny. – Niech diabli porwą konsekwencje, ot co. Taki gest, że się podsyca płomień, a mszę odprawia w piwnicy. Dobra dziewczynka. – Dolał wina.

– Tutaj chcesz urodzić to dziecko? – rzekła Mavis. – To niebezpieczne. Nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Powinnaś to bardzo starannie rozważyć, skoro się porobiło, jak jest.

– To wola Boża! – zawołał Shonny. – Idźcie i rozmnażajcie się. Więc twój drobny mężulek ma jeszcze w sobie trochę życia?

– Tristram tego nie chce – odrzekła Beatrice Joanna. – Kazał mi się wynosić.

– Czy ktoś wie, że tu przyjechałaś? – spytała Mavis.

– Musiałam powiedzieć policjantowi w Euston. Oświadczyłam, że was tylko odwiedzam. Nie sądzę, żeby coś z tym zrobili. Odwiedziny to jeszcze nic złego.

– Dosyć długie te odwiedziny – zauważyła Mavis. – No i kwestia miejsca. Dzieci są na razie u ciotki Gertie w Cumnock, to ciotka Shonny’ego. Ale jak wrócą...

– Posłuchaj, Mavis – oznajmiła Beatrice Joanna. – Jeżeli nie chcecie, żebym została, powiedzcie mi od razu. Nie chcę być dla was ciężarem ani sprawiać kłopotu.

– Ani jedno, ani drugie – rzekł Shonny. – Jak będzie trzeba, to urządzimy cię w którejś komórce gospodarczej. Ważniejsza od ciebie matka urodziła w...

– Och, tylko bez tych sentymentów – ofuknęła go Mavis. – Właśnie takie rzeczy sprawiają, że miewam czasami wstręt do religii. Jeżeli postanowiłaś – zwróciła się do siostry – jeżeli naprawdę postanowiłaś, no, to nie ma rady i będziemy to ciągnąć, licząc na lepsze czasy. Wiem, co czujesz, nie wyobrażaj sobie, że nie wiem. W naszej rodzinie macierzyństwo zawsze się bardzo liczyło. Po prostu miejmy nadzieję, że niebawem przyjdą jakieś mądrzejsze czasy, i to wszystko.

– Dziękuję ci, Mavis – powiedziała Beatrice Joanna. – Wiem, że będzie mnóstwo problemów z rejestracją, przydziałem żywności i tak dalej. Mamy dosyć czasu, żeby o tym pomyśleć.

– Trafiałaś w odpowiednie miejsce – rzekł Shonny. – Przyda się tu moje doświadczenie jako weterynarza, Boże błogosław. Już niejeden pomiot wydobyłem na świat.

– Mówisz o zwierzętach? – zdumiała się Beatrice Joanna. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że macie zwierzęta?

– Mnóstwo kur – odrzekł markotnie Shonny. – I nasza stara maciora Bessie. Jack Beare tutaj w Blackburn ma knura i wypożycza go. Wszystko to w zasadzie nielegalne, żeby Trójca Święta ich przeklęła, ale jakoś nam się udaje poprawiać tę nędzną dietę kawałkiem wieprzowiny. Wszystko to jest – powiedział – skandaliczne i jak gdyby nikt nie mógł tego zrozumieć. Ta rdza zbożowa, co się panoszy na święcie, i kury się nie chcą nieść, i ostatni miot prosiąt od Bessie całkiem się pochorował na jakieś wewnętrzne świństwo, rzygały robakami i w ogóle, musiałem je uwolnić od cierpień. Dotyka nas jakieś przekleństwo, niechaj Bóg nam wszystkim przebaczy, za to, że bluźnimy życiu i miłości.

– Skoro już mowa o miłości – spytała Mavis – czy między tobą a Tristramem wszystko

skończone?

– Nie wiem – odparła Beatrice Joanna. – Próbowałam się o niego martwić, ale jakoś nie mogę. Tak jakbym musiała skupić całą swoją miłość na czymś, co jeszcze się nawet nie urodziło. Czuję się tak, jakby coś mnie wzięło i *używało*. Ale nie czuję się źle z tego powodu. Raczej na odwrót.

– Zawsze miałam wrażenie, że poślubiłaś nie tego, co trzeba – przyznała Mavis.

## 10

Derek Foxe po raz drugi odczytywał dwa zabazgrane kawałki papieru toaletowego, podpisane przez jego brata. Czytając uśmiechał się. „Jestem tu nielegalnie uwięziony i nie pozwalają mi się z nikim zobaczyć. Zwracam się do ciebie jako do brata, żebyś użył swojego wpływu i kazał mnie zwolnić. Wszystko to jest haniebne i niesprawiedliwe. Jeżeli nie wzruszy cię zwykła braterska prośba, może sprawi to następująca sugestia: otóż wiem, że ty i moja żona utrzymywaliście przez dłuższy czas intymne stosunki, a teraz ona nosi twoje dziecko. Jak mogłeś? Ty, mój brat! Wyciągnij mnie stąd natychmiast, to najmniejsza rzecz, jaką możesz zrobić i jesteś mi to winien. Przyrzekam ci uroczyście, że dalej tego nie puszczę, jeżeli spełnisz moją prośbę i pomożesz mi. A jeżeli tego nie zrobisz, to będę zmuszony *wszystko* ujawnić odpowiednim władzom. *Wyciągnij mnie stąd*. Tristram.”

List był cały w pieczętkach, jak paszport: „*Widziano*. Komendant Ośrodka Tymczasowych Zatrzymań Franklyn Road. *Widziano*. Naczelnik Policji Rejonu Brighton. *Widziano*. Komendant Policji 121 Obwodu. *Otwarto*. Centralny Rejestr Polpop.” Derek Foxe z uśmiechem odchylił się na oparcie swego fotela z imitacji skóry. Uśmiechał się do idiotycznej, olbrzymiej, księżycowej twarzy zegara na przeciwległej ścianie, do szeregu telefonów, do pleców swego płowowłosego sekretarza. Biedny Tristram. Biedny nierozgarnięty Tristram. Biedny kretyn Tristram, który pisząc to już ujawnił wszystko i wszystkim dostępnym władzom, odpowiednim i nieodpowiednim. I nie miało to, rzecz jasna, najmniejszego znaczenia. Niczym nie poparte oszczerstwa i pomówienia tylko świstały przez cały dzień po gabinetach ważniaków, coś w rodzaju pobzykiwania komarów, nie brane w ogóle pod uwagę. Jednakże Tristram na wolności mógłby sprawiać kłopoty. Tristram, rozsierdzony rogacz z bandą pętaków, zabijaków ze swojej szkółki. Tristram z nożem, chytrze kryjący się w cieniu. Tristram ogłupiony przez spirt, z pistoletem. Lepiej, żeby Tristram spędził jakiś czas za kratkami; byłoby męczące, gdyby musiał wciąż pamiętać o wystrzeganiu się swojego brata.

A co z nią? To całkiem inna sprawa. Poczekać: następna faza może nadejść już po niedługim czasie.

A ten biedny, głupi kapitan Loosley? Na razie dać spokój idiocie. Derek Foxe zadzwonił do Kwatery Głównej Policji i polecił, aby podejrzany Tristram Foxe został pozbawiony wolności na czas nieokreślony. Po czym wrócił do brudnopisu swojego wystąpienia w telewizji (pięć minut po wiadomościach o 23.00 w niedzielę) z przestrogą i apelem do kobiet Wielkiego Londynu. „Kochać swój kraj – napisał – to jeden z najczystszych rodzajów miłości. Pożądać dobrobytu dla swego kraju to najświętszy rodzaj pożądania.” Takie rzeczy przychodziły mu bez wysiłku.

# CZEŚĆ TRZECIA

## 1

Mokry sierpień i upalny wrzesień, lecz światowa choroba zbóż jakby niosła się nad wszelką pogodą, niby samolot. Ten rodzaj rdzy zbożowej, nigdy dotąd niespotykany, pod mikroskopem nie zgadzał się z żadnymi wzorcami tej choroby i okazał się odporny na wszystkie trucizny, jakie potrafił zaprojektować Światowy Urząd Rolnictwa. Ale ucierpiały nie tylko ryż, kukurydza, jęczmień, owies i pszenica; owoce spadały z drzew i żywopłotów, dotknięte jakąś gangreną; kartofle i inne korzenie zamieniały się w czarną i siną zgniliznę. Następnie świat zwierzęcy: robaczyca, kokcydioza, luszczyca łap, choroba kości marmurowej, pomór drobiu, wypadnięcie jajowodów, wyciek ze steku, porażenie zwiniętych łap, przesunięcie stawu skokowego: to zaledwie niektóre z chorób, atakujących kurniki i zamieniających je w pierzaste kostnice. W początkach października na północno-wschodnim wybrzeżu morze wyrzucało na brzeg ogromne ławice gnijących ryb; rzeki śmierdziały.

Przewodniczący Rady Ministrów, J.E. Robert Starling leżał bezsennie w noc październikową, przewracając się samotnie w podwójnym łożu, z którego wypędził swego dupodajca. W głowie rozbrzmiewał mu chór głosów: chór ekspertów stwierdzających, że nie wiedzą, po prostu nie wiedzą; fantastów obwiniających wirusy przybyłe na rakietach z Księżyca; dobitne i przerażone głosy z ostatniej Konferencji Premierów Enspun, powtarzające: „Ten rok możemy jakoś przetrzymać, od biedy przeżyjemy ten rok, ale co będzie w następnym?” A jeden bardzo sekretny głos naszeptował statystyki i pokazywał na czarnym tle sypialni grozę budzące slajdy: „Tu widzimy ostatnie rozruchy głodowe w Kacz Biharze, nie cackano się, cztery tysiące zepchnięte do wspólnego grobu, mnóstwo pięciotlenku fosforu, co? A oto nadzwyczaj barwne obrazy głodu w Gulbardze, Bangalorze i Radżurze, proszę się uważnie przyjrzeć i podziwiać te klatki piersiowe z gołych żeber. Przechodzimy do Nyasalandu, Livingstonia i Mpika wymierają z głodu. Mogadiszu w Somali, wielka uciecha dla sępów. Teraz przepawimy się za Atlantyck...”

– Nie! Nie! Nie! – J.E. Robert Starling wykrzyknął tak głośno, że obudził swego małego ulubieńca Abdula Wahaba, brązowego chłopca, śpiącego na wysuwanym łożku w garderobie J.E. Roberta Starlinga. Abdul Wahab przybiegł czym prędzej, zawiązując sobie w pasie sarong. Zapalił światło.

– Co się dzieje? Co ci jest, Bobby? – Troska przepelniała jego aksamitne brązowe oczy.

– Och, nic takiego. Nic, na co moglibyśmy poradzić. Wracaj do łóżka. Przepraszam, że cię obudziłem.

Abdul Wahab usiadł na brzegu sprężystego materaca i pogładził premiera po czole. – No już dobrze – powiedział. – Już dobrze, już dobrze, już dobrze.

– Oni wszyscy myślą – poskarżył się premier – że my się w to bawimy dla osobistej korzyści. Myślą, że jestem rozkochany we władzy. – Z wdzięcznością przymknął oczy, poddając się orzeźwiającaemu głaskaniu. – Nie wiedzą, po prostu nic o tym nie wiedzą.

– Pewnie że nie wiedzą.

– Wszystko to dla ich własnego dobra, wszystko, co robimy, jest dla ich dobra.

– Oczywiście.

– Chcieliby znaleźć się na moim stanowisku? Chcieliby odpowiadać za to wszystko i mieć złamane serce?

– Nie wytrzymałoby nawet przez minutę. – Wahab nadal kojąco głaskał chłodną, brązową dłonią.

- Dobry z ciebie chłopiec, Wahab.
- Och, bynajmniej. – Mizdrzący się, głupiutki uśmiech.
- Tak, jesteś dobrym chłopcem. Co my zrobimy, Wahab, co tu robić?
- Wszystko będzie dobrze, Bobby. Zobaczysz.

– Nie, wcale nie będzie dobrze. Jestem liberałem i wierzę w ludzką zdolność panowania nad otaczającym światem. Nie zdajemy się na przypadek. Cała planeta umiera, a ty mówisz, że wszystko będzie dobrze.

Abdul Wahab zmienił rękę: jego pan leżał pod bardzo niewygodnym kątem. – Nie jestem zbyt mądry – powiedział. – Nie znam się na polityce. Ale zawsze myślałem, że główny kłopot polega na tym, że mamy na świecie za dużo ludzi.

– Tak, tak. To jest nasz wielki problem.

– Ale teraz już nie, prawda? Ludność bardzo prędko się zmniejsza, czyż nie tak? Ludzie umierają, bo nie mają co jeść, prawda?

– Ty głuptasie. Jesteś taki uroczy, ale głupiutki. Czy nie rozumiesz, głuptasie, że gdybyśmy chcieli, to moglibyśmy zabić trzy czwarte ludności świata, ot tak, po prostu! – strzelił z palca i kciuka. – Po prostu? Ale rząd nie zajmuje się zabijaniem, tylko utrzymywaniem ludzi przy życiu. Zabroniliśmy wojen, sprawiliśmy, że wojna odeszła jak straszliwy sen w przeszłość; nauczyliśmy się przewidywać trzęsienia ziemi i powstrzymywać powodzie; nawodniliśmy pustynie i sprawiliśmy, że czapy lodowe rozkwitły jak róża. Na tym polega postęp, spełnienie części naszych liberalnych aspiracji. Czy rozumiesz, co mówię, głuptasku?

Abdul Wahab usiłował ziewnąć z zamkniętymi ustami, z uśmiechem na zaciśniętych wargach.

– Usunęliśmy wszystkie dawne naturalne przeszkody w rozwoju zaludnienia – rzekł premier. – *Naturalne przeszkody*: cóż to za cyniczne i złowieszcze określenie. Historia człowieka to historia opanowywania przez niego środowiska. Prawda, że umiejętność ta często zawodziła. Większa część ludzkości nie dojrzała jeszcze do pelagiańskiego ideału, ale może wkrótce dojrzeje. Może już bardzo niedługo. Być może już się uczy. Uczy się tego w bólu i niedostatku. Ach, jaki to zły świat, jaki głupi. – Westchnął głęboko. – Ale co mamy robić? Widmo głodu krąży po świecie, a my wpadliśmy w jego szpony. – Skrzywił się na tę metaforę, ale pogodził się z nią. – Ta groźba unicestwienia całą naszą mądrość naukową i wszystkie umiejętności.

– Nie jestem bardzo mądry – odezwał się Wahab. – Mój naród robił niezbyt mądre rzeczy, kiedy myśleli, że zbiory okażą się nieszczególne albo ryby nie będą brały. Może robili wtedy coś bardzo głupiego. Na przykład modlili się.

– Modlili? – odparł premier. – Kiedy się modlimy, przyznajemy się do porażki. W społeczeństwie liberalnym nie ma miejsca na modlitwę. A w dodatku nie ma do czego się modlić.

– Mój naród – zaznaczył gorliwie głaszczący Wahab – modlił się do bardzo wielu rzeczy. Ale przeważnie do czegoś, co nazywało się Allah. – Wymówił to imię na sposób czysto arabski, z przeciągle odgiętym „l” i ostrym charknięciem na końcu.

– To jedno z imion Boga – rzekł premier. – Bóg to wróg. Zwyciężyliśmy Boga i oswoiliśmy go, tak że stał się postacią z komiksu. Teraz dzieci śmieją się z pana Żywopsa. Bóg to było w umysłach ludzkich niebezpieczne pojęcie. Uwolniliśmy cywilizowany świat od tego pojęcia. Głaszcz mnie dalej, leniuszku.

– A jeżeli – podjął Wahab – modlitwy nie skutkowały, wtedy oni coś zabijali. Jakby taki prezent, rozumiesz. Nazywali to *mazbuh*. Jeżeli się pragnęło uzyskać coś naprawdę dużego, to i zarzynało się coś bardzo dużego, bardzo ważnego. Składało się w prezencie jakiegoś ważnego człowieka, jak na przykład premiera.

– Czy to ma być dowcip? Mnie się to nie wydaje dowcipne – sapnął J.E. Robert Starling. – Z ciebie to jest żartowniś.

– Albo króla – rzekł Wahab. – Jeżeli się go miało.

Premier zastanowił się nad tym. Wreszcie rzekł: – Masz pełno głupich pomysłów, ty głupku. I zapominasz, że gdybyśmy nawet chcieli poświęcić króla, to nie ma komu go poświęcić.

– A może – podsunął Wahab – ta rzecz ma jakiś rozum. Ta rzecz, która idzie po całej ziemi jak widmo z pazurami. Do tego można by się pomodlić.

– Była to – rzekł premier, znowu sapiąc – z mojej strony dość niezręczna personifikacja. Niezręczne figury retoryczne to najgłębsza istota retoryki politycznej.

– Co to jest – spytał Wahab – personifikacja?

– Udaje się, że coś żyje, choć naprawdę nie żyje. Rodzaj animizmu. Znasz to słowo, ty mały ciemniaku?

Wahab uśmiechnął się. – Jestem bardzo głupi – oznajmił – i znam bardzo niewiele słów. Przed wieloma laty mój naród zwykł się modlić do drzew i rzek, udając, że one mogą słyszeć i rozumieć. Ty byś uważał ich za bardzo głupich, bo jesteś wielkim człowiekiem i premierem, ale słyszałem, jak się modlisz do deszczu.

– Bzdury.

– Słyszałem, jak mówisz: „Deszczu, deszczu, nie lej tu, przyjdź z powrotem w innym dniu.” Było to wtedy, jak ty i ja i Reginald, i Gaveston Murphy, wybieraliśmy się na przechadzkę w Prowincji Północnej.

– To był dowcip, taki jakby zabobon. Nic nie znaczący.

– A jednak chciałeś, żeby to powstrzymało deszcz. A teraz chciałbyś, żeby ta rzecz się zatrzymała. Może powinieneś spróbować trochę zabobonu, jak to nazywasz. Na pewno powinieneś czegoś spróbować. Ale – dodał Wahab – nie słuchaj mnie. Jestem po prostu ciemnym chłopcem i głupim chłopcem, i żartobliwym chłopcem.

– A także miłym chłopcem – uśmiechnął się premier. – Teraz może postaram się zasnąć.

– Nie chciałbyś, żebym tu został?

– Nie, chcę zasnąć. Może przyśni mi się rozwiązanie wszystkich naszych problemów.

– W snach jesteś znakomity – zauważył przenikliwie Abdul Wahab. Ucałował czubki swych palców i zamknął nimi oczy swemu panu. Następnie, zanim wyszedł, zgasił światło i pokazał język.

W ciemnościach znowu zaczął się odczyt z przezrociami. „Oto – powiedział głos – widzimy piękny przykład rozruchów głodowych, aż z dalekiego, żółtego Mozambiku. Rzucono się na sklep z ryżem w Chovica, i oto widzimy skutki. Krew czarnego człowieka jest tak samo czerwona jak twoja. A oto głód w Północnej Rodezji, łamanie ludzi na Łamanym Wzgórzu, Kabulwebulwe zaś to żalność i tyle. Wreszcie w charakterze *bonne bouche* ludożerstwo, a gdzie? Zgadnij. Nigdy nie zgadłbyś, więc ci powiem. W Banff, Alberta. Niewiarygodne, co? Trupek malutki, jak widzisz, tyle go co królika. Ale zawsze kilka niezłych porcji, jak również jeden chłopiec, który nigdy już nie będzie głodny.”

## 2

Tristram był o wiele chudszy i miał brodę, szorstką jak drut. Już dawno przeniesiono go z Ośrodka Tymczasowych Zatrzymań przy Franklyn Road do ogromnego kompleksu Metropolitalnego Instytutu Poprawczego dla Mężczyzn w Pentonville, gdzie z każdym dniem rosła mu nie tylko broda, lecz i zaczepność, często targał jak goryl prętami swej klatki, z posępną zajadłością wykrobywał świńskie rysunki na ścianach, warczał na strażników: nie ten sam człowiek!

Marzył, aby trafili tu Joscelyne i ta ślicznota Wiltshire: dopiero by im pokazał, niczego nie szcędząc. A Derek? Sporo czasu, jaki Tristram przeżywał na jawie, wypełniały wylupywane gałki oczne, kastracje nożem kuchennym i inne miłe fantazje.

Towarzyszem z celi Tristrama był weteran świata przestępczego, lat około sześćdziesięciu: kieszonkowiec, fałszerz, kasiarz, siwowłosość i pełen godności, pachnący stęchlizną. – Gdybym – przemówił do Tristrama w ten październikowy poranek – posiadał wiedzę książkową, jak pan, nie wiadomo, jakie szczyty bym osiągnął. – Tristram potrząsnął kratami i zawarczał. Jego współwięzień spokojnie naprawiał sobie górne użębienie kawałkiem kitu, który zwędził w jednym z warsztatów. – Mimo przyjemności – oznajmił – jaką sprawiało mi pańskie towarzystwo przez miesiąc z nadwyżką, nie powiem, jakobym opuszczał to miejsce z przykrością, zwłaszcza że zapowiada się jeszcze na pewien czas nienajgorsza pogoda. Aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że w niezbyt odległej przyszłości będzie mi dane odświeżyć przywilej tej znajomości.

– Pan mnie posłucha, panie Nesbit – rzekł Tristram, odrywając się od krat. – Proszę o to po raz ostatni. Błagam. Będzie to przysługa oddana nie tylko mnie, ale całemu społeczeństwu. Proszę go załatwić. Zakatrupić. Podałem adres.

– Ja też mówię po raz ostatni, panie Foxe, w tym konkretnie przedmiocie i powtarzam, że uprawiam zawód przestępcy dla zysku, a nie dla satysfakcji prywatnego mszczenia się i tym podobnych. Morderstwo typu odwetowego nie przynosi zarobku. Jakkolwiek rad bym oddał tę przysługę przyjacielowi, za jakiego pana uważam, byłoby to z gruntu sprzeczne z moimi zasadami.

– To pańskie ostatnie słowo?

– Z prawdziwym ubolewaniem, panie Foxe, skoro mam odpowiedzieć, właśnie tak brzmi moja odpowiedź.

– W takim razie stwierdzam, panie Nesbit, że z pana nieczuły skurwysyn.

– Ależ, panie Foxe, nie wypada się tak wyrażać. Jest pan młodym człowiekiem i ma pan przed sobą jeszcze kawał drogi, więc daruję pan, że taki jegomość w podeszłym wieku, jak ja, udzieli panu na koniec drobnej rady. A brzmi ona: proszę lepiej nad sobą panować. Bez panowania nad sobą niczego pan nie osiągnie. A panując nad sobą i nie dopuszczając osobistych emocji do spraw związanych z pańską wiedzą książkową, zajdzie pan jeszcze daleko. – Kciukiem docisnął kit łączący zęby z plastikowym podniebieniem i chyba zadowolony z wyniku włożył sobie protezę do ust. – Już lepiej – oświadczył. – Powinno się sprawdzić. Młodym aspirantom zawsze radzę, aby dbali o elegancki wygląd. Pan też może do nich należeć.

Zbliżający się brzęk kluczy. Klawisz o twarzy jak siekierka i z kurzą piersią, w znoszonym niebieskim stroju, otworzył drzwi celi. – Dobra – rzekł do pana Nesbita. – Wyłaż, ty. – Pan Nesbit z westchnieniem powstał ze swojej pryczy.

– Gdzie to pieprzone śniadanie? – warknął Tristram. – Znów się kurewsko spóźnia.

– Już po śniadaniu – stwierdził klawisz – jak na dzisiaj.

– A to pieprzone draństwo – wrzasnął Tristram. – Co za kurewska potworność. Żądam widzenia z tym pieprzonym naczelnikiem.

– Już ci mówiłem – rzekł surowo klawisz. – Pilnuj w gębie języka, albo ci się naprawdę dopieczę.

– W takim razie – przemówił pan Nesbit, wyciągając uprzejmie dłoń – kłaniam się panu i wyrażam nadzieję, że będzie nam dane jeszcze podjąć jakże miłą znajomość.

– Ten gada jak się należy – stwierdził klawisz. – Ty i tacy jak ty lepiej byście zrobili, biorąc z niego przykład, niż tak ciągle kurwiąc i pieprząc. – I wyprowadził pana Nesbita, ze szczękiem zamykając następnie drzwi, a kluczem zgrzytnąwszy, jakby to była nagana. Tristram wziął swoją

żelazną łyżkę i wściekle wyrwał na ścianie brudne słowo.

Właśnie kończył skośną kreskę ostatniej litery, gdy ze szczękiem i zgrzytem strażnik powrócił. – Masz tutaj – powiedziałowego kumpla. W twoim rodzaju, nie taki dżentelmen jak ten ostatni. Właż, ty. – Był to posępnie wyglądający mężczyzna z oczyma tkwiącymi głęboko w węglistych jamach, z cynobrowym nosem, o drobnych, nadąsanych ustach jakby Stuartów. Luźne, szare, workowate ubranie więzienne pasowało do niego, sugerując jakby habit zakonnika.

– Hej – rzekł Tristram. – My chyba się znamy.

– To miłe, nie? – zauważył klawisz. – Spotkanie starych kumpli. – Wyszedł z celi, zakluczył drzwi i obszczerzył się szyderczo przez kraty. Po czym oddalił się, pobrzękując.

– Spotkaliśmy się – zagaił Tristram – w barze Montague. Policjanci trochę pana pobili.

– Pobili? Spotkaliśmy się? – odparł mętnie przybysz. – Tyle spraw, takie mnóstwo ludzi, obelg i razów. Jak Mistrzowi memu, tak i mnie. – Obejrzał celę bardzo ciemnymi oczyma, kiwając głową. Po czym rzekł od niechcenia: – Jeżeli zapomnę o tobie, Jeruzalem, niechaj straci zręczność prawica moja, niech mi język przyschnie do podniebienia, gdybym nie pamiętał o tobie, Jeruzalem, bardziej niż o największej radości.

– Za co siedzisz? – zapytał Tristram.

– Złapali mnie na odprawianiu mszy – odparł. – Chociaż pozbawiony sutanny, mam nadal tę moc. Ostatnio jest na nią zapotrzebowanie, i to rosące. Nie ma wątpliwości, że strach rodzi wiarę. Obecnie można już zgromadzić, wierząc mi, całkiem niezgorszą kongregację.

– Gdzie?

– Powracamy do katakumb – stwierdził tamten z satysfakcją. – Porzucone tunele metra. Jego perony. Nawet w pociągach metra. Nazywam to mszą w ruchu. Tak – powiedział – strach przybiera na sile. Głód, ten jeździec Apokalipsy, już galopuje. Bóg domaga się ofiary do przyjęcia, dla ułagodzenia Swego gniewu. 1 jest Mu składana w jednej postaci, jako że wina zakazano. Ach – zauważył, spoglądając z ukosa na wyryte przez Tristrama napisy – oto inskrypcje, co? Dla zabicia czasu. – Bardzo się różnił od człowieka, którego Tristram zapamiętał z tego krótkiego, gwałtownego incydentu w Montague. Był uspokojony, przemawiał z umiarem i oglądał ryte przez Tristrama plugastwa, jakby coś w nieznanym języku. Zauważył jednak: – Ciekawe. Widzę, że kilkakrotnie wypisałeś imię swojego Stwórcy. Popamiętasz me słowa, wszyscy wracają do Boga. Przekonasz się. Wszyscy się przekonamy.

– Użyłem tego słowa – rzekł wyzywająco Tristram – na przekór. Dla mnie to wyzwisko i tyle.

– Otóż to – rzekł ze spokojną uciechą były ksiądz. – Wszystkie brudne wyzwiska są w istocie swej religijne. Wszystkie dotyczą płodności oraz czynności zapładniania i organów zapładniających. Jak nas pouczone, Bóg jest miłością.

Jak gdyby drwiąc z tego oświadczenia, wielkie głośniki, umieszczone jak trąby Sądu Ostatecznego w teoretycznych narożnikach każdej z wielkich, kolistych, spiętrzonych na sobie galerii, wydały odgłos czknięcia, który zapadł w puste brzuszysko centralnej studni. – Uwaga – przemówiły, a słowo to („Uwaga...waga...aga...ga”) odbijało się jak piłka, gdy ryk najdalszego z głośników nakładał się na głos najbliższego. – Prosimy o baczną uwagę. Mówi naczelnik więzienia. – Był to znużony i wykwinny głos po starodawnemu królewski. – Sekretarz Spraw Wewnętrznych polecił mi odczytać, co następuje. To samo jest równocześnie odczytywane w szkołach, szpitalach, urzędach i fabrykach całego królestwa. Jest to modlitwa ułożona przez Ministerstwo Propagandy.

– Słyszałeś? – Były ksiądz aż zatańczył z uniesienia i triumfu. – Niech będzie pochwalony, sprawy idą po naszej myśli. Alleluja.

– Oto ona – podjął zmęczony głos. Odkasznawszy, przeszedł w hipnotyczny zaśpiew. – Nie jest

wykluczone, że śmiertelne moce, które obecnie pustoszą jadalne życie tej planety, obdarzone są inteligencją, w którym to przypadku prosimy je, ażeby tego zaprzestały. Jeśli uczyniliśmy coś złego, w ślepotcie naszej dopuszczając, aby naturalne popędy wzięły górę nad rozumem, oczywiście głęboko nad tym ubolewamy. Pozwalamy sobie jednakże stwierdzić, że wycierpieliśmy już dostatecznie za popełnione zło i stanowczo postanawiamy nigdy więcej nie grzeszyć. Amen. – Głos naczelnika więzienia zginął w donośnym kaszlu i zanim przepadł w trzasku aparatury, dało się jeszcze słyszeć wymamrotane: – Co za cholerne brednie. – Powtórzyły to natychmiast głośniki na wszystkich galeriach.

Twarz współwięźnia poszarzała jak popiół.

– Niechaj Bóg nam wszystkim wybaczy – powiedział, do głębi wstrząśnięty, żegnając się. – Robią coś odwrotnego. Modlą się do potęgi zła, Boże nam dopomóż.

Ale Tristam wpadł w uniesienie. – Nie widzisz, co to znaczy? – wykrzyknął. – To znaczy, że Interfaza zbliża się do końca! Najkrótsza ze wszystkich, jakie się wydarzyły. Państwo osiągnęło granice desperacji. Grzech, oni gadają o grzechu! Niedługo stąd wyjdziemy, teraz już lada dzień. – Zatarł ręce. – Och, Derek, Derek – zachrypiął. – Już się nie mogę doczekać.

### 3

Jesień przeszła w zimę i modlitwy, oczywiście, nie wysłuchano. Nikt, oczywiście, ani przez chwilę nie spodziewał się, oczywiście, że mogłoby to nastąpić. Z punktu widzenia Rządu J.K.M. była to jedynie swego rodzaju łapówka dla irracjonalizmu: żeby nikt już nie mógł powiedzieć, jakoby Rząd J.K.M. czegokolwiek zaniedbał.

– Wszystko to jednak pokazuje – oznajmił w grudniu Shonny – jak sprawy zmierzają z powrotem do Wszechmogącego. – Oceniał to dużo bardziej optymistycznie niż towarzysz Tristrama z celi więziennej. – Liberalizm oznacza zwycięstwo nad środowiskiem, a zwycięstwo nad środowiskiem to nauka, a nauka to światopogląd heliocentryczny, a światopogląd heliocentryczny to umysł otwarty na istnienie innych form inteligencji niż ludzka i... – Zaczerpnąwszy głęboko tchu i łyknąwszy wina śliwkowego podjął: – i... otóż... widzicie... jeżeli dopuści się taką możliwość, to dopuszcza się możliwość istnienia nadludzkiej inteligencji, a tym samym powraca się do Boga. – Rozpromieniony popatrzył na szwagierkę. W kuchni jego żona usiłowała jakoś wybrnąć z żalonych racji żywnościowych.

– Tylko że nadludzka inteligencja może być zła – sprzeciwiła się Beatrice Joanna. – I nie byłby to Bóg, prawda?

– Jeżeli istnieje zło – rzekł Shonny – musi też istnieć dobro. – Nic go nie mogło poruszyć. Beatrice Joanna uśmiechnęła się do niego z ufnością. Za dwa miesiące będzie musiała bardzo polegać na Shonnym. Życie w niej kopnęło; choć brzuchata, czuła się znakomicie. Kłopotów nie brakowało, chociaż była raczej zadowolona. Doskwierało jej poczucie winy w stosunku do Tristrama, dręczyły ją problemy związane z długotrwałym ukrywaniem się. Ilekroć przyszli goście albo zajrzeli robotnicy z gospodarstwa rolnego, musiała pędzić do klozetu, najszybciej, jak pozwalała jej tusza. Ruchu musiała zażywać ukradkiem, po zmroku, przechadzając się z Mavis pośród zrujnowanych żywopłotów, w polach zmarnowanej pszenicy i jęczmienia. Dzieci były grzeczne, od dawna przyzwyczajone, żeby w szkole ani poza szkołą nie gadać o niebezpiecznych bluźnierstwach swych rodziców; milcząc o Bogu, milczały też o ciąży swej ciotki. Były to roztropne, ładne dzieci o wiejskim wyglądzie, chociaż chudsze, niżby należało, Dymphna licząca sobie siedem lat i Llewelyn dziewięć. Siedziały teraz, na dzień czy dwa przed Bożym Narodzeniem, wycinając z



kartonu liście ostrokrzewu, jako że prawdziwy ostrokrzew dotknęła zaraza. – Znowu postaramy się na Boże Narodzenie, ile się da – mówił Shonny. – Mam jeszcze wino śliwkowe i dostateczną ilość spirytu. I te cztery nieszczęsne kury w lodówce. Będzie dosyć czasu na przewidywanie nie dającej się przewidzieć przyszłości, gdy nadejdą i przeminą święta.

Dymphna, uważnie prowadząc nożyczki, z wysuniętym czubkiem języka, odezwała się: – Tato?

– Co, kochanie?

– O co naprawdę chodzi w Bożym Narodzeniu? – Byli dziećmi tyleż Państwa, co swoich rodziców.

– Wiesz, o co chodzi. Wiesz równie dobrze jak ja, o co w tym *wszystkim* chodzi. Llewelyn, wytłumacz jej, o co chodzi.

– Och – powiedział Llewelyn, wycinając – urodził się ten facet, no wiesz. Potem zabili go przez powieszenie na słupie, a potem go zjedli.

– Przede wszystkim – sprostował Shonny – to nie był facet.

– No, mężczyzna – poprawił się Llewelyn. – Ale mężczyzna to facet.

– Syn Boży – powiedział Shonny, walnąwszy w stół. – Bóg i człowiek. I nie został zjedzony, gdy Go zabito. Poszedł prosto do nieba. No, jeżeli chodzi o zjedzenie, to masz trochę racji, Boże ci błogosław, ale to *my* Go zjadamy. W czasie mszy spożywamy Jego ciało i pijemy krew. Tylko że są one ukryte – czy słuchasz, co ja ci mówię? – pod postacią chleba i wina.

– A kiedy znowu przyjdzie – zapytał Llewelyn, wystrzygając – to zostanie naprawdę zjedzony?

– Co chcesz powiedzieć – spytał go Shonny – przez to dziwne sformułowanie?

– Zjedzony – rzekł Llewelyn – tak jak Jim Whittle. – Wziął się do wycinania nowego liścia, skupiony na tej czynności. – Czy to się tak właśnie odbędzie, tato?

– O co chodzi? – rzekł w poruszeniu Shonny. – Co ty wygadujesz, że kogoś zjedli? No już, powiedz mi, synu. – Potrząsnął chłopca za ramię, ale Llewelyn nadal spokojnie wycinał. – Nie przyszedł do szkoły – wyjaśnił. – Jego mama i tato go pokrajali i zjedli.

– Skąd to wiesz? Gdzie słyszałeś tę oburzającą historię? Kto ci opowiada takie złe rzeczy?

– Ale to prawda, tato – odezwała się Dymphna. – Czy dobrze? – zapytała, pokazując swój kartonowy liść.

– Mniejsza o to – odparł niecierpliwie jej ojciec. – Opowiedzcie mi o tym. Ale już. Kto wam nagadał takich okropnych bajek?

– To żadna okropna bajka – nadąsał się Llewelyn. – To prawda. Mnóstwo nas przechodziło koło ich domu, wracając ze szkoły, i tak było naprawdę. Mieli na piecu taki jakby ogromny garnek i bulgotało w nim, jak nie wiem co. Niektóre dzieci weszły tam i widziały.

Dymphna zachichotała.

– Niechaj Bóg wszystkim wybaczy – rzekł Shonny. – To coś strasznego i wstrząsającego, a wy potraficie się tylko śmiać. Powiedzcie mi – potrząsnął obogiem swoich dzieci. – Czy wy mówicie prawdę? Bo jak mi Bóg miły, jeżeli po prostu żartujecie sobie z takiej okropności, to słowo daję, na Jezusa Chrystusa, że spuszczę wam obojgu największe lanie, jakie można sobie wyobrazić.

– Kiedy to prawda – zachlipał Llewelyn. – Widzieliśmy oboje. Miała taką ogromną łyżkę i nakładała nią na dwa talerze i to było gorące, aż parowało, i niektóre inne dzieci prosiły, żeby im trochę dali, bo były głodne, ale Dymphna i ja przestraszyliśmy się, bo mówili, że ojciec i matka Jima Whittle mają niedobrze w głowie, i pobiegliśmy czym prędzej do domu, ale nam powiedziano, żebyśmy nic o tym nie mówili.

– Kto powiedział, żebyście nie mówili?

– Tamci. Kilku z tych dużych chłopców. Frank Bamber powiedział, że spierze nas, jeżeli

powiemy.

– Jeżeli co powiecie?

Llewelyn zwiesił głowę. – Co zrobił Frank Bamber.

– A co on zrobił?

– Miał w ręku taki duży kawał, ale powiedział, że jest głodny. My też byliśmy głodni, ale nie jedliśmy. Tylko uciekliśmy do domu. – Dymphna zachichotała. Ojcu ręce opadły. Powiedział:

– Boże Wszechmogący.

– Bo to była kradzież, tatusiu – wyjaśnił Llewelyn. – Frank Bamber złapał to w rękę i wybiegł, a oni krzyczeli na niego.

Shonny pozieleniał, Beatrice Joanna to wyczuła. – Jakie to straszne, straszne – wytchnęła.

– Ale skoro jecie tego faceta, co był Bogiem – odezwał się z przekonaniem Llewelyn – jak to może być straszne? Skoro jest w porządku jeść Boga, to dlaczego ma być straszne jeść Jima Whittle?

– Ponieważ – wyjaśniła rozsądnie Dymphna – kiedy jesz Boga, to zawsze mnóstwo zostanie. Boga nie da się zjeść, ponieważ Bóg zawsze jest i jest, i jest, i Boga nigdy nie można dojeść. Ty głupku – dodała i wzięła się znów do wycinania liści ostrokrzewu.

#### 4

– Masz gościa – powiedział strażnik do Tristrama. – Ale jeśli będziesz go przeklinał i bluźnął, tak jak mnie, to naprawdę dostaniesz w kość i żebyś wiedział, panie Świntuch. Tędy, proszę pana – przemówił w korytarz. Wkroczył ktoś w czarnym mundurze, z jajkami pękającymi na klapach. – Żaden z nich nie zrobi panu krzywdy, więc nie ma powodu się denerwować. Wrócę za jakieś dziesięć minut. – I odszedł.

– Hej, znam pana – powiedział Tristram, wychudły, słaby, brodaty.

Kapitan uśmiechnął się. Zdjął czapkę, ukazując krótkie, proste, natłuszczone włosy koloru rdzy i wciąż uśmiechnięty, przyglądał sobie jeden wąż. – Spodziewam się – rzekł z uśmiechem. – Nasza wspólna popijawa w Metropolu parę miesięcy temu była całkiem przyjemna, pan rozumie, choć obawiam się, że niezbyt produktywna.

– Tak, znam pana, jak najbardziej – odparł z wściekłością Tristram. – Ja nigdy nie zapomnę twarzy. Wiąże się to z zawodem nauczyciela. A co, ma pan dla mnie rozkaz zwolnienia? Czy proces wreszcie się zakończył?

Ksiądz bez sukienki, ostatnimi czasy domagający się, żeby go nazywać wielbny Ambrose Bayley, popatrzył nieprzytomnie i rzekł: – Tylko proszę się śpieszyć, bo za drzwiami czeka cały kilometr penitentów. Prędko, uklęknij i wyznaj swe grzechy.

Kapitan się głupawo wyszczerzył.

– Przeszedłem tylko poinformować pana, gdzie znajduje się pańska żona.

Tristram spojrział ponuro i uparcie. – Nie mam żony – wymamrotał. – Odstawiłem ją.

– Co za brednie, pan rozumie – rzekł kapitan. – Ma pan żonę z całą pewnością i przebywa ona obecnie, pan rozumie, u swej siostry i szwagra koło Preston. Państwowe Gospodarstwo Rolne NW313.

– Ach tak – rzekł ze złością Tristram. – Tam jest ta suka.

– Tak – odparł kapitan – tam jest pańska żona, pan rozumie, i oczekuje swego nielegalnego chociaż ślubnego dziecka.

Ksiądz pozbawiony sukienki, mając dość wyczekiwania, kiedy kapitan uklęknie i zacznie się spowiadać, wysłuchiwał obecnie – raz po raz kołysząc głową i postępując – spowiedzi jakiegoś

nieznanego i niewidzialnego penitenta. – Co za wstrętny grzech – powiedział do niego – cudzołóstwo. Ile razy?

– Przynajmniej – dodał kapitan – tak się przypuszcza. Dano jej spokój, pan rozumie, nikt z naszych ludzi jej nie nachodził w tym zakątku Prowincji Północnej. O miejscu jej pobytu poinformował mnie nasz Wydział Kontroli Podróży. Otóż – podjął – pan może się zastanawia, pan rozumie, dlaczego jej nie dopadniemy. Może pana to zainteresowało.

– Ech, pieprzone brednie – warknął Tristram. – Nad niczym się nie zastanawiam, bo nic nie wiem. Tkwię tutaj, głodując, bez żadnych wiadomości z zewnątrz, bez listów. Nikt mnie nie odwiedza. – Już był gotów przeobrazić się w dawnego Tristrama, znów biadolić, ale wziął się w garść i zawarczał: – Mam to gdzieś, niech was cholera. Mam gdzieś całą waszą cholerną bandę, ka pe wu?

– Doskonale – odparł kapitan. – Mamy niewiele czasu, pan rozumie. Chcę się dowiedzieć, według pańskiej oceny, kiedy ona urodzi to dziecko.

– Jakie dziecko? Kto mówi o dziecku? – warknął Tristram.

– Idź w pokoju i niech cię Bóg błogosławi – przemówił wielebny Ambrose Bayley. A potem: – Przebaczam moim prześladowcom. Poprzez światło tych żarłocznych płomieni widzę wiekiustą światłość przyszłego żywota.

– Och, słuchaj no pan, pan rozumie – zniecierpliwiał się kapitan. – Mówił pan, że będzie miała dziecko. Oczywiście możemy bez trudu sprawdzić, pan rozumie, czy jest w ciąży. Ale ja chcę wiedzieć, kiedy ma urodzić to dziecko? Kiedy je poczęła, według pańskiej oceny?

– Nie mam pojęcia. – Tristram potrząsnął głową ponuro i apatycznie. – Najmniejszego pojęcia.

Kapitan sięgnął do jednej z kieszeni swej kurtki i wyjął coś w szeleszczącym, żółtym papierku. – Może jest pan głodny? – zapytał. – Może zdałby się kawałek synteczeklu? – Rozpakował baton i podsunął go. Wielebny Ambrose Bayley okazał się szybszy niż Tristram; poskoczył jak szczupak i porwał baton, śliniąc się z pożądlivosti. Tristram rzucił się na niego i obaj z charkotem wydzielali go sobie pazurami. Wreszcie każdy zdobył mniej więcej połówkę. Trzy sekundy wystarczyły na pożarcie brązowej, lepkiej masy. – No już, dosyć tego – rzekł ostro kapitan. – Kiedy to było?

– Edy to yo? – Tristram oblizywał sobie podniebienie i ssał palce. – Aha, o to chodzi – przemówił wreszcie. – Chyba w maju. Już wiem. To było na samym początku Interfazy. Nie ma pan tego więcej?

– Co pan ma na myśli? – dopytywał się cierpliwie kapitan. – Co to jest Interfaza?

– Oczywiście – rzekł Tristram – pan nie jest historykiem, prawda? Nauka historiografii dla pana nie istnieje. Po prostu najemny zbir z kieszeniami pełnymi synteczeklu. – Odbiło mu się i wyglądał, jakby miał rzygnąć. – Kiedy wy wszyscy, najemne zbiry, zaczęliście się panoszyć na ulicach. Daj mi pan tego więcej, do cholery. – Po czym zwrócił się z furią do współwięźnia. – To było moje, a tyś zeżarł. Było tylko dla mnie, cholera. – Zaczął wątle obrabiać wielebny Ambrose Bayley, który złożonywsy dłonie i przewracając oczyma ku niebu mówił: – Panie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. – Tristram zadyszał się i dał mu spokój.

– Dobrze – rzekł kapitan. – No to wiemy już, kiedy wejść do akcji. Może się pan spodziewać, pan rozumie, że pański brat zostanie ostatecznie pohańbiony, a pańska żona ukarana.

– Co znaczy ukarana? Co pan gada? Jaka znów ukarana? Jeżeli pan chce dobrać się do mojej żony, to niech się pan odczepi od tej suki, słyszy pan? To moja żona, nie pańska. Z moją żoną sam sobie poradzę. – Rozchlipał się bez cienia wstydu. – Och, Beatko, Beatko – zaskomlał – dlaczego mnie stąd nie wydostaniesz?

– Pan sobie oczywiście uświadamia – rzekł kapitan – że siedzi pan tutaj przez swego brata?

– Nie gadaj pan tyle – obszczerzył się pogardliwie Tristram – tylko daj jeszcze synteczeklu, ty nażarty hipokryto. No już, dawaj.

– Coś do jedzenia, na miłość Boską – poprosił zawodzącym głosem wielebny Ambrose Bayley.  
– Nie zapominajcie o sługach Bożych w dniach swojej tłuściości. – Upadł na kolana i uczeplił się gołeni kapitana, omal go nie przewracając.

– Strażnik! – zawołał kapitan.

– I daj spokój – rzekł Tristram – mojemu dziecku. To *moje* dziecko, ty oszalały dzieciobójco. – Słabymi piąstkami zaczął młócić kapitana, jakby się dobijał do drzwi. – *Moje* dziecko, ty świnió. Mój protest, moje brudne wyzwiska na ten brudny świat, ty bandyto. – Zaczął obszukiwać kapitana, czy nie ma więcej synteczeklu, długimi, prędkimi łapami jak u małpki.

– Strażnik! – wołał kapitan, wrywając mu się.

Wielebny Ambrose Bayley zwolnił chwyt i odczołgał się, zniechęcony, do swojej pryczy. – Pięć razy ojczenasz i pięć zdrowasiek – rzekł niedbale – dziś i jutro ku czci Kwiatuszka. Idź w pokoju i Boże cię błogosław.

Przyszedł klawisz i odezwał się wesoło: – Nie miał pan z nimi kłopotu, prawda? No właśnie. – Ręce Tristrama, zbyt słabe, ażeby dalej szperać, zwisły u jego boków. – Ten – wskazał na niego strażnik – to był po prostu mały potwór, kiedy się tu pojawił. Nie było sposobu, żeby go nauczyć rozsądku, prawdziwy kryminalista. Teraz już się nieźle obłaskawił – dodał z odcieniem dumy. – Tristram skulił się w swoim kącie, mamrocząc: – *Moje* dziecko, *moje* dziecko, *moje* dziecko. – Z takimi spondejami w uszach, szczerząc nerwowo zęby, kapitan wyszedł.

## 5

Pod koniec grudnia w Bridgewater, Somerset, Prowincja Zachodnia, niejaki Thomas Wharton, mężczyzna w średnim wieku tuż przed północą wracający z pracy do domu, został napadnięty przez chłopaków. Ci zadźgali go nożem, oprawili, wbili na rożen, upiekli, pokrajali go i podali do spożycia, wszystko to jawnie i bez żenady, na jednym z placów miasta. Głodny tłum dobijał się o kawały i płaty mięsa, powstrzymywany – aby nie doszło do zakłócenia Królewskiego Pokoju – przez żujących i ociekających tłuszczem szaraków. W Thirsk, na Północnym Riding, trzech chłopcy – Alfred Pickles, David Ogden i Jackie Priestley – zostali ubici młotkiem w mrocznym zakątku i przez tylne podwórze wciągnięci do mieszkalnego segmentu. Przez dwie noce ulica napawała się dymem i wonią mięsa z rusztów. W Stoke-on-Trent zwłoki kobiety (zidentyfikowanej następnie jako Maria Bennett, niezamężna, lat dwadzieścia osiem) wyszczerzyły się nagle – zmniejszone o kilka niezłych porcji – spod zasy pyłnej. W Gillingham, Kent, obecnie Wielki Londyn, otwarto w ciemnym zaułku jadłodajnię z grillem, czynną każdej nocy i bodajże uczęszczaną zwłaszcza przez funkcjonariuszy obu policji. W pewnych nie rekultywowanych okolicach na wybrzeżu Suffolku krążyły pogłoski o wielkich, hucznych wieczerzach wigilijnych.

W Glasgow, na Hogmanay, sekta brodaczy wyznających kult spalonego Njala składała liczne ofiary z ludzi, wnętrzości zachowując dla swojego ubóstwionego patrona, a mięso do własnego użytku. W nie tak subtelnym Kirkcaldy zaczęto urządzać liczne prywatki wieczorne *ceilidh*, na których podawano kanapki z mięsem. Nowy Rok zaczął się od relacji o nieśmiałym kanibalizmie w Maryport, Runcorn, Burslem, Zachodnim Bromwich i Kidderminster.

Później metropolia nagle błysnęła kłami: niejaki Amis doznał brutalnej amputacji ramienia w pobliżu Kingsway; dziennikarza S.R. Coke ugotowano w starym kotle miedzianym opodal Shepherd's Bush; nauczycielkę Joan Waine usmażono w kawałkach.

Przynajmniej takie były opowieści.

Ich prawdziwość była w istocie nie do stwierdzenia; mogły też być delirycznymi fantazjami, poczętymi ze skrajnego głodu. Zwłaszcza jedna opowieść była tak niewiarygodna, że rzuciła cień wątpliwości na inne. Z Brodick na wyspie Arran doniesiono, że po zbiorowej, ogromnej, nocnej uczcie z ludzkiego mięsa nastąpiła orgia heteroseksualna w czerwonym blasku trzaskających od tłuszczu ognisk i że następnego poranka ujrano wyrastające obficie ze stłamszonej ziemi korzenie kozibrodu. W to nie dało się już uwierzyć w żaden sposób i przy najdalej posuniętym wyteżeniu narządu łatwowierności.

## 6

Beatrice Joanna dostała pierwszych bólów.

– Biedna stara dziewczuszka – powiedział Shonny. – Biedna, biedna staruszka. – On, jego żona i szwagierka stali w to jasne, rześkie przedpołudnie lutego przy chlewie Bessie, chorej maciory. Bessie całym swym obwisłym, szarym cielskiem leżała na boku, słabo pochrzając, wielka kupa zmarnowanego mięsa. Jej górny bok, dziwnie plamisty, dyszał jakby w śnie o polowaniu. Panceltyckie oczy Shonny’ego były pełne łez. – Robaki długości metra – uskarżał się – potworne, żywe robaki. Dlaczego robak żyje, a ona nie? Biedna, biedna staruszka.

– Och, przestań, Shonny – prychnęła Mavis. – Musimy się na to znieczulić. W końcu to tylko świnia.

– Co? *Tylko* świnia? – Shonny oburzył się. – Wyrosła razem z naszymi dziećmi, Boże jej błogosław. Była członkiem rodziny. Hojnie oddawała nam swoje prosiątka, żeby nas przyzwoicie nakarmić. Należałoby jej, Panie świeć nad jej duszą, urządzić chrześcijański pogrzeb.

Beatrice Joanna mogłaby współczuć płaczącemu; pod wieloma względami była mu bliższa niż Mavis. Ale miała teraz co innego na głowie. Zaczęły się bóle. Dzień okazał się nieźle zrównoważony: śmierć świni, narodziny człowieka. Nie obawiała się, Shonny i Mavis zasługiwali na jej zaufanie, zwłaszcza Shonny; jej ciąża przebiegała zdrowo i konwencjonalnie, jeżeli nie liczyć pewnych frustracji: dotkliwa chęć na korniszony nie mogła być zaspokojona, a skłonność do przemeblowania wiejskiego domu spotkała się z odprawą ze strony Mavis. W nocy pojawiała się przemożne pragnienie, aby znaleźć pociechę w objęciach, o dziwo, nie Derka, tylko... Aaaargh.

– To już drugi w ciągu dwudziestu minut – policzyła Mavis. – Wejdz lepiej do środka.

– Skurcze – stwierdził Shonny z czymś na kształt satysfakcji. – W nocy będzie po wszystkim, chwala Bogu.

– Tak jakby zabolalo – stwierdziła Beatrice Joanna. – Nie bardzo. Tylko troszeczkę.

– W porządku – zbulgotał gorliwie Shonny. – Przede wszystkim potrzebna ci lewatywa. Woda z mydłem. Zajmiesz się tym, co, Mavis? I niech lepiej weźmie ciepłą kąpiel. Aha. Dzięki Bogu nie brakuje nam gorącej wody. – Zapędził je do domu, zostawiając cierpiącą Bessie własnemu losowi, zaczął wyciągać i zamykać z trzaskiem szuflady. – Przewiązki – zawołał. – Trzeba będzie podwiązać.

– Jest na to mnóstwo czasu – uspokoiła go Mavis. – Przecież to człowiek, a nie zwierzyna polna.

– I dlatego muszę zrobić przewiązki – wykrzykiwał Shonny. – Kobieto, na miły Bóg, czy myślisz, że ona to sobie odgryzie, jak kotka? – Znalazł lnianą przędzę i wyśpiewując hymn po panceltycku skręcił dziesięciocalowe sznurki do zawiązania pępowiny, robiąc supły na końcach. Tymczasem Mavis zaprowadziła Beatrice Joannę na górę do łazienki i rury z gorącą wodą

rozśpiewały się na całe gardło, trzeszcząc i natężając się jak płynący okręt.

Bóle stały się coraz częstsze. Shonny przygotował łóżko w nagrzanym przybudówce, pokrywając środek papierem do pakowania i naciągając na to prześcieradło, bez przerwy śpiewając. Plony zawiodły i wierna maciora zdychała, ale nowe życie szykowało się już, aby zagrać na nosie – gestem zwanym też „pokazać szpagatowego” – siłom bezpłodności. Zmienacka dwa dziwne nazwiska – jak gdyby brodate? – pojawiły się, nieproszone, w głowie gospodarza: Zondek i Aschheim. Co za jedni? pomyślał Shonny. Przypomnił sobie: starożytni wynalazcy testu na ciążę. Kilka kropli moczu brzemienną kobiety miało przyspieszać dojrzewanie płciowe świeżo zrodzonego myszątka. Czytał o tym, przygotowując się do powinności, którą teraz ma spełnić. Z niewiadomego powodu poczuł w sercu niezwykle uniesienie. Oczywiście w *tym* kryła się wielka tajemnica: wszelkie życie to jedność, wszelkie życie stanowi jedność!

Ale teraz nie czas o tym myśleć.

Dymphna i Llewelyn wrócili ze szkoły. – Co się dzieje, tato? O co chodzi? Co robisz, tato?

– Przyszła pora na waszą ciotkę. Nie zawracajcie mi teraz głowy. Idźcie się pobawić. Nie, chwileczkę, zostańcie z biedną Bessie. Potrzymajcie ją za racice, biedaczkę.

Beatrice Joanna już chciała się położyć. Owodnia się nagle rozdarła i wody płodowe odeszły. – Połóż się na lewym boku, dziewczyno – rozkazał Shonny. – Czy boli? Biedna staruszka. – Bóle rzeczywiście się potęgowały; Beatrice Joanna zaczęła wstrzymywać oddech, żeby mocniej przeć. Shonny przywiązał do wezglowia długi ręcznik i namawiał ją: – Złap się za to i ciągnij. Mocno ciągnij. Boże ci błogosław, teraz to już niedługo. – Beatrice Joanna ciągnęła, stękając. – Mavis – powiedział Shonny – to nie pójdzie tak prędko. Przynies mi parę butelek wina śliwkowego i szklanę.

– Już zostało tylko parę butelek.

– Mimo to przynieś je, bądź tak dobra. No... no... moja piękna – mówił do Beatrice Joanny. – Ciągnij za to, na zdrowie! – Sprawdził, czy staromodne powijaki, które siostry zrobiły na drutach w długie wieczory zimowe, grzeją się na kaloryferze. Wyjął swoje przewiązki; nożyczki gotowały się w garnku; na podłodze lśniła blaszana wanienska; wata czekała, żeby z niej porobić tampony; miękka wyściółka jako pas na brzuch: wszystko było gotowe. – Bóg ci zapłać, kochana – podziękował swej żonie, kiedy pojawiła się z butelkami. – To będzie wielki dzień.

Niewątpliwie okazał się długi. Blisko dwie godziny Beatrice Joanna wyteżała mięśnie. Krzyczała z bólu, a Shonny, popijając wino śliwkowe i wykrzykując słowa otuchy, przyglądał się i czekał, spocony nie mniej niż ona. – Gdybyśmy tylko mieli – mamrotał – jakikolwiek środek znieczulający. Masz, dziewczyno – zaproponował dzielnie – łyknij sobie tego! – i podsunął jej butelkę. Ale Mavis odciągnęła jego rękę.

– Popatrz – zawołała. – Wychodzi!

Beatrice Joanna wrzasnęła. Urodziła się główka: zakończyła wreszcie swą ciężką podróż, zostawiając za sobą kostny tunel miednicy i wydostając się przez pochwę na powietrze świata, na razie obojętnego, który niebawem okaże się wrogi. Po krótkiej przerwie wypchnęło się ciało dziecka. – Doskonale – powiedział Shonny z błyszczącymi oczyma, przecierając zamknięte oczy dziecka zwilżonym wacikiem, ruchami delikatnymi i kochającymi. Noworodek powitał świat wrzaskiem. – Ślicznie – powiedział Shonny. Po czym, gdy tętno w pępowninie zaczęło ustawać, wziął dwie przewiązki i zręcznie zawiązał je, ciasno, ciaśniej i jeszcze ciaśniej, tworząc dwie granice z ziemią niczyją pośrodku. I tutaj ciachnął wyjąłowionymi nożyczkami. Nowy kawałek życia, pełen wściekle łykanego powietrza, zdany był już na siebie. – Chłopiec – zauważyła Mavis.

– Chłopiec? No tak – stwierdził Shonny. Uwolniony od matki, nie był już tylko rzeczą. Shonny

odwrócił się, wypatrując łożyska, podczas gdy Mavis zawinęła dziecko w szal i ułożyła je w pudle przy kaloryferze; z kąpielą można było zaczekać. – O mój Boże – powiedział Shonny, przyglądając się. Beatrice Joanna krzyknęła, ale już nie tak głośno. – Drugi! – zawołał Shonny ze zgrozą. – Bliźnięta, jak Boga kocham. Cały miot, jak mi Pan Jezus miły.

7

– Wychodź – powiedział klawisz.

– Najwyższy czas – wyrzucił z siebie Tristram, wstając z pryczy. – Najwyższy kurwa czas, ty wredny tytku. Daj mi tylko coś żreć, do cholery, zanim stąd wyjdę.

– Nie ty – oznajmił z satysfakcją klawisz. – On. – Wskazał palcem. – Ty u nas jeszcze długo pobędiesz, panie Brudas. To jego zwalniają.

Wielebny Ambrose Bayley, kiedy strażnik potrząsnął nim, zamrugął i wybałuszył się z wiekuiestej obecności Boga, trwającej od końca stycznia. Bardzo był osłabiony.

– Zdrajca – warknął Tristram. – Kapuś. Łgarstwa o mnie opowiadasz, tym się zajmujesz. Kłamstwami kupiłeś sobie tę haniebną wolność. – Przemówił do klawisza z nadzieją, robiąc dzikie i wielkie oczy: – Czy na pewno się nie pomyliłeś? Jesteś pewien, że to nie o mnie chodzi?

– On – pokazał klawisz. – Nie ty. On. Ty nie jesteś – popatrzył na trzymany w ręku papier – stanu duchownego, cokolwiek to znaczy. A jesteś? Oni wszyscy będą zwolnieni. A wygadujący świństwa, tacy jak ty, mają tu nadal siedzieć. Jasne?

– To cholerna, bezwstydna niesprawiedliwość – wrzasnął Tristram – tak jest. – Padł na kolana przed klawiszem, składając dłonie jak do modlitwy i garbiąc plecy, jakby mu przed chwilą złamano kark. – Błagam, wypuść mnie zamiast niego. Z nim już koniec. On myśli, że już umarł, spalony na stosie. Jest przekonany, że oczekuje go wkrótce kanonizacja. Już w ogóle nie wie, co się dzieje. *Błagam.*

– On – wskazał palcem strażnik. – Tu jest wypisane jego nazwisko. Popatrz: A.T. Bayley. A ty, panie Bluzgacz, będziesz tu siedział. Znajdziemy ci następnego kumpla, nic się nie bój. Idziemy, stary – odezwał się łagodnie do wielebnego Ambrose. – Wyjdiesz stąd i zgłosisz się po rozkazy do jakiegoś faceta w Lambeth, który powie ci, co masz robić. No jazda, ruszaj się. – I potrząsnął nim dosyć brutalnie.

– Daj mi jego porcje – błagał Tristram, wciąż jeszcze na kolanach. – Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić, żebyś tak zdechł i oślepl. Ja kurwa umieram z głodu, człowieku.

– Wszyscy głodujemy – warknął klawisz – a w dodatku niektórzy z nas muszą pracować, nie obijać się przez cały dzień. Wszyscy usiłujemy przeżyć na tych kawałkach odżywu i paru kroplach syntemleku, a mówią, że i tego już niedługo zabraknie, tak się rzeczy mają. No chodźże – powiedział, zawzięcie potrząsając wielebnym Ambrose. Lecz wielebny Ambrose tylko leżał rozpromieniony, patrząc jakby w świątobliwym transie, prawie nie poruszając się.

– Jeść – pomrukiwał Tristram, dźwigając się z największym trudem. – Jeść, jeść, jeść.

– Dam ci jeść – powiedział zrzędzącym głosem strażnik, wcale nie to mając na myśli. – Przyślę ci jednego z tych ludożerców, co ich złapano, tyle mogę dla ciebie zrobić. To będzie twój nowy kumpel w celi, jeden z takich. Wyrwie ci wątrobę, ugotuje i zje.

– Gotowaną czy na surowo – zajęczał Tristram – wszystko jedno. Daj mi ją, daj.

– Eeech, ty – z obrzydzeniem wyszydził go klawisz. – No chodźże już, stary – przynaglał z rosnącym niepokojem wielebnego Ambrose. – Bądź grzeczny, wstawaj wreszcie. Wychodzisz na aut. Aut, aut, aut – zaszczekał jak pies.

Wielebny Ambrose podniósł się bardzo niepewnie, opierając się na strażniku. – *Quia peccavi nimis* – rzekł trzęsącym się głosem. Po czym niezdarnie upadł.

Klawisz powiedział: – Coś wydaje mi się, że źle z tobą, naprawdę. – Przykucnął na palcach stóp, marszcząc nad nim czoło z namysłem, jak nad zatkanym zlewem. – *Quoniam adhuc* – wymamrotało z wielebnego Ambrose, leżącego do góry twarzą na kamiennych płytach.

Tristram uznał, że to jego szansa, i zwałił się na strażnika jak wieża, tak mu się zdawało. Obaj zaczęli się tarzać i sapać, tam i z powrotem po wielebnym Ambrose.

– Więc to tak, co, panie Wredny? – zawarczał klawisz. Wielebny Ambrose Bayley stękał tak, jak stękała zapewne błogosławiona Margaret Clitheroe, kiedy w roku 1586 w Yorku przywalono ją cetnarowymi ciężarami. – No, teraz już się załatwiłeś na dobre – odsapnął strażnik, klękawszy na Tristramie i waląc go z obu pięści. – Sam się doprosiłeś, panie Chytrus. Nigdy nie wyjdiesz stąd żywy, moja w tym głowa. – Przyłożył mu złośliwie w usta, łamiąc uzębienie. – Od dawna ci się to należało. – Tristram leżał bez ruchu, rozpaczliwie chwytając oddech. Klawisz, ciągle jeszcze zdyszany, powlókł wielebnego Ambrose Bayleya na wolność. – *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* – wygłaszał w międzyczasie, waląc się po trzykroć w pierś, ksiądz bez sutanny.

## 8

– Chwała Bogu najwyższemu! – zakrzyknął Shonny. – Mavis, chodź i zobacz, kogo tu mamy. Llewelyn, Dymphna! Prędko, chodźcie tu wszyscy. – Bo któż to wszedł do domu, jeśli nie ojciec Shackel, z zawodu sprzedawca nasion, wiele miesięcy temu zabrany przez brutalnych szaraków z umalowanymi wargami. Ojciec Shackel miał niewiele po czterdziestce, bardzo okrągłą, krótko ostrzyżoną głowę, potężny wytrzeszcz i chroniczny katar z powodu jednostronnego wybrzuszenia na przegrodzie nosowej. Jego stale otwarte usta i wybałuszone oczy nadawały mu wygląd Williama Blake patrzącego na wróżki. Teraz uniósł prawą dłoń do błogosławieństwa.

– Jesteś bardzo chudy, ojcie – zauważyła Mavis.

– Czy ojca torturowano? – zapytali Llewelyn i Dymphna.

– Kiedy cię wypuścili? – zawołał Shonny.

– Czego mi najbardziej potrzeba – rzekł ojciec Shackel – to napić się czegoś. – Mowa jego była stłumiona i bez artykulacji nosowej, jakby stale chodził przeziębiony.

– Została jeszcze kropelka wina śliwkowego – rzekł Shonny – z porodu i z uroczystości po jego zakończeniu. – Wybiegł, żeby tę odrobinę przynieść.

– Porodu? O jakim porodzie on mówi? – zapytał sadowiąc się ojciec Shackel.

– Mojej siostry – wyjaśniła Mavis. – Wczoraj urodziła bliźnięta. Trzeba będzie ochrzcić je, ojcie.

– Dziękuję, Shonny. – Ojciec Shackel wziął nalaną do połowy szklanekę. – No – przemówił, upiwszy troszkę – dziwne rzeczy się zaczynają dziać, nieprawdaż?

– Kiedy cię wypuścili? – zapytał ponownie Shonny.

– Trzy dni temu. Od tej pory byłem w Liverpoolu. To nie do wiary, ale cała hierarchia duchowna jest na wolności: wypuszczono arcybiskupów, biskupów, wszystkich. Nie musimy się już kryć. Kto chce, może nawet chodzić w sutannie.

– Do nas jakby nie docierały żadne wiadomości – zauważyła Mavis. – Ciągłe tylko gadanie, gadanie – wciąż namawianie, propaganda – ale słyszy się jakieś pogłoski, no nie, Shonny?

– Ludożerstwo – powiedział Shonny. – Ofiary z ludzi. Właśnie o tym się słyszy.

– Doskonałe wino – rzekł ojciec Shackel. – Przypuszczam, że wkrótce uchylą zakaz uprawiania



winorośli.

– Co to są winorośle, tato? – zapytał Llewelyn. – Czy to samo, co ofiary z ludzi?

– Wy dwoje – rozkazał Shonny – idźcie potrzymać racicę biednej Bessie. Przedtem pocałujcie w rękę ojca Shackela.

– Racicę ojca Shackela – zachichotała Dymphna.

– Dosić – ostrzegł Shonny – albo dostaniesz w ucho.

– Bessie jakoś długo umiera – burknął Llewelyn, jak to dzieci, całkiem bez serca. – Idziemy, Dymph. – Pocałowali ojca Shackela w rękę i wyszli, gadając o czymś.

– Sytuacja nie jest jeszcze do końca jasna – rzekł ojciec Shackel. – Wiemy tylko, że wszyscy się strasznie boją. To widać. Papież jest podobno z powrotem w Rzymie. Na własne oczy widziałem arcybiskupa Liverpoolu. Wiecie, biedak zatrudniony był jako murarz. W każdym razie przenieśliśmy światło przez mroczne czasy. Kościół na tym właśnie polega. Możemy być z tego dumni.

– A teraz co będzie? – spytała Mavis.

– Mamy wrócić do naszych kapłańskich obowiązków. Mamy znowu odprawiać msze: jawnie i legalnie.

– Chwała niech będzie Panu – rzekł Shonny.

– Och, niech ci się nie wydaje, że Państwu choć trochę zależy na chwale Bożej – zaznaczył ojciec Shackel. – Państwo się przestraszyło sił, których nie rozumie, i na tym koniec. Rządzący Państwem cierpią na przyływ zabobonnego strachu, w tym rzecz. Nie wyszło im z policją, więc teraz się odwołują do księży. Nie ma już kościołów, więc mamy chodzić po rejonach, jakie nam przydzielono, i karmić ich wszystkich Bogiem zamiast prawa. Och, bardzo to sprytne. Przypuszczam, że ma to polegać na sublimacji: nie zjadajcie bliźnich, spożywajcie zamiast nich Boga. Wykorzystują nas, o to chodzi. Ale z drugiej strony, oczywiście, my to wykorzystamy. Jesteśmy obecnie sprowadzeni do podstawowej funkcji: sakramentalnej. To jedno, czegośmy się nauczyli: że Kościół może sobie przyswoić każdą herezję i wszystko, co nieortodoksyjne – łącznie z waszą nieszkodliwą wiarą w Drugie Przyjście – dopóki trzyma się swej podstawowej funkcji. – Tu czmychnął śmiechem. – Zdaje się, że zaskakująco wielu policjantów zostaje zjedzonych. Tajemnicze są działania Boskie. Podobno zniewieściałe mięso jest bardziej soczyste.

– To okropne – skrzywiła się Mavis.

– O tak, okropne – błysnął zębami w uśmiechu ojciec Shackel. – Słuchajcie, nie mam wiele czasu: powinienem jeszcze dziś wieczór dostać się do Accrington i kto wie, czy nie będę musiał iść pieszo. Zdaje się, że autobusy nie kursują. Czy macie opłatki do komunii?

– Trochę ich zostało – powiedział Shonny. – Dzieci, niechaj Bóg im przebaczy, dobrały się do nich i zaczęły wyżerać, ci mali bluźniercy, poganie. Zjadłyby całą paczkę, gdybym ich nie przyłapał.

– Mały chrzest zanim ojciec pójdzie – wspomniała Mavis.

– Ach tak. – Zaprowadzono ojca Shackela do komórki, gdzie Beatrice Joanna leżała ze swymi bliźniakami. Chuda, ale różowa. Bliźniaki spały. Shonny powiedział:

– A może by tak, po obrzędku dla nowonarodzonych, jeszcze obrządek dla umierającej?

Mavis przedstawiła: – To ojciec Shackel.

– Ja nie jestem umierająca, prawda? – zaniepokoiła się Beatrice Joanna. – Czuję się znakomicie. Chociaż głodna.

– To nieszczęsna stara Bessie umiera, biedna staruszka – wyjaśnił Shonny. – Uważam, że należą się jej te same prawa, co jakiegokolwiek duszy chrześcijańskiej.

– Świnia nie ma duszy – stwierdziła Mavis.

– Bliźnięta, co? – przemówił ojciec Shackel. – Moje gratulacje. Obydwaj chłopcy? A jakie

mają nosić imiona?

– Jeden Tristram – odrzekła bez wahania Beatrice Joanna. – A drugi Derek.

– Czy mogę dostać wody? – zwrócił się ojciec Shackel do Mavis. – I troszkę soli?

Llewelyn i Dymphna wpadli, zadyszani. – Tato! – zawołał Llewelyn. – Tato. Chodzi o Bessie.

– Wyzionęła nareszcie ducha, tak? – powiedział Shonny. – Biedna, wierna staruszka. Nawet bez pociechy ostatniego namaszczenia, niechaj Bóg się nad nią zlituje.

– Wcale nie umarła! – krzyknęła Dymphna. – Ona żre!

– Żre? – wytrzeszczył się Shonny.

– Wstała i żre – oznajmił Llewelyn. – Znaleźliśmy w kurniku kilka jajek i nakarmiliśmy ją.

– Jajek? *Jajek?* Czy wszyscy powariowali i ja również?

– Daliśmy jej także te biszkopty – wtrąciła Dymphna. – Te okrągłe, białe, co były w szafie. Nic innego nie znaleźliśmy.

Ojciec Shackel roześmiał się. Przysiadł na brzegu łóżka Beatrice Joanny, żeby wyśmiać się do upadłego. Śmiał się z mieszanej uczuć, jakie twarzą swą wyrażał Shonny. – Mniejsza o to – powiedział wreszcie, szczerząc się w uśmiechu jak kto głupi. – W drodze do Accrington znajdę trochę chleba. Gdzieś musi znaleźć się kawałek chleba.

## 9

Nowym towarzyszem w celi Tristrama był zwalisty Nigeryjczyk nazwiskiem Charlie Linklater. Przyjazny i gadatliwy, z paszczą tak ogromną, aż dziw, że potrafił osiągnąć jaką taką precyzję w wymowie angielskich samogłosek. Tristram nieraz usiłował policzyć mu zęby, jego własne i często błyskające, jakby się tym szczyły, i suma, do jakiej dochodził, zawsze wydawała się większa od przepisowych trzydziestu dwóch. Ten fakt go niepokoił. Charlie Linklater odsiadywał nieokreślony wyrok za jakieś nieokreślone występki, do których zaliczało się – na ile Tristram mógł się zorientować – liczne potomstwo i pobicie szaraków, doprawione rozróbką w holu Siedziby Rządu i spożywanie mięsa po pijanemu. – Fajnie tu ciut odpocząć – mówił – to mi nie zaszkodzi. – Jego głos miał bogatą barwę szkarłatnofioletową. Tristram czuł się chudszy i węższy niż kiedykolwiek w jego połyskliwej, niebieskoczarnej, mięsistej obecności. – Gadają coś o żarciu mięsa – mówił Charlie Linklater na swój leniwy sposób, wyciągnięty luźno na pryczy – ale co oni o tym wiedzą, chłopie. Dobre dziesięć lat temu byłem z żoną jednego gościa też z Kaduna, jak ja. Nazywał się George Daniel, inkasent od liczników. On wraca niespodziewanie i przyłapuje nas. To co mieliśmy zrobić, jak go nie rąbnąć? Też byś to zrobił, chłopie. No i mamy to ciało, osiemdziesiąt kilo dobrej wagi. To co mieliśmy zrobić, jak nie do garnka? Zajęło nam tydzień, jak nic, przez cały czas jedząc. Kości zakopaliśmy i nikt się nie skapował. To było wielkie żarcie, chłopie, i naprawdę dobre. – Westchnął i mlasnął olbrzymimi wargami, nawet beknął na to miłe wspomnienie.

– Muszę się stąd wydostać – rzekł Tristram. – Na świecie jest coś do jedzenia, prawda? Jedzenie. – Ślina mu pociekła, targnął za kraty, ale słabo. – Muszę coś zjeść, muszę i koniec.

– No – przemówił Charlie Linklater – ja to się na razie nie śpieszę, żeby stąd wyjść. Paru takich szuka mnie i chce rąbnąć, to myślę, że równie dobrze mogę tutaj posiedzieć. Przynajmniej jakiś czas. Ale z przyjemnością pomogę ci się stąd wydostać, jak tylko dam radę. Nie żebym nie lubił twojego towarzystwa, bo grzeczny z ciebie gość i wykształcony, do tego dobrze wychowany. Ale jeśli dam radę ci pomóc, żebyś się wydostał, to możesz na mnie liczyć.

Gdy w południe pojawił się strażnik, żeby przez kraty wsunąć tabletki odżywu i wodę, Tristram z zainteresowaniem spostrzegł, że jest zaopatrzony w pałkę. – Tylko podskoczysz – oznajmił mu

strażnik – i dostaniesz tym fajnego łupnia – machnął pałką – w miękką część tej czaszki, panie Trudny. Więc uważaj, tyle ci powiem.

– Ta jego czarna pała bardzo się przyda – rzekł Charlie Linklater. – Jak on się do ciebie odzywa, to nie jest grzeczne – dodał.

Po czym obmyślił prosty plan, jak Tristram się ma wydostać. Wiązało się z tym niejakie zagrożenie karne dla niego samego, ale był to człowiek wielkiego serca. Spożycie blisko sześćdziesięciu kilo inkasenta przez siedem dni świadczyło też o jego uporze i wytrwałości.

W prostej, początkowej fazie tego prostego planu wykonał pokaz wrogości do swego współwięźnia, żeby go nie podejrzewano o współnictwo, gdy przyjdzie czas na drugą fazę. Od tej pory, kiedy tylko strażnik zajrzał przez kraty, ryczał na Tristrama:

– Nie czepiaj się mnie, chłopie. Zachowaj te świńskie słowa dla siebie. Nie jestem przyzwyczajony, żeby tak się do mnie odnosić.

– A ten znowu swoje, co? – przytaknął zawzięty klawisz. – Ale złamiemy go, tylko poczekaj, to zobaczysz. Będzie się czołgał, jak go wezmę w obroty.

Tristram z zapadniętą szczęką, bo mu złamano uzębienie, rozdziawił usta jakby z rybią wściekłością. Strażnik odpowiedział mu tym samym, tylko zębato, i odszedł. Charlie Linklater skinął głową.

Trwało to przez trzy dni.

Czwartego dnia Tristram leżał niemal tak samo, jak przedtem wielebny Ambrose Bayley: bez ruchu, milczący, wywróciwszy oczy do nieba. Charlie Linklater potrząsnął kratami. – Zdycha. Chodźcie tu zaraz. Chłop odwala kitę. Jest tam który? – Strażnik pojawił się, zrzędząc. Ujrzał wyciągniętego Tristrama i ze zgrzytem otworzył drzwi celi.

– Dobra – rzekł w piętnaście sekund później Charlie Linklater. – Pakuj się w jego mundur, chłopie. Fajna robota – skomentował, machając pałką, trzymaną za pętlę ze sztucznej skóry. – Włóż prędko w jego ciuchy, jesteście podobnego wzrostu. – We dwóch rozebrali nieprzytomnego klawisza. – Ale ma pryszczate plechy – zauważył Charlie Linklater. Ułożył go delikatnie na pryczy Tristrama i przykrył jego kocem. W tym czasie Tristram, sapiąc z podniecenia, zapinał na sobie znoszony niebieski mundur klawisza. – Nie zapomnij o jego kluczach – rzekł Charlie Linklater – i żebyś nie zapomniał, chłopie, jego pałki. Ona może ci coś niecoś załatwić, jeszcze jak, prawdziwa ślicznota. No, to przypuszczam, że on się nie zbudzi przez jakieś pół godziny, więc nie pośpieszaj i zachowuj się naturalnie. Naciągnij tę czapkę mocno na oczy, chłopie. Tylko kłopot z tą brodą.

– Jestem ci wdzięczny – powiedział Tristram, a serce waliło mu jak oszalałe. – Bardzo ci jestem wdzięczny.

– Nie ma za co – odparł Charlie Linklater. – Teraz walnij mnie z lekka tą pałką w potylicę, żeby to wyglądało naturalnie. Nie potrzebujesz zamykać drzwi celi, bo i tak nikt nie będzie uciekał, ale nie zapomnij podzwaniać kluczami, żeby to wyglądało ładnie i naturalnie. No już. Wal. – Tristram stuknął nieśmiało, niczym w śniadaniowe jajko, w czaszkę jak z dębu. – Musisz się lepiej postarać – rzekł Charlie Linklater. Tristram zacisnął wargi i walnął go, jak należy. – Właśnie coś takiego – rzekł Charlie Linklater, przewracając białkami oczu. Runął na kamienną posadzkę, aż blaszane kubki zabrzęczały na półce.

Wyszedszy na korytarz, Tristram rozejrzał się bacznie na obie strony. Na odległym końcu galerii dwaj strażnicy gawędzili, posępnie oparci o poręcz studni, gapiąc się jak gdyby w głąb morza. Na tym końcu nie było nikogo; tylko cztery cele do schodów. Tristrama dręczyło to, że jest brodatym klawiszem. W kieszeni sztywnych, obcych spodni znalazł chusteczkę i rozczapierzoną dłonią przycisnął ją sobie do ryja, że niby zęby go bolą albo szczeka, czy coś w tym rodzaju.

Postanowił nie iść za radą Linklatera: wygląda nienaturalnie, więc i zachowywać się musi nienaturalnie. Z pobrząkiwaniem kluczy i tupiąc butami, ruszył chwiejnie i niezdarnie w dół po żelaznych schodach. Na podeście minął innego strażnika, wchodzącego na górę. – Co z tobą? – zapytał tamten. – Burk krop feger dub – wymamrotał Tristram. Tamten skinął głową, uspokojony, i ruszył dalej.

Tristram potupał na dół.

Wstrzymywał oddech. Wyglądało to na zbyt łatwe. Ciąg za ciągiem dudniącego żelastwa, niekończące się szeregi cel, poźółkłe gęsto zadrukowane kartki na każdym podeście: *Więzienia J.K.M. Regulamin*. Wreszcie znalazł się na parterze z uczuciem, jakby utrzymywał te piętra cel na własnej, majaczącej głowie. Kiedy skręcał za przypadkowy róg, zderzył się z nim czołowo strażnik z byczą mordą tak sztywny, jakby sztucznie opięty. – No, no – powiedział. – Dobrze się czujesz? Nowy, co? – Hamgołt – wymamlał Tristram. – Prze guszem. Zambrzy katalep. – Jeśli szukasz ambulatorium – domyślił się strażnik – to idź tędy i prosto. Zaraz je zobaczysz. – Wskazał palcem. – Omne ze kluje – wystękał Tristram. – Nie ma za co, kolego – rzekł strażnik. Tristram ruszył przed siebie. To już były korytarze biurowe, ściany koloru żółtawego z murzyńskim brązem przy podłodze, silna woń dezynfekcji. Zobaczył nad framugą podświetlony niebieski napis: AMBULATORIUM. Tristram wszedł śmiało do miejsca pełnego klitek, młodych ludzi w białych fartuchach, woni spirytusu. Z najbliższych drzwi dobiegał plusk i chlapanina, postękiwanie kąpiącego się. Drzwi były otwarte i Tristram wszedł do środka. Niebieskie kafelki, buchająca para, męczyzna w wannie namydlał sobie głowę z zaciśniętymi z bólu powiekami. – Zapomniałem się ogolić – zawołał Tristram. – Co?

– odkrzyknął kąpiący się. Niemalże ekstaza ogarnęła Tristrama, kiedy zobaczył elektryczną maszynkę do golenia, przypiętą do kontaktu na ścianie. Włączył ją i zaczął sobie rznąć brodę całymi połciami, jak mięso. – Hej – zawołał kąpiący się, odzyskawszy wzrok – co się dzieje? Kto pana wpuścił? – Golę się – odpowiedział Tristram, zaszokowany widokiem swych wątych szczęk, wynurzających się w miarę spadania pokosów, przerażony wściekłym wyrazem nieufności we własnych oczach. – Już kończę. – Co za czasy, nigdzie poufności! – zrzędził kąpiący się. – Nawet w kąpieli człowiek nie może być sam. – Z irytacją pobełtał wodę i rzekł: – Mógłbyś pan przynajmniej zdjąć czapkę, kiedy wpadasz do łazienki, przeszkadzając komuś w kąpieli. – Jeszcze dwie sekundy i koniec – rzekł Tristram. Wąsy zostawił, żeby oszczędzić na czasie. – Mógłbyś pan chociaż uprzątnąć to świństwo z posadzki – burknął kąpielowicz. – Dlaczego mam wdepnąć boso w kudły innego faceta? – A potem: – Hej, co to znaczy? Kim pan w ogóle jesteś? Masz brodę, przynajmniej miałeś ją, a w tym więzieniu nie ma brodatych strażników. – Usiłował wydostać się z wanny, facet o ciele króliczka z czarnym futrem od mostka po genitalia. Tristram wepchnął go z powrotem, obficie namydlonego, i rzucił się do drzwi. Zobaczył, że tkwi w nich na szczęście klucz i przełożył go na zewnątrz. Kąpiący się, cały w pianie, znowu próbował wyleźć. Wygolony do czysta Tristram pożegnał go bezgłośnie rybem otwarciem ust i przekręcił klucz. – Hej – dobiegło go wołanie zmieszane z pluskiem. Na korytarzu spytał ze spokojem młodzieńca w białym fartuchu: – Jestem tu nowy i chyba zablądziłem. Jak mam się stąd wydostać? – Chłopak wyprowadził go z uśmiechem z ambulatorium i udzielił wskazówek. – Tamtędy zejdziesz na dół, kochanie – powiedział – potem skręcisz całkiem na lewo i prosto, nie sposób się zgubić, kochanie. – Bardzo ci dziękuję – rzekł Tristram, uśmiechając się czarną dziurą, zastępującą mu usta. Doprawdy wszyscy byli tu nadzwyczaj uczynni.

W rozległym, wysokim i mrocznym holu kilku strażników najwyraźniej kończyło zmianę i zdawało klucze oficerowi dyżurnemu, którego niebieski strój był świeży i elegancki, a on bardzo

chudy i chyba dwumetrowego wzrostu. – Dobra – mówił obojętnie, sprawdzając numery kluczy i robiąc znaczek na liście. – Dobra – wręczając klucze asystentowi, który wieszał je na tablicy. – Dobra – rzekł do Tristrama. W masywnych, lewych, stalowych drzwiach więzienia znajdowały się mniejsze, otwarte drzwiczki. Tędy wychodzili strażnicy. Takie to było proste. Tristram na moment przystanął na stopniach, wdychając wolność, patrząc w niebo, zdumiony jego wysokością. „Uwaga, uwaga, nie zdradź się!” ostrzegł swe trzęsące się serce. Odszedł powolnym krokiem, próbując gwizdać. Ale na to ciągle jeszcze miał zbyt sucho w ustach.

## 10

Pora siewu, jajka wciąż kapiące z kurnika, maciora Bessie znów niemalże rozbrykana, bliźnięta kwitną. Beatrice Joanna i jej siostra siedziały w bywalni, robiąc na drutach z namiastki wełny ciepłe kaftaniki dla dzieci. W podwójnej kołysce, którą zmajstrował Shonny, spali zgodnie Tristram i Derek Foxe. Mavis odezwała się:

– Bynajmniej nie sugeruję, żebyś odeszła w noc ze swoim podwójnym zawiniątkiem, tylko myślę, co dla ciebie będzie najlepsze. Wiadomo, że sama nie chciałaś tu pozostać na zawsze, nie mówiąc o braku miejsca. A poza tym wszyscy jesteśmy zagrożeni. Uważam, że powinnaś zdecydować się, co zamierzasz robić. Nie uważasz?

– O tak – zgodziła się w przygnębieniu Beatrice Joanna. – Rozumiem. Byliście bardzo dobrzy. Wszystko to widzę.

– Więc – zapytała Mavis – co zamierzasz?

– A co mogę zamierzać? – odrzekła Beatrice Joanna. – Napisałam trzy listy do Tristrama, na adres Urzędu Spraw Wewnętrznych, i wszystkie wróciły. Może umarł. Może go zastrzelono. – Kilka razy chlipnęła. – Nasze mieszkanie z pewnością już dawno zagarnął Wydział Kwaterunkowy. Nie mam dokąd iść i nie mam do kogo. To raczej niemiła sytuacja, prawda? – Wysiąkała nos. – Nie mam pieniędzy. Wszystko, co mam na świecie, to te bliźnięta. Możesz mnie wyrzucić, jak zechcesz, ale ja dosłownie nie mam gdzie pójść.

– Nikt nie mówi o wyrzuceniu cię – odparła jej ostro Mavis. – Jesteś moją siostrą, a to moi siostrzeńcy, więc jeżeli musisz tu zostać, no, to chyba nie ma o czym gadać.

– Może dostałabym jakąś pracę w Preston czy gdzie indziej – powiedziała raczej beznadziejnie Beatrice Joanna. – To by może troszkę pomogło.

– Nie ma żadnej pracy – odparła Mavis. – A pieniądze to najmniejszy kłopot. Mnie chodzi o niebezpieczeństwo. Co poczną Llewelyn i Dymphna i co się z nimi stanie, gdyby nas aresztowano? Bo zrobiliby to, wiesz dobrze, gdyby wykryto, że przechowujemy, jak się nazywa...

– Nazywa się to wieloródka. Jestem wieloródką. Więc nie podchodzisz do mnie jak do siostry. Dla ciebie jestem coś niebezpiecznego, wieloródka. – Z wargami zaciśniętymi w kreskę Mavis pochyliła się nad robótką. – Shonny – powiedziała Beatrice Joanna – nie widzi tego w ten sposób. Tylko ty widzisz we mnie kłopot i zagrożenie. Mavis podniosła oczy.

– Mówisz coś bardzo niemiłego i nie jak siostra. Zupełnie bez serca i samolubnie. Powinnaś sobie uświadomić, że już najwyższy czas okazać trochę rozsądku. Ponosiliśmy ryzyko, zanim dzieci się urodziły, wielkie ryzyko. Teraz masz do mnie pretensję, że własne dzieci są dla mnie ważniejsze niż twoje. No, a Shonny... on ma za dobre serce, żeby się nadawał do życia. Takie serce, że tylko powtarza jak kto głupi: „Bóg nas obroni.” Tego powoływania się na Boga, prawdę mówiąc, mam czasami powyżej uszu. Pewnego dnia Shonny wpakuje nas wszystkich w kłopoty. W niezły kanał wpuści nas któregoś dnia.

– Shonny jest całkiem roztropny i zdrow na umyśle.

– Może i zdrow, ale w wariackim świecie być zdrow na umyśle to feler. A roztropny na pewno nie jest. Wybij to sobie z głowy, że Shonny jest roztropny. Po prostu ma szczęście i tyle. Za dużo gada i to, czego nie powinien. Któregoś dnia – zapamiętaj moje słowa – szczęście opuści go i wtedy niechaj Bóg się nad nami zmiłuje.

– A więc – odezwała się po przerwie Beatrice Joanna – co chcesz, abym zrobiła?

– Musisz zrobić, co sama uważasz, że będzie dla ciebie najlepsze. Zostań u nas, jeżeli musisz. Zostań tyle czasu, ile uważasz za stosowne. Ale spróbuj czasem pomyśleć...

– O czym pomyśleć?

– No, że ktoś zajął się tobą i naraził się nawet na niebezpieczeństwo. Mówię ci to raz i więcej nie powiem. Na tym koniec. Po prostu chciałam, żebyś czasami o tym pomyślała.

– Myślę o tym – odrzekła Beatrice Joanna, teraz już spiętym głosem – i jestem ogromnie wdzięczna. Powtarzam to chyba trzy razy dziennie, odkąd tu jestem. Oczywiście z wyjątkiem dnia, kiedy rodziłam. Wtedy również bym powtórzyła, tylko że miałam co innego do roboty. Jeżeli chcesz, powtórzę teraz, żeby tamto nadrobić. Jestem wam bardzo wdzięczna, jestem wam bardzo wdzięczna, jestem wam bardzo wdzięczna.

– Nie musisz być zaraz taka – odparła Mavis. – Skończmy już z tym tematem, dobrze?

– Dobrze – Beatrice Joanna powstała. – Skończmy już z tym tematem. Oczywiście pamiętając, że tyś go poruszyła.

– Nie musisz tak się do mnie odzywać – rzekła Mavis.

– Och, do diabła – rzekła Beatrice Joanna. – Czas ich nakarmić. – Podniosła bliźniaków. Już za dużo tego, o wiele za dużo; żeby ten Shonny wreszcie przyszedł do domu od swoich zasiewów. Jedna kobieta w domu to aż nadto, rozumiała to, ale co ma zrobić? – Pójdę do mojego pokoju – rzekła do siostry – na resztę dnia. Jeżeli można to nazwać pokojem. – Po tych słowach zaraz ugryzłaby się w język. – Przepraszam – powiedziała. – Nie miałam tego na myśli.

– Rób co chcesz – odrzekła zjadliwie Mavis. – Idź, gdziekolwiek ci się podoba. Zawsze tak robiłaś, odkąd pamiętam.

– Och, do diabła – rzekła Beatrice Joanna i wypadła z pokoju ze swymi różowymi bliźniętami.

Później, leżąc w komórce, pomyślała: „Idiotka. Jak ja się zachowuję.” Musi pogodzić się z faktem, że to jedyne miejsce, gdzie może teraz żyć, jedyne miejsce, póki się nie okaże dokładnie, co właściwie dzieje się na świecie, gdzie jest Tristram – jeżeli na ziemi, a nie pod nią, w przeciwnym razie to obojętne – i jaką rolę ma odgrywać Derek. Bliźnięta się zbudziły, Derek (z literą D wyszytą na śliniaczku) bulgotał z bańką macierzyńskiego mleka na wargach, obaj kopali. Ach, te skarpeteczki z namiastki bawełny, moje śliczności. Wiele przyszło jej dla nich wycierpieć, cierpliwość zalicza się do jej obowiązków. Westchnąwszy, wyszła z komórki i powróciła do bywalni. – Przepraszam – powiedziała do Mavis, zastanawiając się, za co właściwie przeprasza.

– Już w porządku – odrzekła Mavis. Odłożyła robótkę i zajadła robiła sobie manikiur.

– Czy mam zająć się – spytała Beatrice Joanna – przyrządzaniem posiłku?

– Jak chcesz, to proszę. Ja nie jestem głodna.

– A co z Shonnym?

– Shonny wziął ze sobą jajka na twardo. Ugotuj sobie coś, jeżeli chcesz.

– Też nie jestem zbyt głodna.

– No to w porządku.

Beatrice Joanna usiadła, w roztargnieniu bujając pustą kołyskę. Czy ma wyjąć bliźnięta z ich kojca, przynieść je tutaj? Może lepiej zostawić biednych, małych intruzów tam, gdzie są. Odezwała

się bystro do Mavis: – Ostrzysz sobie pazury? – Zaraz ugryzłaby się w język itd.

Mavis podniosła wzrok. – Jeżeli – ucięła – przyszedł tylko po to, żeby mnie obrażać...

– Przepraszam cię, przepraszam, naprawdę. To był żart. Po prostu nie pomyślałam.

– Oczywiście, to dla ciebie typowe. Po prostu nie myślisz.

– Och, do diabła – odpowiedziała Beatrice Joanna. I natychmiast: – Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam.

– Co za sens ciągle powtarzać: przepraszam, skoro nie masz tego na myśli.

– Posłuchaj – odezwała się Beatrice Joanna z rozpaczą – czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Co mam zrobić?

– Już ci powiedziałam. Musisz zrobić dokładnie to, co uważasz, że będzie najlepsze dla ciebie i twoich *dzieci*. – Sposób, w jaki wymówiła to ostatnie słowo, pobrzmiwał całą gamą półtonów sugerujących, że jedyne prawdziwe dzieci w tym domostwie to dzieci Mavis i że dzieci Beatrice Joanny, jako nielegalne, są wątpliwe.

– Och – powiedziała Beatrice Joanna, łykając łzy – jestem taka nieszczęśliwa. – Pobiegnę z powrotem do swoich gulgotających bliźniąt, które wcale nie były nieszczęśliwe. Mavis, z zaciśniętymi ustami, nadal szlifowała swoje pazury.

## 11

Znacznie później tego samego dnia przyjechał swą czarną furgonetką kapitan Loosley z Policji Populacyjnej. – To tu – powiedział do kierowcy, młodego Oxenforda. – Państwowe Gospodarstwo Rolne NW313. Długa to była podróż.

– I obrzydliwa – rzekł sierżant Image, z mocno dźwiękową artykulacją syczących, zwykłą u takich jak on. Na zaoranych polach widywali przeróżne rzeczy, wręcz okropne. – Obrzydliwa – powtórzył. – Trzeba było naładować im dupska ołowiem.

– Nie wzięliśmy dosyć amunicji, sierżancie – rzekł Oxenford, młodzieniec traktujący rzeczy dosłownie.

– Poza tym to nie nasza robota – rzekł kapitan Loosley. – Obraza moralności publicznej to sprawa zwykłej policji.

– Tych, którzy nie zostali jeszcze zjedzeni – wtrącił sierżant Image. – Dalej, Oxenford – zniecierpliwiał się. – Wsiadaj i otwórz bramę.

– To nie fer. Ja prowadzę, sierżancie.

– A, niech ci będzie. – Sierżant Image wywlóknął swe długie, węzowe ciało i otworzył. – Dzieci – oznajmił. – Dzieci bawiące się. Ładne dzieci. W porządku – rzekł do Oxenforda – podjedź do gospodarstwa. Ja pójdę. Dzieci uciekły.

W domu zadyszany Llewelyn krzyknął: – Tato, przyjechali faceci w czarnej furgonetce. Chyba policjanci.

– W czarnej, powiadasz? – Shonny wstał i wyrzwał przez okno. – Tak – potwierdził. – Wyglądaliśmy ich od dawna, Boże im wybaczyć, a ich nie było. A teraz, kiedy leżymy uśpieni, oni człapią tu w swoich buciorach. Gdzie twoja siostra? – zwrócił się ostro do Mavis. – W komórce? – Mavis kiwnęła głową. – Powiedz jej, niech się zamknie na klucz i siedzi cicho. Mavis kiwnęła głową, ale jeszcze zawahała się. – No ruszaj – przynaglił Shonny. – Za chwilę tu będą.

– My jesteśmy ważniejsi – rzekła Mavis. – Pamiętaj o tym. Ty, ja i dzieci.

– Dobra, dobra, już idź. – Mavis poszła do komórki. Furgonetka podjechała i kapitan Loosley wysiadł, przeciągnął się. Młody Oxenford dodał gazu, po czym wyłączył silnik. Sierżant Image

podszedł do szefa. Młody Oxenford zdjął czapkę, ukazując czerwoną krechę na czole jak piętno Kainowe, przetarł je sobie pstrą chustką i znowu nałożył czapkę. Shonny otworzył drzwi. Wszystko było gotowe.

– Dobry wieczór – rzekł kapitan Loosley. – To jest Państwowe Gospodarstwo Rolne NW313, a pan jest – obawiam się, że nie umiem wymówić nazwiska – pan rozumie. Czy to są pańskie dzieci? Urocze, urocze. Możemy wejść?

– Nie do mnie należy mówić tak lub nie – odpowiedział Shonny. – Przypuszczam, że musi pan mieć nakaz.

– Och, tak – odparł kapitan Loosley – mamy nakaz, pan rozumie.

– Dlaczego on tak mówi, tato? – spytał Llewelyn. – Dlaczego mówi: pan rozumie?

– To z nerwów, Boże zmiłuj się nad nim – wyjaśnił Shonny. – Niektórzy ludzie mają tiki, a inni mówią: pan rozumie. Wobec tego proszę wejść, panie...

– Kapitanie – rzeki sierżant Image. – Kapitan Loosley. – Wszyscy weszli, nie zdejmując czapek.

– A więc – zapytał Shonny – czego panowie szukają?

– To ciekawe – rzekł sierżant Image, pohańcawszy nogą prymitywną kołyskę. Zarecytował wierszyk: – Złamie się gałąź i kołyska spadnie. Zwali się dziecko...

– Tak jest – przerwał mu kapitan Loosley. – Mamy powody sądzić, pan rozumie, że pani Foxe spędziła tu cały okres swej nielegalnej ciąży. Chodzi właśnie o *dziecko*. – Do pokoju weszła Mavis. – To nie jest pani Foxe – stwierdził kapitan Loosley z odcieniem irytacji, jakby usiłowano mu wcisnąć kit. – Podobna do pani Foxe, ale nie jest to pani Foxe. – Skłonił się jej z ironią, jak gdyby gratulował niezgorszej próby nabrania go. – Mnie potrzebna jest pani Foxe.

– Ta kołyska – rzekł Shonny – była dla prosiąt. Najmniejsze z miotu wymaga zwykle szczególnej opieki.

– Czy mam powiedzieć młodemu Oxenfordowi – zapytał sierżant Image – żeby go trochę pobić?

– Niech spróbuje – rzekł Shonny. Twarz zalała mu nagła czerwień, jakby ściemniono światła. – Nikt mnie nie pobije. Zmuszony jestem prosić panów, abyście stąd wyszli.

– Nie może pan – stwierdził kapitan Loosley. – Wykonujemy swe obowiązki służbowe, pan rozumie. Chcemy zobaczyć panią Foxe i jej nielegalne potomstwo.

– Nielegalne potomstwo – powtórzył jak papuga Llewelyn, zachwycony tym zwrotem. – Nielegalne potomstwo.

– A jeżeli oświadczę panu, że pani Foxe tutaj nie ma – rzekł Shonny. – Odwiedziła nas tuż przed Bożym Narodzeniem, po czym wyjechała. A dokąd, nie mam pojęcia.

– Co to jest Boże Narodzenie? – zapytał sierżant Image.

– Nieważne – uciął kapitan Loosley. – Jeżeli pani Foxe tutaj nie ma, to zakładam, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abyśmy się o tym sami przekonali. Mam tutaj – pogmerał w bocznej kieszeni kurtki – coś w rodzaju nakazu na wszelkie okoliczności. Obejmuje on przeszukanie, pan rozumie, i wszystko inne.

– Aż do pobicia włącznie – rzekła Mavis.

– Dokładnie.

– Wyoście się – powiedział Shonny. – Nie będą mi państwowi najemnicy przetrząsać domu.

– Pan też jest państwowym najemnikiem – stwierdził bez emocji kapitan Loosley. – Wszyscy jesteśmy w służbie Państwa. Niechże pan będzie rozsądny, pan rozumie. Nie chcemy żadnej brutalności. – Uśmiechnął się blado. – Wszyscy musimy, koniec końców, spełnić swój obowiązek.

– Pan rozumie – dodała Dymphna i zachichotała.

– Chodź tutaj, malutka – zagadnął ją przypochlebnie sierżant Image. – Jesteś grzeczną



dziewczynką, prawda? – Przykucnął, huśtając się na palcach stóp, i zaczął jakieś tui-tiutiu, pstrykając palcami.

– Nie ruszaj się stąd – rozkazała Mavis, przyciągając do siebie oboje dzieci.

– Aaargh. – Sierżant Image krótko zacharczał na Mavis, a potem wstał i przybrał maskę idiotycznej słodyczy. – W tym domu jest jakieś malutkie dzieciątko, prawda? – przemówił uwodzicielsko do dziewczynki. – Takie maluśkie słodkie niemowlątko, prawda, że jest? – Dymphna zachichotała. Llewelyn powiedział stanowczo:

– Nie ma.

– I taka jest prawda – potwierdził Shonny. – Chłopak powiedział szczerą prawdę. Może teraz pójdziecie stąd i przestaniecie marnować swój czas i mój również? Jestem bardzo zajęty.

– Nie zamierzam – westchnął kapitan Loosley – wnosić oskarżenia przeciwko panu albo pańskiej żonie. Proszę mi wydać panią Foxe i jej potomstwo, a nigdy więcej o tym nie usłyszycie. Daję wam na to słowo.

– Czy muszę was stąd wyrzucić? – krzyknął Shonny. – Bo na Chrystusa Pana, gotów jestem to zrobić.

– Przyłóż mu trochę, Oxenford – powiedział sierżant Image. – Wszystko to nie ma sensu.

– Przystępujemy do przeszukania – oznajmił kapitan Loosley. – Przykro mi, że odmawiacie współpracy, pan rozumie.

– Idźcie na górę, Mavis – rozkazał Shonny – ty i dzieci. Pozostawcie to wszystko mnie. – Usiłował wypchnąć żonę z pokoju.

– Dzieci zostaną – oświadczył sierżant Image. – Postaramy się, żeby dzieci co nieco wyśpiewały. Uwielbiam robić tak, żeby dzieci zaczęły śpiewać.

– Ty bezbożny, podły skurwysynie – zawołał Shonny. Rzucił się na sierżanta, lecz młody Oxenford był szybszy i wskoczył pomiędzy nich. Młody Oxenford lekko uderzył Shonny'ego w słabiznę. Shonny wrzasnął z bólu i zaczął wściekle młócić.

– Już dobrze – rozległ się głos w przejściu do kuchni. – Nie chcę sprawiać więcej kłopotów. – Shonny opuścił pięści.

– *To jest* pani Foxe – rzekł kapitan Loosley. – *To jest* autentyk. – Nie krył swej powściągliwej satysfakcji.

Beatrice Joanna była ubrana do wyjścia.

– Co zrobicie z moimi dziećmi? – spytała.

– Po co to zrobiłaś? – jęknął Shonny. – Trzeba było zostać tam, gdzie jesteś. Ja bym sobie ze wszystkim poradził i byłoby dobrze, niechaj Bóg ci przebaczy.

– Zapewniam panią – oznajmił kapitan Loosley – że nic złego się nie stanie pani ani też dzieciom. – Nagle wzdrygnął się z zaskoczenia: – Dzieciom? Jak to dzieciom? Aha, rozumiem. Jest ich więcej niż jedno. Nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Ale tym lepiej, oczywiście, pan rozumie, tym lepiej.

– Może mnie pan ukarać, jak tylko zechce – oświadczyła Beatrice Joanna – ale dzieci nie zrobiły nic złego.

– Oczywiście, że nie! – stwierdził kapitan Loosley. – Absolutnie nic złego. Zamierzamy wyciągnąć konsekwencje tylko w stosunku do ich ojca. Mam zamiar skonfrontować Komisarza Metropolii z owocami jego przestępstwa. I nic poza tym, pan rozumie.

– Co to znaczy? – zawołał Shonny. – Co się dzieje?

– To długa historia – oświadczyła Beatrice Joanna. – Za późno ją teraz opowiadać. No cóż – przemówiła do siostry – na to wygląda, że o przyszłość już się zatroszczono. Zdaje się, że już mam

dokąd iść.

# CZEŚĆ CZWARTA

## 1

Tristram gotów był przystąpić do swej wyprawy. Ciągnęło go, jak igłę kompasu, do żony przebywającej gdzieś na północy, a perspektywa skruchy i pogodzenia się majaczyła mu jak kąpiel po straszliwej mordędzie. Pragnął pociechy, jej uścisku, jej ciepłego ciała, wspólnie przelanych łez, odpoczynku. Już nie zależało mu na zemście.

W metropolii panował chaos, który to chaos z początku wydawał się projekcją jego własnej, świeżej wolności.

Chaos rozszalał się jak ogromna, roześmiana i wrzeszcząca bachantka, i kazał mu już w niedużej odległości od Pentonville przyłożyć pałką całkiem nieszkodliwemu facetowi, aby mu zrabować ubranie. Stało się to w alejce, po zmroku, na zapleczu publicznych ognisk i rusztów trzaskających od ludzkiego tłuszczu. Elektryczność, jak inne publiczne instytucje, chyba wysiadła. Była to istna noc w dżungli, potłuczone szkło chrzęściło pod stopą jak poszycie. Tristram zastanawiał się nad utrzymaniem cywilizowanego porządku w tym więzieniu, z którego się wydostał: jak długo jeszcze może potrwać? Tak się zastanawiając, ujrzał mężczyznę opartego w wylocie alejki, jak sobie przyśpiewywał, czymś upity. Tristram zamachnął się pałką i facet z miejsca runął, tak usłużnie, jak gdyby tylko na to czekał, a ubranie – zaokrąglona pod szyją koszula, rozpinany sweter, kraciasty garnitur – dały się zdjąć bez wysiłku. Tristan błyskawicznie przeobraził się w wolnego cywila, postanowił jednak zachować swą pałkę więzienną. Wystrojony jak na kolację, ruszył na poszukiwanie jedzenia.

Odgłosy jak w dżungli, czarny las wieżowców, oszłamiająco wysokie gwiazdziste niebo, rumiane ogniska. Na Claremont Square trafił na jedzących. Siedzieli, około trzydziestu mężczyzn i kobiet, bez różnicy, wokół różna. Metalowe grille z przerobionych z grubsza na siatkę drutów telegraficznych spoczywały na podkładkach z cegieł; pod nimi rozżarzone węgle. Mężczyzna w białej czapce nadziewał i obracał skwierczące steki. – Nie ma miejsc, nie ma miejsc – zaciągnął jakiś chudy, belferski typ, kiedy Tristram nieśmiało zbliżył się do nich. – To jest zamknięty klub, a nie restauracja publiczna.

– Może da się go tym otworzyć – odparł Tristram, wymachując pałką. Wszystkich rozbawiła ta wątła pogróżka. – Dopiero co wyszedłem z więzienia – uzalił się Tristram. – Umierałem tam z głodu.

– Poczęstuj się – odpowiedział belfer. – Chociaż na początek nie wiem, czy twój żołądek to zniesie, może się okazać za tłuste. W obecnych czasach – rzekł sentencjonalnie – moralni są tylko kryminaliści. – Sięgnął do najbliższego grilla i podniósł obcęgiem długi, gorący, metalowy szpikulec z nabitymi kawałkami mięsa. – To kebab – wyjaśnił. Po czym, przyjrząwszy się z ukosa Tristramowi w blasku ogniska: – Nie masz zębów. Będiesz musiał gdzieś postarać się o użębienie. Zaczekaj. Mamy trochę bardzo pożywnego rosołu. – I gościnnie zakrzętała się w poszukiwaniu miseczki, łyżki. – Spróbuj tego – zaproponował, czerpiąc z metalowego garnka – i życzę smacznego. – Tristram odszedł z tym podarkiem, jak zwierzę, do kąta na uboczu od pozostałych. Wciągnął, siorbiąc, parującą zawartość łyżki. Tłusty, tłusty, oleisty płyn, w którym unosiły się kawałeczki czegoś dymiącego i gumowato podatnego. Mięso. Czytał o mięsie. W literaturze starożytnej wciąż mówiło się o pożeraniu mięsa: Homer, Dickens, J.B. Priestley, Rabelais, A.J. Cronin. Przełknął zawartość łyżki, zemdlilo go, zwrócił. – Powoli, powoli – belferski typ odezwał się życzliwie, podchodząc. – Niedługo w tym zasmakujesz. Nie myśl, co to jest, wyobraź sobie, że to mięsz owoców z drzewa życia. Wszelkie życie to jedność. Za co cię wsadzili do więzienia?

– Chyba za to – Tristram wciąż jeszcze zwracał – że byłem – z wolna przychodził do siebie – przeciwnikiem rządu.

– Jakiego rządu? Teraz chyba nie mamy rządu.

– A więc – rzekł Tristram – Gusfaza jeszcze się nie zaczęła.

– Zdaje się, że z ciebie jakiś uczonec. W więzieniu miałeś pewnie dużo czasu na rozmyślanie. A co sądzisz o obecnych czasach?

– Nie można myśleć, jak się nie ma danych – rzekł Tristram. Znowu popróbowował rosółu; tym razem poszło już znacznie lepiej. – A więc to jest mięso – powiedział.

– Człowiek jest mięsożercą i rozplodowcem. Między jednym a drugim zachodzi pokrewieństwo. Jedno i drugie bardzo długo tępią. Spróbuj zestawić jedno z drugim i zobaczysz, że nie ma racjonalnego powodu, ażeby je potępiać. A co do informacji, to nie mamy informacji, bo nie ma służb informacyjnych. Można jednak zakładać, że rząd Starlinga upadł i że jego prezydium to kupa warczących psów. Nie wątpię, że wkrótce powstanie jakiś rząd. A na razie łączymy się w małe kluby konsumpcyjne w celu samoobrony. Ostrzegam cię, bo dopiero co wyszedłeś z więzienia i nie orientujesz się w tym nowym świecie, żebyś nie wychodził w pojedynkę. Jeżeli chcesz, to wprowadzę cię do naszego klubu.

– To bardzo uprzejmie – rzekł Tristram – ale muszę odnaleźć żonę. Ona jest w Prowincji Północnej, w pobliżu Preston.

– Będziesz miał z tym pewne trudności – stwierdził życzliwy rozmówca. – Pociągi oczywiście już nie kursują, a transportu drogowego jest niewiele. To bardzo długi marsz. Musisz zabrać ze sobą żywność. Bądź uzbrojony. Nie sypiaj na dworze. Niepokoi mnie – znów spojrzał z ukosa na wpadnięte szczęki Tristrama – że nie masz zębów.

Tristram wyjął z kieszeni dwukrotnie przekładane połówki protezy. Obracał je posępnie w rękach. – Brutalny strażnik więzienny – wyjaśnił nie całkiem sprawiedliwie.

– Zdaje mi się – powiedział jego rozmówca – że mamy wśród naszych członków technika dentystycznego. – Odszedł do grupy jedzących, a Tristram dojadł rosół. Niewątpliwie było to krzepiące. W myśli wynurzyło mu się wspomnienie starego poematu pelagiańskiego, a właściwie przypisów, które poczynił sam autor. *Królowa Mab*. Shelley. „Anatomia porównawcza poucza nas, że człowiek jest we wszystkim podobny do zwierząt owocożernych, a w niczym do mięsożernych; nie ma szponów, którymi mógłby chwycić swój łup, ani wydatnych i zaostzonych zębów do rozrywania żywych tkanek.” I dalej: „Człowiek nie przypomina żadnego z mięsożerców. Nie ma wyjątku, chyba że jedynym jest człowiek, od reguły, że trawożerne zwierzęta mają rozczłonkowane jelito grube.” Może jednak wszystko to zupełne brednie?

– Twoje zęby dadzą się naprawić – oznajmił życzliwy belfer, kiedy powrócił – a do zabrania w podróż możemy ci dać torbę zimnego mięsa. Ale na twoim miejscu nie wyruszałbym przed świtem. Z przyjemnością użyję ci noclegu.

– Jesteście naprawdę dobrzy – rzekł Tristram, naprawdę wzruszony. – Szczerze mówiąc, nigdy jeszcze nie spotkałem się z taką dobrocią. – W oczach zakręciły mu się łzy; dzień był wyczerpujący.

– Daj spokój. Kiedy państwo więdnie, człowieczeństwo rozkwita. Przyszły takie czasy, że nie brakuje dobrych ludzi. Mimo wszystko nie rozstawaj się ze swoją bronią.

Tę noc Tristram przespał już z zębami w ustach. Leżąc na podłodze w mieszkaniu sympatycznego belfra, kłapał raz po raz na ciemność, jakby to było ulotne mięso. Gospodarz, który przedstawił się jako Sinclair, poświecił im do zaśnięcia knotem pływającym w tłuszczu; wydzielało to rozkoszny zapach. Przytulny płomyk ukazywał nieporządną sypialnię, pełną książek. Sinclair jednak zastrzegł się, że wcale nie jest „pożeraczem książek”. Nim zabrakło elektryczności, był

kompozytorem muzyki elektronicznej, specjalizującym się w muzyce atmosferycznej do telewizyjnych filmów dokumentalnych. A także, dopóki była elektryczność i windy nie przestały kursować, mieszkał o dobre trzydzieści pięter wyżej; wynikało z tego, że obecnie słabi się wznoszą, a silni opuszczają. Jego nowe mieszkanie należało przedtem do prawdziwego mola książkowego, profesora sinologii, którego mięso (mimo podeszłego wieku) okazało się całkiem soczyste. Sinclair spał niewinnie jak dziecko na swym łóżku wysuwającym ze ściany, cicho pochrapując i tylko czasami mówiąc przez sen. Większość jego wypowiedzi brzmiała sentencjonalnie, a niektóre całkiem bez sensu.

Tristram nasłuchiwał:

- Kocie szlaki przewyższa tylko jego nadważkość.
- Kocham kartofle. Kocham wieprzowinę. Kocham ludzi.
- Nasza odpowiedź to eucharystyczne pożywanie.

Niejasny termin „eucharystyczne pożywanie” stał się jakby sygnałem do zaśnięcia. Jakby rzeczywiście taka była odpowiedź, zadowolony i pocieszony Tristram pogрузił się w nieświadomości. Wypadł z czasu i znów do niego powrócił, widząc jak Sinclair nuci, ubierając się, i zerka na niego życzliwie. Wyglądało to na piękny poranek wiosenny. – No – odezwał się Sinclair – musimy cię wyprawić w drogę, nieprawdaż? Ale przede wszystkim dobre śniadanko. – Sinclair szybko się umył (wodociągi chyba ciągle jeszcze funkcjonowały) i ogolił staromodną brzytwą. – Stara ale jara – rzekł z uśmiechem, pożyczając ją Tristramowi. – Najarała się grdyk, ile wlezie. – Tristram nie widział powodu, by o tym wątpić. Ognie pod rusztami chyba nigdy nie gasły. Świątynne, pomyślał Tristram, olimpijskie! Uśmiechnął się skromnie do członków klubu, których czwórka strzegła i dokładała do ognisk przez całą noc. – Szynki? – zapytał Sinclair, nakładając Tristramowi czubato na dźwięczny, blaszany talerz. Wszyscy jedli z ochotą, wesoło żartując, i popijali szklankami wody. Po czym ci sympatyczni ludzie napełnili mięsiwem na zimno torbę, z jaką zwykł chodzić listonosz, obładowali nią gościa i najlepszymi życzeniami wyprawili go w drogę.

– Nigdy jeszcze – oświadczył Tristram – nie spotkałem się z taką szczodrością.

– Ruszaj z Bogiem – pożegnał go Sinclair, najedzony i pełen powagi. – Obyś zastał ją w dobrym zdrowiu. Obyś ją spotkał szczęśliwą. – Zmarszczył czoło i poprawił się: – To znaczy, oczywiście, szczęśliwą, że cię znowu ogląda.

## 2

Tristram doszedł aż do Finchley. Wiedział, że nie miałoby sensu iść szosą, póki nie zostawi daleko za sobą, powiedzmy, Nuneaton. Była to długa, mozolna wędrówka przez miasto, pośród mieszkalnych wieżowców i fabryk z powybijanymi oknami. Mijał ożywione lub senne kluby jedzących, trupy, szkielety, ale jego nikt nie zaczepiał. Niekończące się miasto przepełniały wonie piekącego się mięsa i zatkaanej kanalizacji. Parokrotnie, ku swemu zakłopotaniu, był świadkiem publicznej i bezwstydnego kopulacji. Kocham kartofle. Kocham wieprzowinę. Kocham kobiety. Nie, nie, to nie tak. Ale jakoś podobnie. Policji nie dostrzegł; jakby została w całości wchłonięta albo strawiona przez ogół. Na rogu ulicy w pobliżu Tufnell Park odprawiano mszę przy niedużym, ale pobożnym zgromadzeniu wiernych. Wielebny Ambrose Bayley dokładnie wyłożył Tristramowi wszystko, co dotyczyło mszy, więc zdziwił go widok kapłana – siwego lecz chłopięcego fircyka w komży, na której prymitywnie wymalowano krzyż oraz IHS – rozdającego coś jakby zraziki z mięsa. – *Hoc est enim corpus. Hic est enim calix sanguinis.* – Widocznie jakiś nowy sobór gdzieś tam, wobec braku ortodoksyjnych utensyliów, usankcjonował ten rodzaj improwizacji.

Był piękny dzień wiosenny.

Tuż za Finchley Tristram usiadł, żeby odpocząć, w wejściu do sklepu, w bezpiecznym zaułku, i wyciągnął z torby coś do przekazania. Stopy miał obolałe. Jadł ostrożnie i nie śpiesząc się, bo jego żołądek – jak wynikało z ataku niestrawności po śniadaniu – musiał się jeszcze wiele nauczyć, a po jedzeniu rozejrzał się za wodą. Królowa Mab podszeptnęła mu, że pragnienie jest nieodłączne od diety mięsnej, doskwierające pragnienie. W mieszkaniu na tyłach splądrowanego sklepu znalazł czynny kran i podstawivszy pod niego usta pił, jakby nie mógł przestać. Woda miała smak trochę stęchły, trochę zgniły, aż pomyślał: „Oto w czym kryją się kłopoty na przyszłość.” Jeszcze trochę odpoczął, siedząc w wejściu do sklepu, ściskając pałkę, przyglądając się przechodniom. Wszyscy oni trzymali się środka ulicy: ciekawy rys końcowego stadium Interfazy. Siedział tak, od niechcenia szperając we własnych myślach i uczuciach, jakie wydawało mu się, że powinien żywić. Zdziwiło go, jak osłabło pragnienie, żeby rozkwasić mordę bratu. Może wszystko to były perfidne kłamstwa tego ambitnego i urażonego kapitana? Trzeba dowodu, trzeba stanowczego i niezbitego świadectwa. Mięso mu burczało w żołądku; odbiło mu się czymś, co zabrzmiało jakby zwrot: *żądza ojcostwa*.

Czy dziecko, jeśli rzeczywiście ma być dziecko, już przyszło na świat? Stracił rachubę czasu. Czuł, że Beatrice Joanna, w całym tym chaosie, jest chyba mniej zagrożona niż dotąd. Z pewnością przebywa gdzieś na północy – jeżeli facet mówił prawdę – gdyż poza tym nie miałyby dokąd pójść. Nie wątpił, że i on robi jedyne, co mu pozostało. On też nie miał gdzie pójść. Ale jakże gardził swym szwagrem: co za rubaszny samochwał, ciągle z tymi pobożnymi okrzykami na ustach, w sam raz do zabawy w przeciąganie liny. Tym razem odpłaci mu zawiązką, także Bożym imieniem; już nikomu nie da sobą pomiatać.

Trzymając się chodnika, wczesnym popołudniem doszedł do Barnet. Wahając się, czy ruszyć na Hatfield, czy na St Albans, niespodziewanie ujrzał furgonetkę, z pyrkotaniem jadącą z wolna na północ, jak i on. Pomalowana była skąpo na kolor jakby ziemisty, a spod tego prześwitywało widmo jej pochodzenia: *Ministerstwo Bezplodności*. Wahający się pomiędzy drogami Tristram zawahał się też, czy prosić o podwiezienie. Wyręczył go w podjęciu decyzji nerw w obolałej lewej stopie, który bez udziału mózgu odruchowo kazał mu podnieść kciuk.

– Jadę tylko do Aylesbury – rzekł kierowca. – Może tam złapiesz coś innego. Jeśli w ogóle dojedziemy do Aylesbury. – Samochód zadygotał potwierdzająco. – Wybrałeś się w daleką drogę – z ciekawością popatrzył na Tristrama. – Ludzie teraz niewiele podróżują. – Tristram wyjaśnił. Kierowca był szczupłym mężczyzną w dziwnym mundurze: kurtka szaraka i cywilne spodnie ufarbowane na kolor ziemisty, taki jak furgonetka, też ziemista czapka z daszkiem na kolanach, białe pasy biegnące pod naramiennikami. Kiedy Tristram wspomniał o swej ucieczce z więzienia, parsknął śmiechem. – Gdybyś poczekał do dzisiejszego ranka – oznajmił – sami by cię uprzejmie poprosili o wyniesienie się. Pootwierali bramy najwyraźniej dlatego, że skończyły się zapasy żywności. Przynajmniej tak mi powiedziano w więzieniu na Ealing.

Tristram też krótko się zaśmiał. Charlie Linklater niepotrzebnie się tyle natrudził. – Sam rozumiesz – powiedział – że nie jestem na czasie. Po prostu nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Aha – rzekł kierowca. – No, wiele ci też nie powiem. Żaden centralny rząd chyba nie istnieje, ale staramy się zorganizować lokalnie coś w rodzaju prawa i porządku. Można by to nazwać prawem stanu wojennego. W mojej osobie widzisz wskrzeszone wojsko. Jestem żołnierzem. – Jeszcze raz parsknął śmiechem.

– Armie – powiedział Tristram. – Pułki. Bataliony. Plutony. – Czytał o czymś takim.

– Trzeba z tym wszystkim coś zrobić – rzekł mężczyzna. – Ogólne ludożerstwo i popsuta kanalizacja. Musimy się zatroszczyć o swoje żony i dzieci. W każdym razie w Aylesbury już trochę wzięliśmy się za to. Ludzie nawet już trochę pracują.

– A co jecie? – zapytał Tristram.

Żołnierz się donośnie roześmiał. – Oficjalnie nazywa się to: konserwy wieprzowe – odrzekł. – Coś musimy jeść. Nic się nie powinno marnować. Bo widzisz, dużo się strzelało w imię prawa i porządku – rzekł poważnie. – Mięso i woda. Może to jadłospis trochę za bardzo tygrysi, ale jak zapuszkowane, to ma pozór cywilizacji. No i mamy nadzieję, rozumiesz, mamy nadzieję, że znowu coś zacznie rosnać. I żebyś wiedział, że pod koniec ubiegłego tygodnia rzeczywiście łapałem ryby.

– I dużo złapałeś?

– Parę kleni – odpowiedział żołnierz. – Drobnych kleników.

– A jeżeli wolno zapytać – rzekł Tristram – dokąd jeździłeś?

– Dzisiaj? Och, dano nam znać, że gdzieś po drodze z Ealing do Finchley jest policyjny skład amunicji. Ale jakieś świny już się do niego dobrały. Jeden z tych gangów. Załatwili mojego kaprała. Nie był z niego za dobry kapral, ale szkoda, że go stuknęli. Pewnie go teraz pożerają, cholerni ludożercy. – Mówił to całkiem spokojnie.

– Coś mi na to wygląda – rzekł Tristram – że wszyscy jesteście ludożercami.

– No tak, ale do cholery, my w Aylesbury jesteśmy przynajmniej cywilizowanymi ludożercami. To wielka różnica, jeżeli bierze się z puszki.

### 3

Na zachód od Hinckley Tristram zobaczył pierwsze zaorane pola. Na ogół nieźle mu się wiodło: nocleg w koszarach w cywilizowanym Aylesbury; spacer drogą na Bicester przy pięknej pogodzie i osiem kilometrów za Aylesbury podwiezienie wojskową ciężarówką aż do Blackthorn; obiad w zbrojnym ale przyjaznym Bicester, gdzie nawet się ogolił i ostrzygł; marsz po torach kolei do Ardley i tam niespodzianka: starodawny pociąg parowy, napędzany drewnem, aż do Banbury. Tristram miał przy sobie zaledwie kilka siódmaków, szóstaków i półkoronówek, znalezionych w kieszeniach faceta, którego rozłożył pałką, lecz amatorzy, stanowiący załogę tego pociągu o trzech wagonach, byli archeologami i niezbyt przejmowali się opłatami za przejazd. Tristram przespał noc w zasnutej pajęczynami piwnicy na Warwick Road i przed południem następnego dnia dotarł do Warwick, podrzucony tam na ciężarówce brzęczącej od broni krótkiej. W Warwick, pod posępną władzą prawa wojennego, powiedziano mu, żeby uważał na Kenilworth, bo w mieście tym najwyraźniej rządy objęli swego rodzaju fanatycy Piątego Królestwa, głoszący rygorystyczną doktrynę egzofagii; zapewniono go, że Coventry jest dla obcego względnie bezpieczne. Wobec tego Tristram ruszył boczną drogą przez Leamington, co ułatwiło mu podwiezienie na tylnym siodełku motocykla przez wesołego gońca wojskowego. Coventry wyglądało niemalże jak normalne miasto poza tym, że miało posmak garnizonu: wspólne stołówki, sprawdzanie list obecności przed fabrykami, godzina policyjna od zmroku. Tristrama wypytywano zawzięcie o nowiny z granicy miasta, ale oczywiście ich nie znał. Mimo to przyjęto go życzliwie i udostępniono mu Stołówkę Sierżantów Służby Saperskiej. Kiedy wyruszał o świcie, wepchnięto mu do kieszeni kilka puszek mięsa i po raz pierwszy od lat naprawdę zachciało mu się śpiewać, kiedy tak maszerował przy tej cudownej pogodzie do Nuneaton. Miał już niedaleko do północnej granicy Wielkiego Londynu; zdawało mu się, że czuje wiejskie powietrze. W Bedworth zabrał go samochód sztabowy (pułkownik w typie Falstaffa z adiutantem, czerwoni na twarzy od spirytu) i podrzucił przez Nuneaton do szosy na Shrewsbury. Tutaj była wreszcie prawdziwa wieś: płaszczyna zaoranych pól, z rzadka dom w polu widzenia, niebo już nie prowokowane przez dumne monolity. Położył się za jakąś bramą i uciał sobie drzemkę w zapachu ziemi. Chwała Bogu Wszchemogącemu.

Gdy się obudził, wydawało mu się, że śni.

Chyba słyszał grający z przydechem flet i głosy, wyśpiewujące z jeszcze większym przydechem. Słowa pieśni jakby zmierzały do treści tak bezpośrednich i ostatecznych, jak gdyby wysłuchiwał znów o „pożywaniu eucharystycznym”. Brzmiało to w przybliżeniu:

*Jabłko i orzech gotowe na stół,  
Spódnice w górę i spodnie w dół.*

Prościutka melodia obracała się w kółko i w kółko, niekończące się *da capo*. I zobaczył, zobaczył, zobaczył w brzdach mężczyzn i kobiety – tu jedna para, tam druga – z rytualną powagą robiących tu i ówdzie, tam i jeszcze gdzie indziej, zwierza o dwóch grzbietach. Spódnice zadarte w górę, spodnie spuszczone w dół w słońcu wiosennym, w zasianych brzdach, dojrzałe jabłka i brązowe orzechy, wiejskie kopulacje. „Sześciu chłopca, pięciu chłopca, czterech chłopca, trzech chłopca, dwu chłopca, jeden chłop i jego ten tego, i ich...” Dlaczego w piosence było: *piesi* Zasiewających łąkę, nie koszących. Ale przyjdzie czas, że będą kosić, niewątpliwie będą żąć i kosić. Całe życie to jedność. Ta zbożowa zaraza wynikała stąd, że człowiek odmówił rozmnażania się.

#### 4

Przywódca wołał z irytacją: – No już, na co czekacie? – Wyglądał jak wodzirej z tanecznej pantomimy o Robin Hoodzie, żyłasty i apodyktyczny, z czerwonym nosem i zasinionymi policzkami. – Proszę wszystkich o uwagę – rzekł z pretensją. – Wylosowano następujących partnerów. – Czytał z listy: – Pan Lipset z panną Kemeny. Pan Minrath z panią Graham. Pan Evans z panią Evans. Pan Hilliard z panną Ethel Duffus. – Wyczytywał dalej. Tristam, mrużąc się w ciepłym słońcu, siedział przed gospodą w Atherstone, życzliwie przypatrując się, jak mężczyźni łączą się w pary z kobietami. – Pan Finlay z panną Rachel Duffus. Pan Mayo z panną Lowrie. – Jak na tańcach wiejskich, wywołani stawali w szeregu, twarzą do siebie, chichocząc, rumieniąc się, zuchwali, zawstydzeni, chętni, gotowi. – Doskonale – powiedział przywódca, już zmęczony. – Teraz proszę na pola. – I poszli, ręka w rękę. Przywódca spojrzał na Tristama i z rezygnacją potrząsając głową podszedł, usiadł obok niego na ławie. – W dziwnych czasach żyjemy – powiedział. – Pan tylko tędy przechodził?

– Zmierzam do Preston – rzekł Tristam. – Po co, jeśli wolno zapytać, wszystko to się organizuje?

– Och, jak zwykle – odrzekł przywódca. – Łapczywość, samolubstwo. Niektórzy zgarniają wszystkie śliwki. Na przykład ten Hilliard. A nieszczęsna Belinda Lowrie zawsze zostaje na lodzie. Zastanawiam się, czy z tego naprawdę jest jakiś pożytek – zadumał się posepnie. – Czy to rzeczywiście coś więcej, czy tylko spełnianie zachcianek.

– To afirmacja – zauważył Tristam. – Sposób na pokazanie, że rozum jest tylko jednym z narzędzi kierujących naszym życiem. Powrót do magii, ot co. Mnie się to wydaje bardzo zdrowe.

– Przewiduję zagrożenia – rzekł przywódca. – Zazdrość, bójki, zachłanność, rozpadające się małżeństwa. – Był wyraźnie zdecydowany nie odstępować od swego czarnowidztwa.

– Wszystko to się ułoży – pocieszał go Tristam. – Zobacz pan. Kwintesencja całych wieków wolnej miłości, a potem przywróci się wartości chrześcijańskie. Nie ma powodu do zmartwienia.

Przywódca spojrzał posepnie na słońce, na obłoki łagodnie i z powagą sunące po błękitnym przestworze. – Pan jest chyba normalny – powiedział wreszcie. – Chyba jednym z takich jak ten



Hilliard. Istny mędrak, z urodzenia i z wychowania. Wciąż powtarzał, że to się musi skończyć. Naśmiewali się ze mnie, kiedy to zrobiłem. A najgłośniejszym śmiał się ten Hilliard. Chciałbym go zabić – powiedział, zaciskając pięści na kciukach.

– Zabić? – zdziwił się Tristram. – Zabić w tych czasach – powiedział – miłości?

– Pracowałem wówczas w Urzędzie Kwaterunkowym w Lichfield – wybulgotał przywódca – kiedy to się zdarzyło. Zrobiło się wolne miejsce i wynikła sprawa mojego awansu. Bo widzi pan, byłem najstarszy. – Jeżeli nie czasy miłości, przynajmniej były to czasy otwartych i szczerych zwierzeń. – Zarządzający tym pan Consett powiedział mi, że idziemy nos w nos, ja i niejaki Maugham, znacznie młodszy ode mnie, tylko że on był homo. Więc przemyślałem to sobie dokładnie. Bo nigdy nie miałem takich skłonności, ale oczywiście mogłem zrobić jeszcze coś innego. Dobrze to przemyślałem, zanim wziąłem się do rzeczy, bo w końcu był to krok bardzo poważny. Jednak po długim namyśle, rzucaniu się i przewracaniu w łóżku, kiedy się tak zastanawiałem, w końcu zdecydowałem się i poszedłem do doktora Manchipa. A doktor Manchip zapewnił mnie, że to bardzo proste i całkiem bezpieczne, i zrobił to. Powiedział, że nie jest potrzebne nawet ogólne znieczulenie. Przyglądałem się, kiedy to robił.

– Aha – rzekł Tristram. – Właśnie zastanawiał mnie pański głos.

– Racja. No i popatrz pan na mnie. – Rozłożył ręce. – Co się stało, tego nie można cofnąć. I teraz jak ja wyglądam w tym nowym świecie? Ktoś powinien był mnie o tym uprzedzić, ostrzec. Skąd miałem wiedzieć, że taki świat nie będzie trwał wiecznie? – Ściszył głos. – Wie pan, jak ten Hilliard mnie ostatnio przezywa? On mnie nazywa *kapłan*. I mlaszcze przy tym wargami, oczywiście żartuje, ale nie jest to w najlepszym guście.

– No tak – rzekł Tristram.

– Wcale mi się to nie podoba. Ale to wcale.

– Niech się pan zawezmie i poczeka – doradził Tristram. – Historia kołem się toczy. Taki świat, jak teraz, też nie może trwać wiecznie. Któregoś dnia będziemy zmuszeni wrócić do liberalizmu, pelagianizmu, do inwersji seksualnej i... no i... do tego, co u pana. Niewątpliwie będziemy zmuszeni, ze względu na to wszystko. – Pomachał ręką w stronę zaoranych pól, skąd dobiegały stłumione odgłosy silnego zaangażowania. – Ze względu – wyjaśnił – na biologiczny sens tego wszystkiego.

– Ale w międzyczasie – rzekł smutno przywódca – ja muszę sobie radzić z takimi jak Hilliard. – Wzdrygnął się. – Też coś! Żeby on mnie nazywał kapłanem.

## 5

Tristram, jeszcze młody i wcale przystojny, doznał miłego przyjęcia ze strony pań w Shenstone. Wy tłumaczył się grzecznie, że musi przed nocą dotrzeć do Lichfield. Pożegnano go pocałunkami.

Lichfield powitało go jak eksplodująca bomba. Odbywał się tu rodzaj karnawału (choć nieoznaczający pożegnania z ciałem, wprost przeciwnie) i Tristramowi aż pociemniało w oczach od marszów z pochodniami, od powiewających w górze sztandarów i transparentów: *Towarzystwo Płodności z Lichfield* albo *Grupa Miłosna ze Staffordshire*. Tristram wtopił się w tłum na chodnikach, aby przyjrzeć się tej paradzie. Na jej czele maszerowała orkiestra złożona z instrumentów epoki przedelektronicznej, grzmiąc i kwicząc jak gdyby to samo, co wygrywano cienko na flecie w polach pod Hinckley, tylko że melodia rozbrzmiewała teraz na wszystkie trąby, mięsista, krwista, agresywna. Tłum wiwatował. Następnie szło dwóch błaznów, tłukąc się i przewracając na czele groteskowego oddziału w wysokich butach, długich kurtkach, ale bez spodni. Jakaś kobieta za plecami Tristrama wrzasnęła: – Iiiii, to nasz Arthur, patrz, Ethel. – Kurtki i czapki tej szczerzącej

się, wymachującej, krzyczącej, potykającej się, gołonogiej falangi zostały najwyraźniej odebrane Policji Populacyjnej (gdzie są teraz ci z Polpopu, gdzie oni są?) i na drągu niesiono w górze tekturową tablicę ze starannie wykonanym napisem: POLICJA KOPULACYJNA. Tłukli się wzajemnie pałkami z wypchanego czymś płótna workowego, albo dźgali nimi w powietrze w ityfalicznym rytmie. – Co znaczy to słowo, Ethel? – zawołała kobieta za plecami Tristrama. – Język można sobie połamać. – Jakiś człowieczek w kapeluszu wyjaśnił jej to jednym niesalonowym słowem. – Iiiii! – wrzasnęła.

Następnie dreptały małe dzieci, chłopcy i dziewczynki, śliczne i urocze, a nad nimi polatywały uwiązane im do palców balony w kształcie kielbasy. – Oooch – rozdarła się obok Tristrama dziewczucha z obwisłymi wargami, o prostych, wiszących włosach. – Ale zajebiste, no nieee? – Balony poszturchiwały się wysoko, w oświetlonym pochodniami powietrzu, jakby toczyły ospałą walkę na poduszki. Za dziećmi skakała i potykała się kolejna gromada błaznów, mężczyzn w staromodnych, wzdętych spódnicach, z przyprawionymi piersiami olbrzymich i nierównych rozmiarów, inni zaś w pstrokatych, przylegających jak skóra trykotach, z ogromnymi saszczkami w kroczu. Niezgrabnie tańcząc, wykonywali krótkie, spazmatyczne parodie aktu na stojaka, z łapaniem się za dupę. – Iiiii! – wrzeszczała kobieta za plecami Tristrama. – Posikam się ze śmiechu, naprawdę. – Po czym, wzbudzając szmer podziwu, a następnie szczery i głośny entuzjazm, zajechała pokryta na biało tratwa, cała w papierowych kwiatach, z siedzącą wysoko na tronie bujną dziewczuchą w błękitnym stroju i wieńcu z papierowych kwiatów, z berłem w dłoni, z całą świtą ugwieżdżonych wrózek, roześmiane i machające uosobienie dojrzałego seksu, najwidoczniej święteczna królowa miasta Lichfield. – Naprawdę śliczna – odezwała się inna kobieta. – To córka Joe Treadwella. – Tratwę ciągnęli na trzeszczących linach, spowitych w kwiaty, młodzieńcy w białych koszulach i czerwonych leginsach, przystojni i muskularni. Za tratwą postępowali z godnością duchowni, niosąc wyhaftowane sztucznym jedwabiem hasło: *Bóg Jest Miłością*. Za nimi maszerowało miejscowe wojsko z groźnymi sztandarami: *Chłopcy Generała Hapgooda* i *Obroniliśmy Lichfield*. Tłum wiwatował na całe gardło. I wreszcie na końcu stąpały z wdziękiem dziewczątka (ani jednej powyżej piętnastu lat), każda ze wstęgą, a wszystkie wstęgi przyczepione do czubka wysokiego, grubego słupa, emblematu priapicznego, który wzbudził zdwojony entuzjazm, dźwigany w objęciach urodziwej matrony w długiej sukni, jak w pełni rozkwitła róża w tym ogrodzie niewypierzonych stokrotek. Pochód sunął na peryferie miasta, a tłum, przepychając się, tupiąc, wylał się na jezdnię, aby za nim podążyć. Od niewidocznego już czoła pochodu ciągle grzmiała i dudniła mosiądzem zawadiacka melodia na sześć ósmych – krzak morwy, orzechy w maju, dojrzałe jabłka – torując sobie drogę w noc wiosenną. Tristram porwany przez tłum, unoszony w nim bezwolnie (dojrzałe jabłka) przez miasto (dom łabędzia i brązowe orzechy) leksykograf (spódnice w górę) – *lich* po średnioangielsku znaczy trup – (spodnie w dół), Lichfield – pole trupów – jakże nieodpowiednia nazwa w taką noc. Mężczyźni i kobiety, młodzieńcy i dziewczęta przepychali się, zaśmiewali, rozpychali łokciami w ślad za pochodem, na którego czele połyskiwał wysoki, biały, drewniany fallus, rozkołysany, skupiający na sobie ładne wstążki; starcy przygarbieni, ale w gotowości, kobiety w średnim wieku rzetelnie chętne, rozochoceni młodzi chłopcy, dziewczątka nieśmiałe, ale gotowe, twarze jak księżycy, toporki, żelazka do prasowania, kwiaty, jajka, owoce morwy, wszystkie nosy świata (wyniosłe włoskie, spłaszczone orientalne, perkate, rozłożyste, haczykowate, bulwiaste, czubate, pochyłe, rozdęte w nozdrzach), włosy jak żyto, jak rdza, proste po eskimosku, kędzierzawe, faliste, z zatokami albo zupełnie łyse, z tonsurą albo z łysinką, policzki rozpalone jak dojrzałe jabłka i śniade jak orzechowy brąz, w ogniu i płomieniach entuzjazmu, szelest spódnic obsuwających się na zasiane bruzdy i ściąganych spodni.

Przepadła gdzieś niemal opróżniona już torba Tristrama; zapodziała się jego pałka. Miał ręce swobodne do tańca i uścisków. Orkiestra usadowiła się, rozparta na ławkach, gdzieś na zielonym polu na skraju miasta, ażeby grzmieć, łupać, brzęczeć i piszczeć. Wbito priapiczny słup w dziurę już wykopaną na środku placu, wstęgi łopotwały i okręcały się wokół mężczyzn, którzy wsadzali go i ubijali ziemię u jego podstawy. Miejscowe wojsko sprawnie wykonało komendę „rozejść się” i przystąpiło do składania broni. Były flary i wielkie ognisko, piekły się i przyskały mięsa na rusztach. Napis głosił: *Kielbaski z Lichfield*. Tristram przyłączył się do ich wygłodniałych pożeraczy, rozdawano je bezpłatnie na szpikulcach, i żuł solone mięso – oące, adzo oące – dymiącymi ustami.

Wokół priapicznego słupa zaczęły się tańce, młodzieńcy i domniemane dziewice. Na skraju miejskiej zieleni (jak eufemistycznie nazywano kawał brązowego, niemal łysego gruntu) starsze pokolenie ochoczo wirowało i przytupywało. Rozgrzana i śniada kobieta po trzydziestce podeszła do Tristrama ze słowami: – A może byśmy ty i ja, kochasiu? – Z chęcią – odpowiedział Tristram. – Wyglądasz mi na smutnego – zauważyła – jak gdybyś za kimś tęsknił. Mam rację? – Jeszcze parę dni, jak dobrze pójdzie – odrzekł Tristram – i będziemy ze sobą. A na razie... – Puścili się w taniec. Orkiestra w kółko powtarzała swoją rozpasaną melodię na sześć ósmych. Niebawem Tristram i jego partnerka już tarzali się w bruzdach. Noc była ciepła jak na tę porę roku.

O północy, kiedy zdyszany tłum hulaków rozpiął sobie odzież przy ogniskach, fanfary ogłosiły konkurs na męskiego króla uroczystości. Królowa siedziała wyniośle na swojej tratwie, potargana i zaróżowiona świta u jej stóp doprowadzała do porządku spódniczki, nie przestając chichotać. Poniżej tratwy, przy surowym stole, podając sobie z ręki do ręki butelkę spirytu, zasiedli sędziowie, starsi miasta. Sporządzono krótką listę pięciu współzawodniczących w próbie siły i sprawności fizycznej. Desmond Seward zgiął pogrzebacz – zgrzytając zębami, do pęknięcia naprężając mięśnie – i przeszedł czterdzieści metrów na rękach. Jollyboy Adams wywinał niezliczone mnóstwo koziołków i skoczył przez ognisko. Gerald Toynbee wstrzymywał oddech przez pięć minut i wykonał taniec, skacząc żabką. Jimmy Quair chodził na czworakach do góry brzuchem, na którym mały chłopczyk (jak się okazało, jego brat) stał w pozycji Erosa. Spotkało się to z dużym aplauzem ze względu na swe nowatorstwo i powab estetyczny. Ale wieniec zdobył Melvin Johnson (sławne nazwisko) za to, że stojąc na głowie, z nogami w powietrzu, wyrecytował na głos triolet własnego autorstwa. Dziwnie było patrzeć, jak z odwróconych do góry nogami ust wydobywają się słowa wcale nie odwrócone:

*Gdybym ją zdobył, ta śliczna królowa  
Serce me złote dostałaby za to  
I co dzień obiad, już moja w tym głowa,  
Gdybym ją zdobył, ta śliczna królowa.  
Byłaby ogniem w nas ciągle od nowa,  
Na morzu moim złocistą fregatą.  
Gdybym ją zdobył, ta śliczna królowa  
Serce me złote dostałaby za to.*

Daremnie by się ktoś czepiał, że w regulaminie konkursu nie było mowy o biegleści wersyfikacyjnej i czym właściwie ten konkurent udowodnił swoją siłę i sprawność fizyczną? Niektórzy śmiali się, że wkrótce będzie miał okazję, ażeby się nimi wykazać. Jednogłośnie decyzję sędziów powitano rykiem uznania. Melvin Johnson ukoronowany został powycinaną w blanki cynfolią i na krzepkich ramionach poniesiony, wśród wiwatów, na spotkanie ze swą królową. Po czym para królewska przy wtórze śpiewanej przez młodzieńców i dziewczęta starej pieśni weselnej,

której słów Tristram nie mógł uchwycić, udała się majestatycznie na pole, aby skonsumować swą miłość. Prosty lud szedł za nimi w przyzwoitej odległości.

Wszystko to spotkało się pod księżycem, nasienie płodne z góry i nasienie z dołu: Charlie Aaron i Gladys Woodward, Dan Abel i Monica Wilson, Howard Wilson i Clara HoskynsAbrahall, Freddie Adler i Diana-Gertrude Williams, Bill Agar i Mary Westcott, Harold Auld i Louisa Wertheimer, Jim Weeks i Pam Asimov, Ford Wolverton Avery i Lucy Vivian, Denis Broderick i Dorothy Hodge, John Halberstram i Jessie Greenidge, Tristram Foxe i Ann Onymous, Ron Heinlein i Agnes Gelber, Sherman Feyler i Margaret Evans, George Fisher i Lily Ross, Alf Meldrum i Joanie Crump, Elvis Fenwick i Brenda Fenwick, John-James De Ropp i Asmara Jones, Tommy Eliot i Kitty Elphick... oraz dziesiątki innych. Gdy zaszedł księżyc i zerwał się wiatr, skupili się wokół ognisk, żeby spać aż do rana w czerwonej, trzaskającej poświacie spełnienia.

Tristram zbudził się o świcie, słysząc świergot ptaków; przetarł oczy na chłodny, odległy, basowy odgłos kukułki. Pojawił się ksiądz z polowym ołtarzykiem i naburmuszonym, ziewającym ministrantem.

– *Introibo ad altare Dei.*

– Do Boga, który rozwesela młodość moją.

Konsekracja pieczonego mięsa (bez wątpienia wkrótce powrócą chleb i wino). Rozdawanie eucharystycznego śniadania. Umyty, lecz nieogolony, Tristram ucałował na pożegnanie swych nowych przyjaciół i ruszył na północny zachód drogą na Rugeley. Miał nadzieję, że piękna pogoda tego poranka utrzyma się przez cały dzień.

## 6

Dionizyjskie szaleństwa odbywały się w Sandon, Meaford i na skrzyżowaniu dróg w pobliżu Whitmore, natomiast w Nantwich Tristram trafił na urozmaicony jarmark. Zaciekawiał go intensywny przepływ drobnych pieniędzy przy straganach (strzelnica, Ciotka Sally, próba siły, trafianie monetą w szczęśliwy kwadrat): widać było, że ludzie znów pracują i zarabiają. Jedzenie (wśród kebabów i kielbasek dostrzegł na szpikulcach małe ptaszki) sprzedawano, a nie rozdawano. Nawoływacze zachęcali lubieżników, aby za pół korony obejrzeni, co Lola i Carmenita wyprawiają w swym sensacyjnym numerze z siedmioma zasłonami. Wyglądało na to, że co najmniej w tym jednym mieście zaczyna maleć nowość i atrakcyjność darmowego mięsa.

Ożyły natomiast najniższe formy sztuki.

Ileż to czasu minęło, odkąd w Anglii ktoś widział na żywo grane przedstawienie? Już od pokoleń leżało się na wznak w mroku własnej sypialni, wpatrując się w wodniście błękitny prostokąt na suficie: schematyczne opowiadki, jak to dobrzy ludzie nie mają dzieci, a źli płodzą; zakochane pedały i lesbijki; bohaterowie w typie Origenesa, kastrujący się na rzecz globalnej stabilizacji. Tu w Nantwich klienci ustawiali się w kolejce do wielkiego namiotu, aby obejrzyć komedię *Nieszczęsny ojciec*. Tristram wzruszył ramionami nad pozostałą mu garstką monet i zapłacił półtora siódmaka za wstęp. Nie czuł nóg od wędrówki; przynajmniej będzie miał gdzie odpocząć.

Ściśnięty na ławce, pomyślał: tak musiała wyglądać pierwsza komedia grecka. Na trzeszczącym podium, niepewnie oświetlonym dwoma reflektorami, narrator z doczepionym wielkim kutasem wygłaszał wstęp, a potem grubiańskie komentarze, do prościutkiej i sprośnej opowieści. Łysy mąż, impotent (co symbolizował obwisły saczek w kroczu), miał puszczałskążonę, ciągle zapładnianą przez jebliwych kochanków, i w rezultacie dom pełen dzieci. W końcu wyszydzany, lżony i ośmieszany nieszczęśnik wpadł we wściekłość, dorwał paru z tych gachów na ulicy i dostał za to

nieźle po łysinie. I proszę: zdarzył się cud! Od przyłożenia w czachę dziwne rzeczy porobiły się z jego układem nerwowym: saczek nabrzmał i stanął; nie był już impotentem. Ale chytrze udając, że nic się nie zmieniło, dostał się bez większego trudu tam, gdzie zamieszkiwali ci z kochanków jego żony, którzy mieli w domu kobiety, rypiąc je, gdy pan domu poszedł do pracy. Ryk śmiechu. W końcu wywalił swą żonę na zbity pysk i urządził sobie istny harem we własnym domu, po czym komedia zakończyła się fallicznym śpiewem i tańcem. No cóż, pomyślał Tristram, opuszczając namiot o brzasku, tylko patrzeć, jak mężczyźni zaczną się przebierać za kozły i odgrywać pierwszą tragedię nowych czasów.

Za parę lat mogą się pojawić misteria.

Przy jednej z dymiących budek z jedzeniem jakiś człowieczek sprzedawał pojedyncze arkusze *in quarto*, mając niezły zbył. Wykrzykiwał: – *Nantwich Echo*. Za jedne pół korony. – Z lekka dygocący Tristram wydał jedną z ostatnich monet i zaszył się ze swą gazetą w kąciku, tak ukradkowo, jak przed kilkoma dniami z pierwszym posiłkiem mięsnym. Gazeta była czymś niemal tak archaicznym jak komedia. Dwie strony niewyraźnego druku; pod nagłówkiem NNTWTSK EKO metryczka: *Wydaje Min Inf wg przekazu mikrofalowego z 1.25 ppoł. Wydawnictwo G. Hawtrey*. Prywatna inicjatywa: zaczyna się Gusfaza. Tristram połknął wiadomości bez przeżuwania. J.K.M. zaprosił p. Ockhama do utworzenia rządu, jutro podane będą nazwiska członków gabinetu. W całym kraju zostaje ogłoszony stan wyjątkowy, natychmiastowa centralizacja regionalnych (nieregularnych) sił zbrojnych, lokalni dowódcy mają niezwłocznie zgłosić się po instrukcje w komendach prowincji wg następującego wykazu. W ciągu 48 godzin spodziewane jest przywrócenie regularnych służb transportu oraz informacji. Zarządza się powrót w ciągu 24 godzin do pracy, za uchylenie się grozą (nie sprecyzowane) surowe kary.

Powrót do pracy, tak? Tristram zastanowił się, podnosząc oczy znad gazety. Stojący wokół mężczyźni i kobiety, poruszający ustami przy czytaniu albo przelatujący wzrokiem, rozdziawiali usta, dziwiąc się i namyślając. Nie rzucano czapkami w powietrze, nie wykrzykiwano: hura! żeby uczcić przywrócenie stabilizacji. Powrót do pracy. Oficjalnie jest chyba nadal bezrobotnym, jako że więzienie automatycznie pozbawia stanowiska tego, kto był na państwowym etacie. Pójdzie dalej do Państwowego Gospodarstwa Rolnego NW313. Chyba żona i dzieci są najważniejsze? (Dzieci? Jedno nie żyje.) Tak czy owak, oficjalnie nie został powiadomiony.

Postara się na wieczór dotrzeć do Chester. Kupił sobie za dziesiątaka na drogę wiatyk w postaci dużej kielbasy i żując ruszył drogą na Chester. Jego maszerujące stopy wywołały z pamięci gnomiczny czterowiersz, napisany przez jakiegoś zapomnianego poetę:

*Północne wiatry mroźnie koją,  
A południowe grzeją swojsko.  
Pelagiusz kocha policję swoją,  
Augustyn woli swoje wojsko.*

Kapitan Loosley pożerał chrupiące kąski wiadomości, uzyskiwane z mikrofalówki na desce rozdzielczej. – No i proszę – stwierdził ze złośliwą satysfakcją – to ich nauczy. Będzie trochę więcej poszanowania dla prawa i porządku, pan rozumie. – Jak to wytknął mu wtedy po grubiańsku w więzieniu Tristram Foxe, kapitan nie miał pojęcia o historiografii, o cyklach. Młody Oxenford, prowadząc, skinął głową bez przekonania. Miał tego dosyć; co za parszywa podróż. Policyjne racje

żywności były skąpe i w brzuchu mu burczało. Nuklearny silnik furgonetki Polpopu kilka razy nawalał, a Oxenford nie był mechanikiem nuklearnym. Wyjeżdżając z Chester pomylił drogę i radośnie pomknął na zachód (jako że była noc, a on nie miał też kwalifikacji astronawigatora) i dopiero w Dolgelley zauważył swój błąd (drogowskazy pokradli na opał). W drodze na Welshpool, w Mallwyd, zostali zatrzymani przez gromadę mężczyzn i kobiet o śpiewnej wymowie i twarzach jakby czarowników. Ludzi tych oczarowały bliźnięta Beatrice Joanny – „Jakie śliczne!” – lecz zantagonizowało aroganckie zachowanie sierżanta Image i jego rozdygotana lufa. – Dziwak z tego nieszczęsnego skurwla – oznajmili, łagodnie odbierając mu broń. – Świetnie się ugotuje – pokiwali głowami, obmacując jego miękką pieczeń, kiedy go rozbierali. Ściągnęli też mundury z kapitana Loosleya i młodego Oxenforda, mówiąc: – Świetnie nadadzą się dla wojska. Całkiem porządne. – Widząc, jak ci dwaj trzęsą się w samej bieliźnie, oznajmili: – Szkoda ich. Kto ma trochę papieru do pakowania, żeby ich przyodziać? – Nikt nie miał. – Widzicie, jak dobrze was traktujemy – oświadczyli na koniec. – Ze względu na tę kobietę na tylnym siedzeniu. Czysta gra. – I machając rękoma wyprawili ich do Welshpool, podczas gdy sierżant Image donośnie protestował, że go zdradzono, wijąc się w uchwycie krzepkich rzeźników.

Zabierając ich mundury, ludzie z Mallwyd, być może, uratowali im życie, lecz kapitan Loosley był za głupi, żeby to pojąć.

Co się tyczy Beatrice Joanny, troszczyła się wyłącznie o swoje dzieci. Lękała się tych miast i wiosek, gdzie płonęły ogniska i szczerze, mięsożerne gęby zaglądały do jej uśpionej dwójki, szczerząc się w życzliwym uśmiechu. Jakże dwuznaczne wydawały się jej te uśmiechy i słowa podziwu: pieśczośliwe gaworzenie mogło się lada chwila zamienić w mlaskanie. Jakikolwiek urzędowy los oczekiwał ich w stolicy, przecież chyba nie zniży się do dziecioletstwa? Niespokojna o swoje dzieci, Beatrice Joanna zapomniała o głodzie, lecz niedożywienie odbijało się dotkliwie na jakości i ilości jej mleka. Mimowoli pociągał ją chwilami, gdy pędzili przez jakieś miasto, zapach pieczonego lub gotowanego mięsiwa: a ilekroć podniesione, grube łapska zatrzymywały ich samochód, a ciekawe oczy lustrowały tych dwóch w samej bieliźnie oraz ją z bliźniętami u piersi, mdliło ją na myśl o tym, co się tam piecze i warzy. Ale dlaczego? Zmysły są czymś pierwotnym i zmysły nie odczuwały wstrętu; wyłącznie *myśl*, ta wielka zdrajczyni, jak zwykle wrzucała w tryby swój trzewik.

– Wygląda na to, pan rozumie, że wszystko niemal powróciło do normalności – przemówił kapitan Loosley, kiedy wreszcie ruszyli drogą na Brighton. – Tylko za dużo powybijanych okien i ten poskręcany metal na drodze. To powywracane pojazdy, pan rozumie. Barbarzyństwo. Stan wojenny. Biedny sierżant Image. Należało wziąć ich nazwiska, pan rozumie, winnych tej zbrodni. Można by ich zbiorowo ukarać.

– Co pan pieprzy – odezwał się młody Oxenford. – Już tak pan posuwa, że nieraz mi się chce rzygać.

– Oxenford – zawołał wstrząśnięty kapitan Loosley. – Chyba nie wiesz, co mówisz. To, że nie jesteśmy w mundurach, pan rozumie, nie usprawiedliwia faktu, że zapominasz o szacunku, do jakiego jesteś zobowiązany wobec, pan rozumie, wobec...

– Och, zamknij się. Wszystko to już minęło. Nie masz pan tyle pieprzonego rozumu, żeby wykapować, że już po wszystkim? Jakżeś pan u diabła doszedł do tego stanowiska, tego ja nie kapuję. – Wjeżdżali na Haywards Heath. – Pierwsza rzecz, jaką zrobię, kiedy wrócimy i dostaniemy jakieś ubranie, to wstąpię do tej pieprzonej armii. A z wami skończyłem, bo wy już tak czy owak jesteście skończeni.

Wyjeżdżali z Haywards Heath. Kapitan Loosley powiedział:

– Nie jesteście skończeni. Zawsze musi istnieć jakaś organizacja, pan rozumie, żeby utrzymać w

ryzach ludność jak nie siłą, pan rozumie, to propagandą. Wybaczam panu, Oxenford – dodał wielkodusznie. – Los sierżanta Image musiał odbić się na pańskich nerwach, tak jak przyznam, pan rozumie, że odbił się nieco również na moich. Ale niech się to więcej nie powtórzy. Proszę nie zapominać o różnicy naszych stopni służbowych.

– Och, przymknij się – powiedział znów Oxenford. – Jest mi kurewsko zimno i jestem kurewsko głodny, i mam ochotę zatrzymać ten pieprzony wózek i radź pan sobie z nim, jak pan zechcesz, a ja pójdę i przyłączę się do tamtej bandy. – Wskazał grubiańskim ruchem głowy na jakieś cygańskie towarzystwo przy drodze, beztrudno pożywiające się wokół ogniska.

– Wojsko się nimi zajmie – rzekł spokojnie kapitan Loosley. – Wyłapią ich, nie ma obawy.

– Aaaaah – Oxenfordowi zebrało się raptem na kichnięcie. I znowu: – Aaaaah psik. Cholera ciężka i niech to diabli, przeziębilem się, tego mi brakowało. Niech cię szlag trafi, Loosley. Aaaaaa pchik.

– Komisarz Metropolii będzie panu miał z panem do pogadania, pan rozumie – ostrzegł kapitan Loosley. – Najzwyklejsza, niewątpliwa i gruba niesubordynacja.

– Zdawało mi się – przemówił sarkastycznie Oxenford – że cała ta zabawa miała na celu wypieprzenie Komisarza Metropolii. Zdawało mi się, że właśnie o to chodzi.

– I tu jesteś głupi, Oxenford – rzekł wyniośle kapitan Loosley. – Na jego miejsce przyjdzie inny Komisarz Metropolii. I ten będzie wiedział, jak uporać się z niesubordynacją.

– Aaaaaah – wydał z siebie młody Oxenford i dokończył: – pszyk! – omal nie wpadając na latarnię. – Ale na pewno nie ty nim zostaniesz – rypnął po chamsku. – Ty nie dostaniesz tej pieprzonej roboty, szkoda gadać. A ja tak czy owak jutro albo pojutrze będę w armii. To jest dopiero męskie życie. Aaaaprztyknęwdziób. A niech to Dog porwie i cholera ciężka. A nie jakieś tam pieprzone ściąganie biednych, bezbronnych kobiet i niemowląt, jak myśmy to właśnie robili.

– Dość się już nasłuchałem, pan rozumie – uciął kapitan Loosley. – Najzupełniej tego wystarczy, Oxenford.

– Rrraaaarch. Cholera.

Wjechali niebawem do Brighton. Światło słońca igrało na morzu, na kolorowych sukniach kobiet i ubrankach dziatwy, na bezbarwnych ubiorach mężczyzn. Wydawało się, jakby ludzi ubyło; nie sposób ciastka mieć i równocześnie zjeść go. Dojechali do wyniosłej Siedziby Rządu. – Jesteśmy na miejscu – rzekł kapitan Loosley. – Wjeżdżaj tu na wprost, Oxenford, gdzie napisano *In*. Dziwna rzecz, ale nie przypominam sobie tego napisu *In*, pan rozumie. Nie było go, jak wyjeżdżaliśmy.

Oxenford zaśmiał się ochryple. – Ty nieszczęsny, pieprzony, głupi kretynie – odrzekł. – Nie widzisz, skąd się wzięło to *In*? Nie widzisz, ty stuknięty idioto?

Kapitan Loosley zagapił się na fasadę budynku. – Och – wyrwało mu się. – Och, jak Doga kocham. – Bo wielki, rozległy napis *Ministerstwo Bezpłodności* zmienił się: w wyrazie *Infertility* zabrakło *In*. Teraz było *Ministerstwo Płodności*.

– Ha ha – zrobił młody Oxenford. – Ha ha ha. – A potem: – Rrraaarch! A niech to... i cholera ciężka.

## 8

– I w miarę możliwości – mówiła telewizyjna twarz J.E. premiera George’a Ockhama – dążyć do przyzwoitego, dostatniego życia przy jak najmniejszej ingerencji ze strony Państwa. – Tłusta morda finansowego magnata o wargach mocnych, lecz nie szcędzących sobie przyjemności, nieustępliwie targujące się oczy za sześciokątnymi szklami. Ukazywała się z przerwami na skutek wadliwej

transmisji, na przemian z prędko biegnącymi prążkami, albo rozplywając się w geometryczne przerośnię i fantazje; chybotwała się, zataczała; rozpadała się na niezależne grymasy; wyfruwała z ekranu w górę jak ogień Ducha Świętego i goniła sama siebie w ulatujących jedna za drugą klatkach. Ale mocny, spokojny, pewny, rzeczowy głos nie ulegał zniekształceniu. Przemawiał długo, chociaż – na sposób iście augustiański – nie miał wiele do powiedzenia. Może czekają ich jeszcze trudne czasy, ale brytyjski duch realistycznego kompromisu, który już w przeszłości przetrwał tyle krytycznych sytuacji, zapewni narodowi osiągnięcie szczęśliwszych dni. Chodzi przede wszystkim o zaufanie; pan Ockham prosił, aby mu zaufać. On ma zaufanie do brytyjskiego narodu; niechaj naród okaże jemu zaufanie. Jego wizerunek dokiwał się do wygaśnięcia i telewizyjnej ciemności.

Tristram także pokiwał głową, dłuźąc w zębach, w dobroczynnym ośrodku żywienia, który Towarzystwo Płodności Pań w Chester urządziło na północnym brzegu Dee. Właśnie spożył, słuchając pana Ockhama, przyzwoity posiłek mięsny, podawany przez różowe, przekomarżające się dziewczęta z Chester w przyjemnym, choć surowym otoczeniu, gdzie żonkile z wazonów patrzyły w sufit. Wielu takich jak on jadało tam, przedtem i teraz, choć przeważnie byli to, jak się zdaje, ludzie z prowincji: porzuceni, oszołomieni, zwalniani z więzień, a teraz wędrujący w poszukiwaniu swych rodzin, ewakuowanych z miast w czasie rozruchów żywnościowych i pierwszych okrucieństw popełnianych przez kluby konsumpcyjne; bezrobotni zmierzający do otwieranych na nowo fabryk; mężczyźni (ale powinny być również kobiety: gdzie te kobiety?) wyrzuceni z mieszkań na niższych piętrach przez silnych i bezlitosnych; wszyscy bez grosza.

Bez grosza. Problem stanowiły pieniądze. Tristram znalazł tego popołudnia otwarty bank, filię Trzeciego Państwowego, gdzie był umieścił swój niewielki zasób gwinei, znów czynną i ożywioną po długim moratorium. Ale kasjer oznajmił mu grzecznie, że pieniądze musi podjąć w swoim własnym oddziale, jakkolwiek – Tristram się na to posepnie uśmiechnął – z przyjemnością przyjmą, jeśli zechce, wpłatę w gotówce. Banki! Może nie tacy głupi byli ci, którzy im nie ufali. Jak zasłyszał, pewien człowiek w Tarporley zaszył w materacu trzy tysiące gwinei w banknotach i mógł dzięki temu otworzyć sklep wielobranżowy, kiedy banki jeszcze były zamknięte. Drobnik kapitaliści wypełzali ze swoich dziur, szczury okresu Pelfazy, ale lwy okresu augustiańskiego.

– Serdecznie zapraszam – kobiecy głos rozległ się z głośnika – do uczestnictwa. Godzina ósma. Zostanie podana lekka kolacja z rusztu. Partnerów nie zabraknie. – Zabrzmiało to niemal złowróźnie. Głos się wyłączył. Prędeż rozkaz niż zaproszenie. Tańce przy ognisku nad rzeką, nie w polach. Czyżby liczyli na to, że niebawem znów zaczną skakać łososie w rzece Dee? Dwie rzeczy mimochodem uderzyły Tristrama w ten piękny, ale chłodny, wieczór wiosenny: stanowczość kobiet i że za każdy drobiazg trzeba płać. Westchnąwszy, wstał od stołu; powałęsa się po ulicach Chester. Przy drzwiach ochocza niewiasta powiedziała: – Nie zapomnisz, prawda? Punkt ósma. Będę cię wypatrywać, ty łakomczuchu. – Zachichotała, grubaska kojarząca się raczej z ciotką niżeli z kochanką. Łakomczuch? W czymże to okazał się łakomczuchem? Czy określenie to miało być było żartobliwą zapowiedzią, wcale nie dotyczącą gastronomii? Tristram połączył krzywy uśmieszek z chrząknięciem i wyszedł.

Czy tak pachniało Chester za czasów okupacji rzymskiej: wonią żołnierstwa? *Armia Zachodu. Kwatera Główna*. Tak głośla tablica; szlachetna, porywająca zapowiedź, niemalże arturiańska. Jak w czasach legionistów Cezara miasto musiało tchnąć wonią ślizgających się koni, tak obecnie rury wydechowe motocykli zionęły i rozkwitały na niebiesko: zmotoryzowani gońcy przybywali z tajnymi meldunkami ukrytymi w kopertach, odjeżdżali – w rękawicach i hełmach – z takimiż, zapalając kopniakiem swe maszyny, ażeby pognać jedną z rozchodzących się jak macki dróg, które wypadały z tego miastaobozu, obozu-miasta. Tajemnicze drogowskazy kierowały do *Szefa Zapasów*



*Wojskowych, Szefa Zasobów Medycznych, Biura Kwatermistrza Generalnego.* Ciężarówki wysypywały swe ładunki niezgrabnych żołnierzy w zaimprovizowanych mundurach; w bocznej uliczce odprawiano roboczy oddział zmiotłami zamiast karabinów; paru zażenowanych kapelanów uczyło się salutować. Do magazynu żywności wyładowywano pod strażą puszki.

Jakiż to obłudny ruch tej głowy załatwił dalsze dostarczanie tychże zapasów? Kontrakty z cywilami bez zadawania zbędnych pytań; wojsko mówiło na bezimienne mięso w konserwach *bysior*, a przecież nie ma takiego zwierzęcia; przestrzeganie prawa i porządku dało się pogodzić z milczącą działalnością rzeźni. Tristram przypuszczał, że nie ma innego wyjścia niż stan wojenny. Ponieważ armia z natury jest organizacją powołaną do masowych mordów, nie może się zaprzętać moralnością. Udrożnić arterie dla ruchu, będącego krwią kraju; dbać o zaopatrzenie w wodę; utrzymywać należyte oświetlenie głównych ulic, boczne uliczki i zaułki niech się same o siebie zatroszczą. Nie do nich należy zgłębianie przyczyn. Jestem prostym żołnierzem, tam do licha, nie jakimś dziobanym politykiem; im zostawcie brudną robotę.

Znowu funkcjonował *Dysk Codzienny*. Tristram usłyszał rozlegający się z mesy oficerskiej (przyćmione światła, dyżurny w białym fartuchu, srebrzyste pobrzękiwanie sztucców) metaliczny głos i przystanął, żeby posłuchać. W Meksyku odżył kult Quetzalcoatl: o świętach miłości i ofiarach z ludzi donoszono z mist Chihuahua, Moctezuma, Chilpanzingo. Mięsożerstwo i solenie mięsa na całym wąskim pasie Chile. Intensywna produkcja konserw w Urugwaju. Wolna miłość w Utah. Zamieszki w całej strefie Kanału Panamskiego, ludność nie uznająca żadnych ograniczeń w jedzeniu i kochaniu się nie słucha świeżo utworzonej milicji. W prowincji Suiyuan na północy Chin złożono w ceremonialnej ofierze miejscowego kulawego magnata. W Indonezji lepi się „ryżowe dzieci” i topi się je na ryżowiskach. Urodzaj na zboża w Queenslandzie.

Tristram poszedł dalej, patrząc jak żołnierze na przepustkach śmieją się, obejmując miejscowe dziewczęta. Usłyszał, jak orkiestra stroi instrumenty do tańca, na pączkach drzew nad rzeką migotały wątle ogniki elfów. W całym ciele zaczął odczuwać mrowienie i znużenie, jak zwykle przy trawieniu mięsa. Taki jest świat, pogódź się z nim: odgłosy kopulacji i mamrotanie mszy, mielenie mięsa i zgrzyt maszynierii wojskowej. Życie. Nie, do cholery, nie! Wziął się w garść. To końcowa część jego podróży. Jak będzie mu sprzyjać szczęście i podwiozą go, może nawet przed świtem dotrzeć do Preston. Już dostatecznie długo jest w podróży; wypada pomyśleć o kimś znajomym i ukochanych ramionach, o znużeniu uświęconym przez miłość i osobistą ciemność, z dala od ognisk i wesołych uczt. Ruszył zwawo do wylotu szosy biegnącej na północ i przystanął, podnosząc kciuk, pod drogowskazem na Warrington. Może nie okazał należytej wdzięczności damom z Towarzystwa Płodności Pań w Chester, ale co tam. Płodność powinna być owocem Ducha Świętego, zastrzeżonym dla małżonków. Już za dużo tego cudzołóstwa.

Po sześciu czy siedmiu machnięciach kciukiem, kiedy już chciał iść pieszo, zatrzymała się przy nim z piskiem wojskowa ciężarówka. – Wigan – oznajmił prowadzący ją żołnierz. – Wiozę ten cały majdan. – Wściekle targnął głową, pokazując za siebie. Tristramowi aż serce podskoczyło. Preston leży trzydzieści kilometrów na północ od Wigan. A pięć kilometrów na zachód od Preston, przy drodze do Blackpool, znajduje się Państwowe Gospodarstwo Rolne NW313. Wdrapał się do szoferki, przepelniony wdzięcznością. – No – powiedział kierowca, ściskając wielką kierownicę dłońmi rozstawionymi na odległość jej pełnej średnicy – chyba teraz to już długo nie potrwa, uważa pan?

– Tak – potwierdził gorliwie Tristram.

– Więc niech pan powie – zagadnął kierowca. – Jak pan sądzi, na kogo wypadnie? – Cmoknął donośnie, ssąc naturalnego przedtrzonowca, dosyć młody jeszcze, tłustawy, jasnowłosy mężczyzna w

zatluszczonej czapce.

– Co? – rzekł Tristram. – Obawiam się, że nie całkiem... Obawiam się, że myślałem o czymś innym.

– *Obawiam się* – powtórzył kierowca z satysfakcją. – Właśnie o to chodzi, no nie? To jest właściwe słowo. Mnóstwo ludzi już niedługo będzie miało czego się obawiać, i pan również, śmiem twierdzić. Ale to się rozumie, że będzie wojna. Oczywiście nie dlatego, żeby ktokolwiek jej pragnął, tylko dlatego, że istnieje armia. Tutaj armia, tam armia i wszędzie armie, gdzie nie spojrzeć. Armie są dla wojny, a wojna jest dla armii. Tak poucza zdrowy chłopski rozsądek.

– Wojny się skończyły – rzekł Tristram. – Wojny są zabronione. Już od bardzo, bardzo wielu lat nie było wojny.

– Więc tym bardziej musi być wojna – oświadczył kierowca – skoro jej nie mieliśmy przez tyle czasu.

– Ależ – zaperzył się Tristram – pan nie ma pojęcia, czym była wojna. Ja czytałem książki o dawnych wojnach. One były okropne, okropne. Były gazy trujące, które ludzką krew zamieniały w wodę i bakterie, które uśmiercały nasienie całych narodów i bomby, które niszczyły całe miasta w ułamku sekundy. Wszystko to już minęło. Musiało minąć. Nie możemy znów dopuścić do czegoś takiego. Widziałem zdjęcia – zadygotał. – I filmy. Te dawne wojny były przerażające. Gwałty, plądrowanie, tortury, podpalanie, syfilis. Coś niewyobrażalnego. Nie, nie, nigdy więcej. Proszę nie mówić takich rzeczy.

Kierowca, z lekka ruszając kierownicą i ramionami, jak marny tancerz, smoktał zawzięcie. – Nic takiego nie miałem na myśli. Tylko, no wie pan, walkę. Armie. Że jedni starają się przyłożyć drugim, pan rozumie, co mam na myśli. Jedna armia przeciwko drugiej, tak jakby dwie drużyny. A potem jedni strzelają do drugich, i tak ciągle strzelają, aż ktoś wreszcie zagwiżdże i powie: „Ci wygrali, a tamci przegrali.” Potem rozdaje się urlopy i medale, a dziewczuchy już stoją w kolejce i czekają na dworcu. Taki rodzaj wojny mam na myśli.

– Ale kto – zapytał Tristram – pójdzie na wojnę przeciw komu?

– No – odpowiedział kierowca – to dopiero trzeba będzie ustalić, nie? Uzgodnić i przygotować, prawda? Ale wspomni pan moje słowa: to *musi* nastąpić. – Ładunek za jego plecami zatańczył pobrzękując, wyzywająco, gdy przejeżdżali przez wygarbiony most. – Bohaterska śmierć – powiedział znienacka żołnierz, jakby zadowolony z siebie. Batalion mięsa w puszkach zabrzączał potakująco, niczym jakaś olbrzymia pierś, cała w medalach.

## 9

Furgonetka żandarmerii podrzuciła Tristrama z Wigan do Standish, po czym nagle ustał jakikolwiek ruch na szosie. Powoli, z niejaką trudnością szedł przez noc pełni księżycowej, z doskwierającą lewą stopą, bo w grubej podkładce i podeszwie buta zrobiła się dziura na wylot. Mimo to dzielnie kroczył dalej, jego powściągana emocja poprzedzała go żwawym krokiem, z wywieszonym językiem, a noc zmierzała razem z nim do świtu. Stopy podpowiadały mu, żeby odpoczął w Leyland, ale serce nie chciało ich słuchać. Aby dalej, do poranka w Preston! Tam chwilę odetchnąć, może jakieś dobrotliwe śniadanie, i dalej do celu, jeszcze pięć kilometrów na zachód! Ukradkiem zbliżały się świt i miasto.

Cóż to za odgłos? Jakby coś dzwoniło.

Tristram zmarszczył się i wetknął sobie małe palce do uszu, poruszając w nich z ogłuszającym rumorem woszczyne: Odruchowo powąchał nawoskowany nią czubek palca (jedyna przyjemna woń

pośród wszystkich wydzielin ciała) i nasłuchiwał. To dzwonienie dochodziło z zewnątrz, nie z jego głowy; rozbrzmiewało z samego miasta. Dzwony na powitanie pielgrzymy? Nonsens. Nie były to zresztą dzwony, tylko ich elektroniczna namiastka: z wolna tętniąca w roztrzęsionych głośnikach, wzbijała metaliczny pył harmonii, zwariowane srebro. Tristram zdziwiony podszedł. Wkroczył do Preston już w blasku poranka i wchłonęły go tłumy i triumfalny brzęk tych rzekomych dzwonów, nawołujący wokół nieznanym mu ludzi. – Co to takiego? Co się dzieje? – W odpowiedzi śmiali się, głucho, niemo, samymi ruchami warg w obłąkanym wirze słyszalnego metalu. Rozdygotana spizowa pokrywa, jak gdyby cudownym sposobem przepuszczająca jeszcze więcej światła, spadła w srebrze na miasto. Ludzie podążali ku źródłu obłądnego, anielskiego zgiełku; Tristram poszedł za nimi. Jakby wchodził w samo serce hałasu, hałasu jako ostatecznej rzeczywistości.

Szary budynek z kamienia ciosowego – architektura prowincjonalna, nie więcej niż dziesięć pięter – i głośniki skierowane w dół z jego dachu. Tristram wszedł do środka, przepychając się w tłumie, z cytrynowego blasku słońca, i znalazłszy się wewnątrz rozdziawił usta wobec tej ogromnej, kubicznej pustki. Nigdy w życiu nie widział tak ogromnego wnętrza. Nie można było tego nazwać pokojem, salą, miejscem spotkań czy zgromadzeń; szukał na to specjalnego słowa. Improwizacja: komórki dawnego bloku (mieszkań czy biur) zostały usunięte; ich ściany rozwalone, jak wskazywały poszczerbione przypory z cegieł; stropy kilku pięter usunięto, rozebrano, tak iż oko traciło się w wysokości. W najdalszym końcu Tristram rozpoznał na podwyższeniu ołtarz; szeregi z grubo ciosanych ławek; ludzie siedzieli i czekali, klęczeli i modlili się. Z lektur zaczęły mu się wynurzać odpowiednie terminy, tak jak wcześniej przypomniały mu się *pluton*, *batalion*, w kontekście z jakiegoś powodu jakby podobnym. *Kościół. Kongregacja*. – Tamujesz ruch, chłopie – odezwał się dobroduszny głos za jego plecami. Tristram zajął miejsce w... jak to się nazywało? Zajął miejsce w stallach.

Barczyści księży, cała ich gromadka, wmaszerowali z ogromnymi, grubymi świecami, z plutonem (nie, sekcją) ministrantów.

– *Introibo ad altare Dei...*

Zmieszane głosy, o całe piętro wyżej, z galerii w głębi budynku, zaśpiewały w odpowiedzi:

– *Ad Deum qui laetificat iuventutem meam.*

Musiała to być jakaś bardzo szczególna okazja. Jak gdyby partia szachów rozgrywana za pomocą koni i słoni rzeźbionych w kości słoniowej, a nie ulepionych z więziennego mydła. W liturgii raz po raz pojawiała się grzmiące „Alleluja”. Tristram cierpliwie czekał na konsekrację, śniadanie eucharystyczne, ale modlitwa przed spożyciem mięsa okazała się bardzo przewlekła.

Ksiądz z wydatnymi wargami, jak byczysko, odwrócił się od ołtarza do zgromadzonych, stanawszy na brzegu podwyższenia, błogosławiąc powietrze. – Bracia! – przemówił. Zagajenie, mowa, oracja... *kazanie*. – Mamy dzisiaj dzień Wielkiej Nocy. Tego ranka obchodzimy rezurekcję, czyli zmartwychwstanie Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Ukrzyżowany za głoszenie królestwa Bożego i braterstwa ludzi, zawisł na krzyżu i wdeptany w ziemię – tak jak depcze się zielsko albo popiół z ogniska – jednakowoż powstał trzeciego dnia w odzieniu przepysznym jak słońce, księżyc i jak wszystkie gwiazdy na nieboskłonie. Powstał, ażeby światu przynieść świadectwo, że śmierć nie istnieje, że śmierć to jedynie pozór, nie rzeczywistość, że pozorne moce śmierci to tylko cienie, a ich władza to tylko władza cieni. – Ksiądz łagodnie beknął z głębi pustego żołądka. – Powstał, ażeby słać żywot wiekuisty, a nie jakieś bladousto, widmowe życie gdzieś w mrocznej noosferze... (– Iii – odezwała się jakaś kobieta za plecami Tristrama) ale całkowitość i jedność życia, w którym planety idą w taniec z amebami, a olbrzymie nieznanne makroby z mikroby, rojącymi się w naszych ciałach i w ciałach zwierząt, naszych bliźnich. Wszelkie ciało stanowi jedność i ciałem jest również

pszenica, trawa, jęczmień. On jest znak i wieczysty symbol, On jest wieczna powtarzalność, która ciałem się stała. On jest człowiek, zwierzę, zboże i Bóg. Jego krew staje się także naszą krwią w akcie odświeżania naszej ospałej, ciepłej czerwieni, ledwie kołaczącej się w pokrętnych kanałach. Jego krew to nie tylko krew człowieka, zwierzęcia, ptaka, ryby; Jego krew to także deszcz, rzeka, morze. Jest to wyrzucane w ekstazie nasienie męskie i płynne bogactwo mleka ludzkich matek. W Nim stajemy się jednością ze wszystkimi rzeczami, a On stanowi jedność z każdą rzeczą i z nami.

Oto dzisiaj w Anglii – ciągnął – oto dzisiaj w całym Związku Anglojęzycznym obchodzimy radośnie, z fanfarami, psalterzem i z głośnym alleluja, zmartwychpowstanie Księcia Żywota. Dzisiaj także w odległych krajach, które w jałowej przeszłości odrzucały ciało i krew Wiecznego Dawcy Życia, Jego powstanie z grobu obchodzone jest z radością podobną jak nasza, mimo że w postaciach i pod nazwami o cudzoziemskim znaczeniu i pogańskim brzmieniu. – Mężczyzna siedzący na prawo od Tristrama zmarszczył się, usłyszawszy to zdanie. – Albowiem, chociaż nazywamy Go Jezusem i prawdziwym Chrystusem, On wszelako jest poza wszelkimi imionami i ponad nimi, tak iż zmartwychwstały Chrystus wysłucha, jak zwracają się do Niego, radując się i czcząc Go pod imieniem Tammuz albo Adonis, albo Attis, albo Baldr, albo Hiawatha, dla niego zaś wszystko jest jednym i wszystkie imiona są jednym, tak jak wszystkie słowa są jednym i jak wszelkie życie jest jedno. – Kaznodzieja umilkł na jakiś czas; w kongregacji rozległy się wiosenne pokasływania. Po czym bez żadnego związku, jak to w przemowie religijnej, zawołał dobitnym głosem: – Przeto nie bójcie się. W pośrodku śmierci znajdujemy się w życiu.

– Aaaargh, co za pieprzone brednie! – wykrzyknął z tyłu jakiś głos. – Nie przywrócisz zmarłych do życia, niech cię cholera, żebyś nie wiem jak pięknie gadał! – Głowy odwracały się wdzięcznie; odgłosy szamotaniny; wymachiwano rękoma; Tristram nie widział zbyt dokładnie.

– Sądzę – przemówił niewzruszenie kaznodzieja – że byłoby lepiej, gdyby przeszkadzający nas opuścił. Jeżeli nie wyjdzie dobrowolnie, może należałoby mu w tym dopomóc.

– Co za cholerne brednie! Kurwisz się z fałszywymi bóstwami, niechaj Bóg przebaczy twojemu podłemu sercu! – Teraz już Tristram dojrzał, co to za jeden. Rozpoznał twarz jak księżyc w pełni, czerwoną od szczerzego gniewu. – Moje własne dzieci – wrzasnął – złożono w ofierze na ołtarzu Baala, którego czcisz jako Boga prawdziwego, niechaj Bóg ci przebaczy! – Wielkie szamocące się ciało, ubrane w workowaty strój wieśniaka, wywlekali zmagający się z nim, zadyszani mężczyźni, przepisowo cofając się tyłem, wykręciwszy mu boleśnie ręce za plecami. – Oby wam Bóg wszystkim przebaczył, bo ja nie przebaczę!

– Przepraszam – wymamrotał Tristram, przepychając się do wyjścia ze stalli. Ktoś położył dłoń na oddalających się ustach jego szwagra, żeby je zatkać. – Bób – dobiegał stłumiony protest. – Beby Bób bas brzybkich bobabał. – Shonny i jego sapiąca eskorta znaleźli się już za zdrzwiami. Tristram szybko przeszedł wzdłuż nawy.

– Wracając do rzeczy – powrócił do rzeczy ksiądz.

## 10

– Więc po prostu – rzekł beznadziejnie Tristram – zabrali ją.

– A potem – głucho podjął Shonny – czekaliśmy i czekali, ale już nie wrócili. A potem następnego dnia dowiedzieliśmy się, co z nimi zrobiono. Och, Boże, Boże. – Uczynił ze swych dłoni wielki, czerwony talerz i chlupnął w niego budyniem swej głowy, szlochając.

– Tak, to straszne – powiedział Tristram. – A czy nie mówili, dokąd ją zabierają? Że jadą z powrotem do Londynu?

– Sam sobie to wyrzucam – rzekła ukryta głowa jego szwagra. – Ufałem Bogu. A to był fałszywy Bóg, któremu ufałem przez tyle długich lat. Żaden dobry Bóg do tego by nie dopuścił, niech mu Bóg przebaczy.

– Wszystko na próżno – westchnął Tristram. – Cała ta podróż na nic. – Jego dłoń trzęsła się na szklance. Siedzieli w sklepiku, gdzie sprzedawano wodę ledwie zakropioną spirtem.

– Mavis była cudowna – rzekł Shonny, podnosząc oczy zalane łzami. – Przyjęła to jak święta, jak anioł. Ale ja się już nie pozbieram, nigdy. Usiłowałem sobie powiedzieć, że Bóg wie, dlaczego to się zdarzyło, że wszystko ma swoją Boską przyczynę. Nawet poszedłem tego ranka na mszę, gotów jak ten Hiob chwalić Pana w porywie mego nieszczęścia. I wtedy zobaczyłem. Zobaczyłem to w tłustej mordzie tego księdza; usłyszałem to w jego tłustym głosie. To fałszywy Bóg ich wszystkich opętał. – Nabrał gwałtownie tchu z dziwnym, rżącym odgłosem, jakby morze toczyło kamyk. Paru spośród pijących (ludzie w znoszonej odzieży, nie obchodzący Wielkanocy) podniosło na niego oczy.

– Możesz mieć jeszcze następne dzieci – rzekł Tristram. – Pozostała ci żona, dom, praca, zdrowie. Ale co ja mam zrobić? Dokąd mam iść, do kogo się zwrócić?

Shonny wybałuszył się na niego jadownicę. Przy ustach miał pianę, podbródek źle ogolony. – Nie odzywaj się do mnie – powiedział. – Ty ze swoimi dziećmi, które chronilem przez tyle miesięcy, narażając życie całej mojej rodziny. Ty i twoje chytne bliźnięta.

– Bliźnięta? – wytrzeszczył się Tristram. – Powiedziałeś: bliźnięta?

– Tymi rękoma – rzekł Shonny, pokazując je światu, ogromne i szponiaste – wydostałem twoje bliźnięta na świat. A teraz powiadam: lepiej, żebym tego nie zrobił. Lepiej, żeby same się wykluły, jak te dzikie zwierzątka. Lepiej byłoby, gdybym je udusił i oddał temu waszemu fałszywemu, żarłocznemu Bogu z wargami ociekającymi krwią, który dłubie sobie w zębach, jak pożarł swój ulubiony, przeklęty posiłek z małych dzieci. Może wtedy nie zabrałby moich dzieci. Może pozwoliliby im wrócić ze szkoły, cało i zdrowo, jak każdego innego dnia, i pozostawiłby je przy życiu. Żywe – wykrzyknął. – Żywe, żywe, żywe.

– Bardzo mi przykro – powiedział Tristram. – Wiesz, jak mi przykro. – Przerwał. – Bliźnięta – rzekł ze zdumieniem. A potem natarczywie: – Mówisz, że dokąd pojechali? Czy mówili, że wracają do Londynu, do mego brata?

– Tak, tak, chyba tak. Chyba coś takiego mówili. Ale jakie to ma znaczenie? Nic już nie ma znaczenia. – Pociągnął smakownicę ze swojej szklanki. – Cały mój świat legł w gruzach – oznajmił. – Muszę go odbudować na nowo, poszukując Boga, w którego mógłbym uwierzyć.

– Och – zawołał Tristram w nagłej irytacji. – Nie użalaj się tak nad sobą. Właśnie tacy jak ty zrobili taki świat, że teraz nie możesz w niego uwierzyć. W tym starym, liberalnym społeczeństwie wszyscy byliśmy względnie bezpieczni.

– Miał na myśli czasy odległe jeszcze o niecały rok. – Głodni, ale bezpieczni. Jak się zabija liberalne społeczeństwo, to się wytwarza próżnię, w którą pakuje się Bóg, a potem już rozpętuje się mordowanie i cudzołóstwo i ludożerstwo. A ty – rzekł Tristram, raptownie przygnębiony – wierzysz, że to słuszne, aby człowiek bez końca grzeszył, bo przez to usprawiedliwiasz swoją wiarę w Jezusa Chrystusa! – gdyż dotarło do niego, że jakikolwiek rząd dojdzie do władzy, on zawsze będzie jego przeciwnikiem.

– To nie tak – powiedział Shonny, zaskakująco rozsądnie. – To wcale nie tak. Bo widzisz, są dwaj Bogowie. Ich się myli, a nam trudno się połapać, który jest właściwy. Jak te bliźnięta – dodał. – Ona je nazwała Derek i Tristram. Myliła ich, kiedy byli goło. Ale już lepsze coś takiego, niż nie mieć żadnego Boga.

– Więc na co się, u diabła, uskarżasz? – warknął Tristram. Co najlepsze z obu światów, jak

zwykle! Kobiety zawsze biorą, co najlepsze, z obu światów.

– Nie uskarżam się – rzekł Shonny z zastraszającą potulnością. – Ja położę ufność w prawdziwym Bogu. On pomści moje nieszczęsne dzieci. – Po czym przyłożył dwie półmaski swych dłoni, brudnych dłoni, do rozszlochanej na nowo twarzy. – A ty zabierz sobie tego drugiego Boga, swojego plugawego Boga.

– Ja nie wierzę w żadnego z nich – powiedziało się Tristramowi. – Jestem liberałem. – Zaszokowany, poprawił się: – Oczywiście nie o to mi chodzi. Miałem na myśli...

– Zostaw mnie z moim nieszczęściem – zawołał Shonny. – Wynoś się i zostaw mnie samego.

Tristram wymamrotał w zakłopotaniu: – Już idę. Najlepiej będzie, jak się zabiorę z powrotem. Podobno znów chodzą pociągi. Podobno uruchomili nawet państwowe linie lotnicze. A więc – powiedział – nazwała ich Tristram i Derek, co? Bardzo sprytnie.

– Masz dwójkę dzieci – odezwał się Shonny, odejmując dłonie od zmętniałych oczu. – A ja żadnego. Już, zabieraj się do nich.

– Tylko że – powiedział Tristram – tylko że nie mam pieniędzy. Ani grosza. Gdybyś mógł mi pożyczyć na przykład pięć gwinei albo dwadzieścia koron, albo coś koło tego...

– Nie dam ci żadnych pieniędzy.

– Tylko pożyczyć. Zwrócę ci, jak tylko dostanę pracę. Przyrzekam, że to długo nie potrwa.

– Nic z tego – odparł Shonny, krzywiąc się brzydko jak dziecko. – Dostyc już dla ciebie zrobiłem, nie? Może nie dostyc?

– No – rzekł zaskoczony Tristram – czy ja wiem. Chyba tak, skoro tak uważasz. W każdym razie jestem ci bardzo wdzięczny. Ale chyba rozumiesz, że muszę dostać się z powrotem do Londynu i chyba nie sposób oczekiwać, że wrócę tak, jak przybyłem, na piechotę i dopraszając się, żeby ktoś mnie podwiózł. Popatrz na mój lewy but. Chciałbym dotrzeć tam jak najszybciej. – Słabiutko uderzył dwiema pięściami w stolik. – Chcę do mojej żony. Czy tego nie rozumiesz?

– Przez całe życie – zauważył posępnie Shonny – tylko dawałem, dawałem i dawałem. Ludzie naciągali mnie. Brali, a potem wyśmiewali mnie za plecami. Już za dużo porozdawałem. Czasu i wysiłku, pieniędzy i miłości. A co za to dostałem? Och, Boże, Boże. – Zachłysł się.

– Bądź rozsądny. To tylko pożyczka. Choćby dwie albo trzy korony. Bądź co bądź jestem twoim szwagrem.

– Dla mnie jesteś niczym. Po prostu mąż siostry mojej żony i tyle. W dodatku okazało się, co za cholerny drań z ciebie, Boże ci przebacz.

– Słuchaj, mnie się to wcale nie podoba. Nie odzywaj się do mnie w ten sposób.

Shonny skrzyżował ramiona, jakby upomniany przez nauczyciela, i zacisnął usta. Po czym oznajmił: – Nic ze mnie nie wydusisz. Poszukaj sobie forsy u kogoś innego. Nigdy nie lubiłem ciebie ani takich jak ty. Ciebie i twojego bezbożnego liberalizmu. W dodatku kręcisz. Robisz dzieci na boczku. Nie powinna za ciebie wychodzić. Zawsze tak uważałem i Mavis mówiła to samo. No już, zejdz mi z oczu.

– Ale z ciebie podły skurwysyn – rzekł Tristram.

– Jestem, jaki jestem – odparł Shonny – tak jak Bóg jest, jaki jest. Ja ci na pewno nie pomogę.

– Jesteś cholernym hipokrytą – rzekł Tristram z czymś na kształt satysfakcji – z twoim fałszywym „Boże zmiłuj się nad nami” i „Chwała Bogu na wysokościach”. Nadęte, pieprzone frazesy religijne, a prawdziwej religii nie masz w sobie ani za grosz.

– Wynoś się – odparł Shonny. – Wyjdz stąd po dobremu. – Łysy kelner przy barze niespokojnie obgryzał paznokcie. – Żeby cię nie musiał wyrzucić.

– Myślałbykto, że masz ten dziobany lokal na własność – rzekł Tristram. – Mam nadzieję, że

kiedyś to sobie przypomnisz. Że popamiętasz, jak mi odmówiłeś pomocy, kiedy była rozpaczliwie potrzebna.

– Jazda, jazda. Idź poszukaj swoich bliźniaków.

– Idę – powiedział Tristram. Wstał i pokrył swój gniew złośliwym uśmiechem. – W każdym razie będziesz musiał zapłacić za spirt – dorzucił. – Za to jedno będziesz musiał zapłacić. – Wydał uczniacki, wulgarny odgłos i wyszedł, nie posiadając się z gniewu. Przystanął na chodniku, zawahał się, po czym zdecydował się skrócić na prawo i ruszając ociężałym krokiem, po raz ostatni zobaczył na odchodnym przez zapaskudzone okno nędznego sklepiku, jak nieszczęsny Shonny ściska w dłoniach swoją głowę, trzęsącą się jak budyń.

## 11

Tristram szedł głodny, zastanawiając się, co dalej robić i wciąż jeszcze trzęsąc się w środku ze wściekłości, po słonecznych, wielkanocnych ulicach Preston. Czy ma stanąć w rynsztoku i żebrać, zawodząc z wyciągniętą ręką? Wiedział, że jak na żebraka jest wystarczająco brudny i obdarty, wychudły, zarośnięty i rozkudłany. Do historii starożytnej albo mitu przeszedł ów nie za bardzo nieszczęśliwy nauczyciel wiedzy społecznej, jakim był niecały rok temu, zadbany, schludny, elokwentny, wracający do domu na pudding z syntemleku przyrządzony przez efektowną żonę, do połyskliwie czarnych wiadomości, obracających się spokojnie na ścianie. W gruncie rzeczy było mu nie najgorzej: w sam raz dosyć jedzenia i pieniędzy, stereoskopowa telewizja na suficie sypialni.

Słumił suche szlochnięcie.

W pobliżu stacji autobusów – czerwonych, jednopoziomowych, wypełniających się pasażerami do Bamber Bridge i Chorley – Tristramowi rozdeły się nozdrza, kiedy wiatr przyniósł ożywczą woń potrawki. Aromat był niewyszukany, taki w guście dobroczynności – zatłuszczony metal i tłuszcz z mięsa, złagodzone za pomocą przypraw – ale jemu ślina pociekła i łykał ją na powrót, idąc tam, gdzie prowadził go węch. W bocznej uliczce buchnęło na niego wonią, cieszącą jak marna komedia, i zobaczył kolejkę złożoną z mężczyzn i kobiet, stojącą pod lokalem o dwóch witrynach, nieprzejrzyste zamalowanych w białe zakrętasy, jak amatorskie naśladownictwo portretu Jamesa Joyce’a, który namalował Brancusi. Metalowa tabliczka ponad drzwiami głosiła bielą na szkarłacie: *Komunalny Ośrodek Żywienia Departamentu Wojny Okręgu Północno-Zachodniego*. Chwała niech będzie armii! Tristram stanął w kolejce takich samych jak on włóczęgów, z niemytymi włosami, w ubraniach wymiętoszonych od snu, z oczyma zaszklonymi od rozczarowania. Jeden nieszczęsny cwaniak ciągle zginał się w pół, jak od ciosu w żołądek, monotonicznie uskarżając się na ból brzucha. Bardzo chuda niewiasta o brudnych, siwych włosach stała wyprostowana w swej żalostnej godności, wyższa ponad tych ludzi, wyższa ponad żebranie, chyba że w roztargnieniu. Bardzo młody mężczyzna ssal rozpaczliwie swoje bezzębne usta. Nagle szturchnął Tristrama łokciem jakiś żartowniś, kupa łachmanów, potężnie cuchnąca starym psem. – Jak tam samopoczucie? – zapytał. A następnie, kiwnąwszy głowę w stronę, z której dobiegał tłusty zapach potrawki: – Kto dostanie gar do wyszkrabania? – Nikt się nie uśmiechnął. Młoda, niezgrabna kobieta z włosami jak sfilcowana wełna odezwała się do zgarbionego i zapadniętego w sobie orientala: – Musiałam zostawić w drodze dzieciaka. Już nie mogłam go dłużej dźwigać. – Nieszczęśni wędrowcy.

Ryzy mężczyzna w mundurze, bez czapki, wzięwszy się pod boki, lecz niewygodnie pochyłony, żeby lepiej uwidocznić potrójne V swoich naszywek, stanął nareszcie w wejściu i przemówił, przyglądając się ze współczuciem kolejce: – Ziemskie szumowiny, odpadki ludzkości. – A potem: – No dobra, wchodźcie. Tylko nie przepychać się. Wystarczy dla wszystkich. Porcja na twarz, jeżeli to

są twarze. Proszę wchodzić. – W kolejce zaczęto się przepychać. W środku, po lewej, trzech mężczyźni w brudnawych, białych strojach kucharskich stali z chochlami przy parujących kotłach potrawy. Po prawej szeregowiec w dużo za dużej kurtce z brzękiem wydawał matowo połyskujące, blaszane miski i łyżki. Co głodniejsi ze stojących w kolejce ujadali na siebie, śliniąc się, kiedy nakładano im porcje, nakrywając je brudnymi łapami, jak ochronną pokrywką, i chwiejnie przechodząc z nimi do uszeregowanych stołów. Tristram jadł ubiegłego dnia, ale zgłodniał od porannej wściekłości. Wybielona sala, prymitywnie funkcjonalna, wypełniła się odgłosami siorbania, pluskiem i drżącym klekotem łyżek. Tristram, jakby oszalały od wonnych oparów, pochłonął swą potrawkę w przeciągu sekund, co tylko zwiększyło uczucie głodu. Jego sąsiad wylizywał swą pustą miskę. Ktoś zjadł swój przydział zbyt żarłocznie i zwymiotował na podłogę. Ktoś inny powiedział: – Co za cholerne marnotrawstwo. – Wyglądało na to, że dolewki nie będzie. Nie było też możliwości, żeby się wymknąć i ponownie stanąć w kolejce: u drzwi czuwał wsparty pod boki sierżant. W rzeczy samej wydawało się, że w ogóle nie będzie stąd wyjścia.

Rozwarły się przeciwległe drzwi, po przekątnej od wejścia, i wmaszerował mężczyzna w mundurze, zaledwie w średnim wieku. W czapce, wybłyszczony, wyszczotkowany, z kaburą, odprasowany, z trzema gwiazdkami kapitana. Dobrodusznie połyskiwały jego przydziałowe okulary w stalowej oprawce. Za nim stał krzepki byczek o dwóch belkach, z klibordem pod pachą. Tristram ze zdziwieniem i nadzieją zobaczył, że kapitan oprócz trzech gwiazdek ma jeszcze szarą torbę, dyskretnie pobrzękującą w marszu. Czyżby pieniądze? Niech Bóg błogosławi tej armii! Sztywno kroczący kapitan obszedł stoły, przyglądając się, zastanawiając, a kapral postępował za nim. – Tobie – przemówił kapitan, a wymowę miał bardzo kulturalną, do przeżuwanego, starszego człowieka z rozczochranymi kudłami – może przydałaby się korona, albo coś koło tego. – Sięgnął do torby i z odcieniem lekkiej pogardy cisnął na stół błyszczącą monetę. Stary wykonał odwieczny gest, przykładając sobie dłoń do czoła. – A ty – odezwał się kapitan do młodego, wygłodniałego faceta, jak na ironię bardzo otluszczonego – mógłbyś zaciągnąć pożyczkę. Z rządowych pieniędzy, nie oprocentowaną, do spłacenia w ciągu sześciu miesięcy. Na przykład dwie gwinee? – Sierżant podsunął tłuszciochowi klibord i powiedział: – Proszę tu podpisać. – Młody człowiek wyznał ze wstydem, że nie umie pisać. – W takim razie postawić krzyżyk – pocieszył go kapral – a potem przez te drzwi – wskazał gestem drzwi, przez które on i oficer weszli. – Aa! – zwrócił się kapitan do Tristrama. – Proszę mi o sobie opowiedzieć. – Twarz miał nadzwyczaj gładką, jak gdyby w armii używano jakichś tajnych żelazek do twarzy; wydawał dziwny zapach przypraw korzennych. TrisOtam opowiedział. – Więc nauczyciel, tak? No, pan nie ma powodu do zmartwień. Na ile się umówimy? Cztery gwinee? Może stargujemy na trzy. – Z szelestem wyciągnął banknoty z torby. Kapral podsunął swój klibord i wyglądało na to, że chce wsadzić długopis Tristramowi w oko. – Tu podpisać – oznajmił. Tristram podpisał niepewną dłonią, bo ścisnął w niej także banknoty. – A teraz przez te drzwi – wskazał kapral.

Chyba nie prowadziły one do wyjścia. Tylko do długiego i szerokiego jak gdyby holu pobielonego i pachnącego klejem, gdzie pewna liczba obdartusów oburzała się na młodego sierżanta o markotnym wyglądzie. – To nic nie da, że na mnie naskakujecie – odpowiadał północnym akcentem, głosem wyteżonym i wysokim. – Dzień w dzień przychodzą tu i naskakują na mnie, jak gdyby to była moja wina, a ja muszę im tłumaczyć, że mnie figus do tego. Nikt was nie zmuszał – tłumaczył każdemu na rozum – żeby zrobił to, co właśnie zrobił. Tak było? Niektórzy, to znaczy starsi, dostali mały prezencik. A pan dostał pożyczkę. Zostanie ona potracona z pańskiego żołdu, tyle a tyle co tydzień. Było nie brać królewskiej kasy. To znaczy gotówki – przetłumaczył, patrząc na Tristrama. – Wtedy nie musiałby pan podpisywać. Wszystko to było dobrowolne. – Wymawiał to jak



rym do *wspólne*: Tristramowi serce poleciało daleko w głąb, a potem znów do gardła, jakby zawieszona na gumce.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał. – Co się dzieje?

Ku swemu zaskoczeniu zobaczył pełną godności damę o siwych włosach, która stała wyprostowana z takim *grand hauteur*, jakby kij połknęła. – Ta kreatura – rzekła – miała czelność powiedzieć, żeśmy się zapisali do wojska. W życiu nie słyszałam czegoś równie głupiego. *Ja* w wojsku. Kobieta w moim wieku i z moją pozycją.

– Śmiem twierdzić – odparł sierżant – że pani się nada. W zasadzie wolą młodsze, ale pani raczej dostanie świetną funkcję w opiece nad żołnierzami. – Tristramowi wyjaśnił, jakby on tu był najmniej rozgarnięty: – Chodzi o pomocniczą służbę kobiet.

– To prawda? – spytał Tristram, walcząc o zachowanie spokoju. Sierżant, wyglądający na przyzwoitego chłopaka, skinął posępnie głową i powiedział:

– Ciągle powtarzam ludziom, żeby niczego nie podpisywali, dopóki nie przeczytają. Na tym dokumencie, który nosi ze sobą kapral Newlands, jest u samej góry napisane, że zgłosiłeś się na ochotnika do służby wojskowej na dwanaście miesięcy. Małym druczkiem, ale kto by zechciał, ten mógł przeczytać.

– Zasłaniał to kciukiem – stwierdził Tristram.

– Ja nie umiem czytać – oświadczył młody tłścioch.

– No, to już twoja strata, nie? – powiedział sierżant. – Nic się nie bój, w wojsku nauczą cię czytać.

– Ależ to nonsens – rzekła siwa dama. – To istny skandal i hańba. Zaraz tam pójde, rzucę im te brudne pieniądze w twarz i powiem bez ogródek, co o nich myślę.

– Tak właśnie trzeba – odrzekł z podziwem sierżant. – Już widzę, jak pani wchodzi do kancelarii, dając im wycisk. Na pewno nieźle sobie pani poradzi. Jak to mówią: stara siekiera bojowa.

– To haniebne. – I ruszyła do drzwi, naprawdę jak ta stara siekiera bojowa. Ostra i nieprzyjemna.

– Ale co się stało, nie odstanie – orzekł filozoficznie sierżant. – Co podpisano, tego nie da się odpisać. Czy to przyzwoicie załatwili, czy podle, już was mają. Ale co to jest dwanaście miesięcy? Mnie ugadali, żebym podpisał na siedem lat. Taki był ze mnie trep. To znaczy głupek – przetłumaczył Tristramowi. – A między nami mówiąc – zwierzył się wszystkim obecnym – ochotnik ma dużo większe szanse na awans. Uuuch, już się do nich dobrała – rzekł, nadstawiając ucha. Ze stołówki było wyraźnie słyhać podniesiony głos siwej niewiasty. – Ta sobie poradzi. – Mówił dalej: – Wkrótce zostanie wprowadzona tak zwana branka z poboru, jak twierdzi kapitan Taylor. Ochotnik znajdzie się w zupełnie innej sytuacji niż ci poborowi. To nawet ma sens.

Tristram zaczął się śmiać. Tuż koło wejścia stało krzesło, na które opadł, żeby móc się lepiej zaśmiewać. – Szeregowy Foxe! – powiedział, płacząc ze śmiechu.

– W tym rzecz – oświadczył z uznaniem sierżant. – To właśnie prawdziwy duch żołnierski. Zawsze się uśmiechaj, powiadam, lepiej się śmiać niż to drugie. No – oznajmił, stając na spocznij i kiwając głową, kiedy wszedł nowy rzut zwerbowanych włóczęgów – teraz jesteście w wojsku. Im bardziej się postaracie, tym lepiej. – Tristram wciąż się zaśmiewał. – Bierzcie z niego przykład.

# CZEŚĆ PIĄTA

## 1

– Tyci pyci bu! – robił Derek Foxe, najpierw do jednego śliniącego się i śmiechającego bliźniaka, a potem do drugiego. – Bu bu bu... bup a dup! – zabuczał do swego małego imiennika, a potem, skrupulatnie bezstronny, wydał te same fatyczne odgłosy do małego Tristrama. Że był zawsze skrupulatnie bezstronny, mogli potwierdzić jego podwładni z Ministerstwa Płodności; nawet i Loosley, chociaż zdegradowany do względnie niższego stopnia służbowego, raczej nie mógłby – jakkolwiek starał się teraz udowodnić, że Derek jest pedałem – uskarżać się na niesprawiedliwość. – Łupu łupu cupu – śmiechutał Derek seryjnie, w duplikacie, dwoma palcami wystukując na bliźniakach. Tymczasem oni, puszczając bańki na podobieństwo ryb, bezpieczni w swoim kojcu, jak to pulchne tłuszcioszki, uczepleni prętów, przebierali nóżkami jak skazańcy w młynie. Jedyne mały Tristram przemówił, niby grom z Upaniszadów: – Da da da. – Ech – powiedział Derek jak najpoważniej – powinniśmy ich mieć więcej, o wiele, wiele więcej.

– Żeby ich posłać do wojska i pod kule? – rzekła Beatrice Joanna. – Mam zastrzeżenia.

– Och, jeśli o to chodzi... – Derek, z założonymi do tyłu rękoma, dał w salonie pokaz kapitańskiego chodzenia po mostku. Następnie dopił kawę. Salon był obszerny; wszystkie pokoje tego mieszkania, wychodzącego na morze, były przestronne. Teraz już nie brakowało przestrzeni ludziom na takich stanowiskach jak Derek, ich żonom czy niby to żonom, ich dzieciom. – Każdy musi ryzykować – oświadczył. – I każda. Właśnie dlatego powinniśmy ich mieć więcej.

– Bzdury – powiedziała Beatrice Joanna. Leżała wyciągnięta na grubej i miękko wyłożonej, bordowej kanapie o wymiarze dwa i pół metra. Przeglądała ostatni numer magazynu mody *Sheek*, złożonego z samych ilustracji. Stwierdziła, że według najnowszej mody paryskiej w dzień się nosi obfite turniury, na wieczór zaś obowiązują śmiałe dekolty; długie suknie chińskiego kroju z Hongkongu mają cztery lubieżne rozcięcia. Seks. Wojna i seks. Bachory i bomby. – Dawniej – zauważyła – wmawiano mi, że przekroczyłam swoją normę. Teraz twoje Ministerstwo oświadcza mi, że jej nie wykonałam. Czysty obłąd.

– Kiedy się już pobierzemy – rzekł Derek – oficjalnie, to może zmienisz zdanie. – Podkradł się z tyłu do kanapy i pocałował ją w karczek, lśniący w bladym słońcu od złotawego puszk. Równocześnie jeden z bliźniaków, chyba mały Tristram, niczym na satyrycznej ścieżce dźwiękowej, wydał ustami odgłos jakby pierdnięcia. – I odtąd – powiedział żartobliwie Derek – będę mógł *naprawdę* mówić o obowiązkach małżonki.

– Długo to jeszcze?

– Jakies sześć miesięcy. Wtedy miną pełne dwa lata od czasu, jak widziałas go po raz ostatni. – Jeszcze raz ucałował ją w rozkoszny karczek. – Ustawowy okres porzucenia.

– Wciąż o nim myślę – powiedziała Beatrice Joanna. – Nic na to nie poradzę. Kilka nocy przyśnił mi się, całkiem wyraźnie, że chodzi po ulicach i woła mnie.

– Sny nic nie znaczą.

– I myślałam o tym, co mówił Shonny, że spotkał go w Preston.

– Tuż przed tym, jak biedaka zamknięto.

– Biedny Shonny. – Beatrice Joanna ogarnęła bliźniaków rozpaczliwie czułym spojrzeniem. Mózg w Shonnym się przekreślił po tym, jak stracił dzieci i Bóg go opuścił. Teraz wygłaszał długie liturgie własnego układu w celi szpitala Winwick pod Warrington, Lancashire, usiłując spożywać konsekrowaną pościel. – Nic na to nie poradzę, ale wciąż to czuję, że on chodzi po całym kraju i

szuka mnie.

– Trzeba było to jakoś załatwić – rzekł Derek. – Czy naprawdę zdawało ci się, że będziesz żyć powietrzem, z dwojgiem dzieci? Nieraz powtarzałem ci, i znów powtarzam, że najbardziej miłosiernym wyjściem jest uznanie Tristrama za dawno nieżyjącego i zjedzonego. Nie ma już Tristrama i kropka. Teraz jesteśmy ty i ja. Przyszłość. – Gdy pochylił się nad nią ze swym niezawodnym uśmiechem, zadbany i gładki, wyglądał jak wcielenie przyszłości. – Na miły Bóg – powiedział, wcale nie zaniepokojony. – Czas na mnie. – Wskazywał mu to cierpliwie na przeciwległej ścianie zegar w kształcie stylizowanego złotego słońca, otoczonego kędziorami świetlistych promyków. – Muszę lecieć – rzekł nie śpiesząc się. I na ucho, jeszcze bardziej niespiesznie: – Chyba nie chciałabyś tego zmienić, co? Jesteś ze mną szczęśliwa, prawda? Powiedz, że jesteś szczęśliwa.

– Och, jestem szczęśliwa. – Ale z bladym uśmiechem. – Tylko że... chciałabym, żeby wszystko było w porządku.

– I jest w porządku. W największym porządku. – Pocałował ją prosto w usta ze smakiem, który wcale nie zapowiadał pożegnania. Jednak powiedział: – Ale już naprawdę muszę lecieć. Czekaj mnie pracowite popołudnie. Będę w domu około szóstej. – Nie zapomniał o bliźniakach, ucałował każdego z nich w puchatą główkę i wydał kilka fatycznych odgłosów. Pomachał z uśmiechem ręką, z tęczką pod pachą, i wyszedł: ministerialny samochód już czekał na dole.

Mniej więcej po trzech minutach Beatrice Joanna rozejrzała się jakby nieco ukradkiem po pokoju i podeszła na palcach do wyłącznika *Dysku Codziennego*, który na swoim trzpieniu obrotowym połyskiwał czernią na ścianie jak naleśnik z lukrecją. Całkiem nie potrafiła samej sobie wyjaśnić tego poczucia jakby winy, że chce ponownie odsłuchać dzisiejsze wiadomości: w końcu *Dysk Codzienny* – będący obecnie jednym z organów prywatnej przedsiębiorczości, słuchowych, audiowizualnych, a nawet (jak *Tydzień w Dotyku*) namacalnych – każdy mógł sobie przesłuchiwać tyle razy, ile tylko zechciał. Jednakże w pniu mózgowym Beatrice Joanny czaiło się jakby wycucie, że w codziennych wiadomościach kryje się obecnie jakaś nieszczerłość, coś chytrego i niewiarygodnego, o czym Derek i tacy jak on doskonale wiedzą (i śmieją się z tego w kułak), ale nie chcą, żeby poznali się na tym ludzie, tacy jak ona. Chciała się przekonać, czy wykryje jakieś pęknięcie w tym nazbyt gładkim tynku, który teraz...

„Oderwanie się Chin od Ruspun i chińska deklaracja, którą wygłosił w Pekinie premier Po Sujin, że zamierzają utworzyć niezależny związek państw, określany w Guoyu jako Dazhongguo, po angielsku Chinspun. Doniesiono już o jego agresywnych zamiarach wobec Ruspun, jak również Enspun, o czym świadczą naloty na Kultuk i Boryzę oraz koncentracja piechoty w Południowym Kantonie. Nasz obserwator z wyspy Midway donosi, że wszystko wskazuje na zamiar anektowania Japonii. W przypadku odsłonięcia zachodniej flanki Enspun...” Beatrice Joanna wyłączyła maniakalnie syntetyczny głos. Toż to zupełny absurd. Gdyby świat rzeczywiście zmierzał do prawdziwej wojny, niewątpliwie mówiono by o startujących samolotach i zanurzających się okrętach wojennych, jak również o maszerujących armiach z prostym, przenośnym uzbrojeniem; rozlegałyby się pogroźki na temat sięgnięcia po te pradawne, ale skuteczne urządzenia nuklearne, mogące unicestwić całe prowincje. A tu nic takiego! Ta zaimprovizowana w ubiegłym roku Armia Brytyjska, zastąpiona obecnie – dla zapewnienia wewnętrznego porządku – przez roztrofną granatową policję, to była wyłącznie piechota z minimalnym wsparciem oddziałów specjalnych; w czasopismach i przekazach telewizyjnych widywano żołnierzy, jak wspinają się na wojskowe rampy – podobno wyjeżdżając na jakieś ćwiczenia na Wyspach Aneks albo dla wykonania policyjnych zadań w rejonach dysydenckich – i podnoszą kciuki do obiektywu, szczerząc po części uźębienie:

wszystko to, co najlepsze z żołnierskiej fortuny męźnych Brytyjczyków.

Beatrice Joanna niemalże przekonała samą siebie, iż była przekonana, któregoś wieczora przed stereo tv w tymże mieszkaniu, że ujrzała znajomą twarz w półcieniu tła, na którym pokazywano w zbliżeniu wesołego żołnierza, podnoszącego kciuk. – Nonsens – stwierdził, rzecz jasna, Derek, wyciągnięty we fioletowym szlafroku. – Gdyby Tristram był w armii, to w rejestracji wojskowej znajdowałoby się jego nazwisko. Zdarza ci się zapominać, że jestem jego bratem i to mnie do czegoś zobowiązuje. Sprawdziłem w rejestracji wojskowej i tam go nie ma. Mówiłem ci już i powtarzam, że najbardziej miłosiernym wyjściem jest uznanie Tristrama za dawno nieżyjącego i zjedzonego.

A jednak...

Nacisnęła elektryczny brzęczyk na ściennym panelu wyłączników i dzwonek; prawie natychmiast wśliznęła się do pokoju wesoła (tak wesoła jak ów żołnierz) brązowa dziewczyna, cała w spazmatycznych pokłonach, ubrana w strój służącej, uszyty z czarnej namiastki jedwabiu. Coś w rodzaju małej, ślicznej orkiestry wielu ras, mająca na imię Jane.

– Jane – poleciła jej Beatrice Joanna – bądź tak dobra i przygotuj bliźnięta do popołudniowego spaceru. – Tak, proszę pani, natychmiast – odrzekła Jane i potoczyła kojec, zaopatrzony w rolki, po dywanowej wykładzinie koloru morskiego, szczebiocąc i robiąc minki do bliźniąt, przestępujących z nogi na nogę.

Beatrice Joanna przeszła do swej sypialni, aby przygotować się do spaceru. Na jej garderobie stała, w idealnym porządku, cała apteczka kremów i maści; jej szafa ścienna była pełna sukienek i kostiumów. Miała służbę, dzieci, przystojnego i robiącego karierę niby męża (wiceministra do spraw koordynacji w Ministerstwie Płodności, o którym mówiło się, że wkrótce będzie ministrem), czyli wszystko, co może dać miłość i co można kupić za pieniądze. Lecz nie uważała się za całkiem szczęśliwą. Przyćmiony film, wyświetlający się w jakiejś salce projekcyjnej, w piwnicach jej mózgu, zamigotał niekiedy sekwencją pokazującą, jak to było. Często określana jako „kwiat” przez Derka (a wcześniej przez Tristrama), gdyby faktycznie była kwiatem, to z rodzaju *Diandria*. Potrzebowała w swoim życiu dwóch męźczyzn i żeby jej dni przyprawiała niewierność.

Otworzyła rzeźbioną szkatułkę z drzewa kamforowego i wyjęła z niej list, który napisała w dniu wczorajszym; pachniał rozkosznie mieszaniną kamfory i drewna santalowego. Przeczytała go po raz siódmy czy ósmy, zanim ostatecznie zdecydowała się, że go wyśle.

Brzmiał on następująco:

„Najdroższy, najdroższy Tristramie, tyle zmian zaszło w tym zwariowanym świecie, tyle dziwnych rzeczy wydarzyło się od czasu naszego nieszczęsnego rozstania, że nie mogę tutaj powiedzieć nic takiego, co miałoby wiele sensu dla któregośkolwiek z nas dwojga, poza tym, że mi Ciebie brakuje, Kocham Cię i tęsknię do Ciebie. Żyję obecnie z Derkiem, ale nie myśl o mnie źle z tego powodu: muszę utrzymywać dom dla Twoich dwóch synów (tak jest, naprawdę wierzę w to, że są Twoi). Może próbowałaś już do mnie napisać i być może – mocno w to wierzę – próbowałaś skontaktować się ze mną, ale wiem, jakie to życie stało się trudne. Twój brat był dla mnie nadzwyczaj dobry i myślę, że naprawdę mnie Kocha, ale nie sądzę, aby kiedykolwiek dotarł do mnie jakiś list, który byś napisał na jego adres. On musi dbać o swoją cenną karierę, a mężczyzna z dziećmi ma większą szansę awansu na Ministra Płodności od takiego, który ich nie ma, przynajmniej tak twierdzi. Pamiętasz chyba, jak każdego dnia, kiedy byliśmy razem, wychodziłam przejść się nad morzem, w pobliżu Siedziby Rządu. I nadal robię to w każde popołudnie, z moimi dwoma synami w dziecięcym wózku, od godziny trzeciej do czwartej. Patrząc na morze codziennie teraz się modlę, aby morze znów mi Ciebie zesłało. Żyję tą nadzieją. Kocham Cię i jeżeli Cię kiedykolwiek zraniłam, to przepraszam. Wróć do swojej zawsze Kochającej Beatki.”

Złożyła to pismo na powrót i umieściła je w wytwornej, subtelnie pachnącej kopercie. Po czym wzięła swój elegancki długopis i zaadresowała kopertę swoim zdecydowanym, męskim charakterem do Sz. P. Mgr Tristrama Foxe, Armia Brytyjska.

Istniała jakaś niewielka szansa; w każdym razie innej nie było.

Co do rejestracji wojskowej, Derek musi być albo nadzwyczaj wpływowym, albo wielkim kłamcą; ona sama, w jakieś ukradkowe popołudnie po obejrzeniu tych wiadomości telewizyjnych, zatelefonowała do Ministerstwa Wojny (jej domowy telefon był podłączony jako wewnętrzny do centrali Ministerstwa) i po niekończącym się odsyłaniu od wydziału do wydziału trafiła wreszcie na szkocki głosik, który stwierdził, że mówi z rejestracji wojskowej, lecz powiadomił ją chłodno, że prywatnym osobom nie udziela się informacji o rozmieszczeniu jednostek wojskowych. Miało to coś wspólnego ze względami bezpieczeństwa. Ale jej nie chodzi, zapewniła Beatrice Joanna, o nic tak szczególnego jak ich lokalizacja; jej pytanie ma charakter raczej fundamentalny, ontologiczny. Na to głos rozmówcy wyłączył się ze stanowczym kliknięciem.

Uśmiechnięty Derek wrócił do domu o szóstej i z uśmiechem zaczął ją wypytywać, po co dzwoniła do rejestracji wojskowej. Czyżby nie wierzyła mu, swojemu jakby mężowi, czyżby mu nie ufała?

Właśnie w tym rzecz: nie wierzyła i nie ufała. Można wybaczyć kłamstwo i niespolegliwość kochankowi, ale nie mężowi, choćby takiemu jakby. Lecz tego mu nie powiedziała. Jednak miłość jego wyglądała na miłość pozbawioną skrupułów, co pochlebiało jej, lecz wołała ten rodzaj miłości u kochanka.

Wyszła więc z bliźniakami w wózku na zimowy, nadmorski blask słońca, z drobną, czarno ubraną nianią, gaworzącą i księżycowo uśmiechającą się do rozgulgotanych chłopczyków w ciepłych sweterkach, i powierzyła list stojącej skrzynie pocztowej, pobielonej na szczycie odchodami mew. Jak gdyby wrzuciła go w butelce do morza, tego ogromnego i niepunktualnego doręczyciela.

## 2

– Sir – charknął sierżant sztabowy Backhouse, straszliwie wykręcając szczękę. – 7388026 sierżant Foxe T. melduje się. Sir. – Tristram wmaszerował wyciągniętym krokiem i zsalutował bez wdzięku. Podpułkownik Williams popatrzył smętnie znad biurka; jego czarniawy adiutant, stojący za nim, obszczerzył się z ubolewaniem.

– Sierżant Foxe, co? – rzekł podpułkownik Williams.

Był to przystojny, zmęczony, siwiejący mężczyzna, w danej chwili ubrany w niezgrabne okulary do czytania. Bijąca od niego aura długoletniej służby, oczywiście, była złudzeniem: wszyscy żołnierze wszystkich nowych armii byli nowicjuszami. Lecz podpułkownik Williams, jak wszyscy wyżsi oficerowie, wywodził się z dawnej, liberalnej policji, swego czasu prawie całkowicie wypartej przez szaraków; był uczonym superintendentem Służb Specjalnych. Teraz powiedział: – Foxe przez *e* na końcu, jak ten od *Księgi męczenników*.

– Sir – odpalił Tristram.

– Otóż – zagaił podpułkownik Williams – jest problem waszych referencji jako sierżanta instruktora.

– Sir.

– Wasze obowiązki są, jak sędzę, dosyć proste i jak stwierdza sierżant instruktor służby kwatermistrzowskiej Bartlett, wypełniał je pan zadowolająco. Na przykład wykonywał pan dobrą robotę w zakresie szkolenia analfabetów. Ponadto uczył pan arytmetyki, pisania raportów,

posługiwania się telefonem, geografii wojskowej i aktualności.

– Sir.

– I właśnie z tymi aktualnościami jest kłopot. Czy tak, Willoughby? – Podniósł oczy na swego dłubiącego w nosie adiutanta, który przerwał dłubanie w nosie i gorliwie przytaknął. – Popatrzmy. Pan bodajże prowadził z żołnierzami pewne dyskusje. Coś na temat: kto jest naszym wrogiem? i: o co się walczy? Zakładam, że pan to potwierdzi.

– Tak jest, Sir. Moim zdaniem żołnierze mają pełne prawo dyskutować o tym, dlaczego są w armii i o co...

– Żołnierz – oznajmił zmęczonym głosem podpułkownik – nie ma prawa do żadnych poglądów. Te są odgórnie ustalone, słusznie czy niesłusznie. Chyba słusznie, skoro są ustalone.

– Ale, Sir – rzekł Tristram – z pewnością powinniśmy wiedzieć, w czym bierzemy udział. Mówi się nam, że jest wojna. Niektórzy z żołnierzy w to nie wierzą. Jestem skłonny zgadzać się z nimi, Sir.

– Ach tak? – rzekł oziębłe podpułkownik Williams. – No, to ja pana uświadomię. Toczą się walki, więc musi być wojna. Może nie ma wojny w dawnym tego słowa znaczeniu, ale sądziłbym, że wojna i walka, w sensie organizacyjnym, w sensie uczestniczących w niej armii, to w gruncie rzeczy synonimy.

– Ale, Sir...

– Nie skończyłem, Foxe, prawda? Jeżeli chodzi o te dwie kwestie, kto i dlaczego w tym uczestniczy – i musi pan to najzwyczajniej przyjąć do wiadomości – to żołnierzy w ogóle nie obchodzi. Wróg to wróg. Wróg to ludzie, z którymi walczymy. Musimy pozostawić do decyzji naszych władz, jaka to będzie konkretnie grupa ludzi. Nie jest to w ogóle sprawa pańska, ani moja, ani szeregowca Bimbusa czy też kaprala Kundelmana. Jasne?

– Ale, Sir...

– Dlaczego walczymy? Dlatego, że jesteśmy żołnierzami. To bardzo proste, nie? O co walczymy? Równie proste. Walczymy w obronie naszego kraju oraz – w szerszym rozumieniu – całego Związku Anglojęzycznego. Przed kim? Nie nasza sprawa. Gdzie? Wszędzie, gdzie zostaniemy wysłani. Mam nadzieję, Foxe, że to całkiem jasne.

– No tak, Sir, ale mnie...

– I bardzo niedobrze, Foxe, że macie w głowach żołnierzom, zachęcając ich do myślenia i zadawania pytań. – Wczytał się, pomrukując, w leżącą przed nim kartkę papieru. – Wydaje mi się, Foxe, że was bardzo interesują wróg, walka i tym podobne?

– Bo ja uważam, Sir...

– Więc damy wam okazję, żeby się z tym bliżej zapoznać. Czy to dobry pomysł, Willoughby? Zgadźcie się, starszy sierżancie? Z dniem dzisiejszym o godzinie 1200 zwalniam was, Foxe, z obowiązków instruktora ze skutkiem natychmiastowym. Będziecie przeniesieni z kompanii dowództwa do jednej z kompanii strzeleckich. Mianowicie do kompanii B, w której, jeżeli się nie mylę, Willoughby, brakuje sierżanta szefa plutonu. Tak jest, Foxe. To się wam przyda, chłopcze.

– Ale, Sir...

– Zasalutować! – wrzasnął sierżant sztabowy Backhouse, dawniej sierżant policji. – W tył zwrot! Biegiem marsz! – Tristram wykonał lewa-prawa-lewa-prawa-lewa za drzwiami, wściekły i zaniepokojony. – Lepiej zgłoś się od razu – doradził sierżant sztabowy, już bardziej koleżeńskim tonem z mesy podoficerskiej.

– Co on miał na myśli – zapytał Tristram – mówiąc o bliższym zapoznaniu się? Do czego on zmierza?

– Chyba to, co powiedział – odrzekł sierżant sztabowy. – Chyba niektórzy już niedługo wyruszą. Tam już nie będzie czasu na uczenie ich abecadła i dwa razy dwa. No to jazda, sierżancie.

Tristram, figura niezbyt żołnierska, pomaszerował do kancelarii kompanii B. Jego buty dzwoniły i krzeszały iskry na metalowym pokładzie. Wyspa Aneks B6, na której się znajdował, była niezbyt obszerną konstrukcją, zakotwiczoną na wschodnim Atlantyku i pierwotnie przeznaczoną do tego, aby pomieścić nadwyżkę ludności; obecnie mieściła się na niej ściśle jedna brygada. Z naturalnego świata widać było jedynie mroźne, zimowe niebo i szare, niemiłe morze, odgradzone ze wszystkich stron poręczą. To nieskończenie rozległe otoczenie sprawiało, że ludzie chętnie zwracali się do wewnątrz, do jałowej dyscypliny, do udupiających ćwiczeń, do ciepłego zaduchu koszar i kancelarii. Tristram wszedł na teren kompanii B, zameldował się u starszego sierżanta, szefa kompanii, głupawego nordyckiego olbrzyma z obwisłą wargą, i został dopuszczony do kapitana Behrensa, dowódcy kompanii B. – Dobrze – stwierdził kapitan Behrens, biały tłścioch o bardzo czarnych włosach i wąsach – wobec tego kompania jest w pełnym składzie. Lećcie zameldować się u pana Dollimore, dowodzącego waszym plutonem. – Tristram zasalutował, omal nie przewrócił się, wykonując w tył zwrot, i poleciał. Odszukał porucznika Dollimore, sympatycznego, młodego człowieka w idiotycznych okularach i z łagodnym trądzikiem różowatym, szkolącego swój pluton w nazwach części karabinu. Tristram wiedział, że owszem, karabin – była taka broń – za czasów tych pradawnych wojen epoki przedatomowej; organizacja, nazewnictwo, procedury, uzbrojenie nowej Armii Brytyjskiej, wszystko to jakby wzięte ze starych książek, starych filmów. Karabin... coś takiego! – Głowica zamka – wskazywał pan Dollimore. – Nie, przepraszam, to jest iglica. Zamek... tu grot iglicy... A to jak się nazywa, kapralu?

– Zaczep spustu, Sir. – Przysadzisty, w średnim wieku facet z dwoma belkami przypatrywał się temu, stojąc na baczność, podpowiadał wykładowcy i pomagał mu, tak jak teraz.

– Melduje się sierżant Foxe, Sir.

Pan Dollimore przyjrzał się z łagodnym zainteresowaniem swoistej wersji salutowania, jaką zaprezentował Tristram, i odpalił mu jej osobliwym allomorfem własnego chowu: krótkie, fircykowate zatrzepotanie palcami u czoła. – Dobrze – powiedział – dobrze, dobrze. – Jego twarz ożywił na chwilę wąły wyraz ulgi. – Nazwy części – wyjaśnił. – Proszę przejąć szkolenie.

Tristram popatrzył na pluton w osłupieniu. Trzydziestu mężczyzn przykucnęło pod barakiem sypialnym, osłaniającym ich od wiatru, szczerząc zęby lub gapiąc się. Większość ich znał; bo większość przychodziła do niego dla elementarnej edukacji; większość nadal nie umiała czytać i pisać. Resztę brygady (Wschodni Atlantyk) stanowiły wcielone do niej zbiry, szumowiny z rogu ulicy, zbrojeńcy seksualni, bełkotliwe pół niemowy, kretyni. Ale jeśli chodzi o nazywanie części karabinu, on i oni byli raczej na tym samym poziomie. – Tak jest, Sir – odparł służbiście Tristram i uchytrzył się: – Kapralu.

– Ta jes, sierż?

– Możecie przejąć i kontynuować szkolenie. – Tristram dołączył do pana Dollimore, który poczłapał w stronę swojej mesy. – Co pan z nimi właściwie robi, Sir?

– Robi z nimi? A co tu można robić? – Pan Dollimore podejrzliwie rozdziawił się do Tristrama. – To znaczy, ustalono tylko tyle, żeby się nauczyli strzelać z tych swoich karabinów, nieprawdaż? Aha, i żeby dbali o zachowanie czystości, oczywiście, na ile to możliwe.

– Co tu się dzieje, Sir? – spytał Tristram cokolwiek ostro.

– Jak to: co się dzieje? Właśnie to się dzieje, co panu powiedziałem. – Obaj maszerowali metalicznie, krzesząc iskry, po odkrytym, zimowym, atlantyckim pokładzie jałowej wyspy, stworzonej przez człowieka.

– Chodziło mi o to – rzekł Tristram, nie tak już niecierpliwie – czy słyszał pan coś o tym, że mamy ruszyć do akcji?

– Do akcji? A przeciw komu? – Pan Dollimore przystanął, aby lepiej przyjrzeć się Tristramowi.

– Przeciwno wrogowi.

– Ach tak – rzekł pan Dollimore tonem, z którego by wynikało, że oprócz wroga byłoby jeszcze mnóstwo innych takich, przeciw którym można by ruszyć do akcji. Tristrama ciarki przeszły od koszmarnego uświadomienia sobie, że pan Dollimore został najwyraźniej spisany na straty; a jeżeli on, to również i jego sierżant plutonowy. I akurat, jako że było południe, z głośników zachrypiało zdarte nagranie, taki Anioł Pański na syntetycznych trąbkach, i pan Dollimore się odezwał: – Prawdę mówiąc, nie pomyślałem o tym. Wydawało mi się, że *właśnie to* ma być jakby akcja. Że wypełniamy tu coś w rodzaju zadań obronnych.

– Może lepiej chodźmy rzucić okiem na tablicę rozkazów – rzekł Tristram. Dyżurny z kancelarii właśnie je wywieszał – jak opuszczone białe flagi poddania się na wicherze Atlantyku – gdy podeszli do prefabrykowanych baraków (w których pobrzękiwały dzwonki maszyn do pisania) dowództwa batalionu. Tristram smętnie pokiwał głową, czytając szybciej niż jego dowódca. – No właśnie. – Odczytujący to z otwartymi ustami pan Dollimore powiedział: – Och, ach, no tak. Co to za słowo? Och, aha. – Otóż stało tam czarno na białym, zimne i ściśle jak sałata, chociaż trudniejsze do strawienia. Przesłany z brygady rozkaz wymarszu: sześciuset oficerów i szeregowych – po dwustu z każdego batalionu – ma się stawić do zaokrętowania nazajutrz o godzinie 0630. – Tak, tak – stwierdził gorliwie pan Dollimore – my również, o, proszę. – Wskazał radośnie palcem, jakby znalazł swe nazwisko w gazecie. – Tutaj: batalion 2 kompania B. – Raptem stanął niezgrabnie na baczność i rzekł: – Dzięki Bogu, co dobrał nas do Swej godziny.

– Co proszę? – zdziwił się Tristram.

– Lecz gdybym zginął, pomyśl tylko tyle – odrzekł pan Dollimore. Sprawiało to wrażenie, jakby jego lektury szkolne ograniczały się do wykazu pierwszych linijek. – Tyś grabił, rzeczy – rzekł – tyś mordował i kres czynił.

– To już bardziej pasuje – zgodził się Tristram. – To już o wiele bardziej pasuje.

### 3

O północy usłyszeli buczenie syreny okrętowej. Wojsko posłano do łóżka o dziesiątej. Dostali kakao i bysiora, przeprowadzono inspekcję karabinów i stóp, uzupełniono braki w umundurowaniu i wyposażeniu, wydano dużą ilość ostrej amunicji. Kiedy jednak trzech żołnierze zostali przypadkowo zastrzeleni, a starszy sierżant szef kompanii dowództwa doznał postrzału w mięsistą część pośladka, wycofano ten przydział jako przedwczesny: żołnierze otrzymają naboje – przeznaczone wyłącznie dla wroga – w obozie przejściowym w porcie wyładunku.

– Ale cóż to za cholerny wróg? – zapytał po raz tysięczny sierżant Lightbody.

Leżał wyciągnięty na wznak, na pryczy ponad głową Tristrama, oparłszy głowę na splecionych dłoniach, przystojny i sardoniczny młodzian ze szczęką Drakuli. Tristram pisał list do żony, siedząc z kolanami owiniętymi w koc. Pewien był, że ona go nie dostanie, Tak jak pewien był, że nie dostała z górą trzydziestu, które już przedtem był napisał, lecz pisanie do niej stało się jakby wygłaszaniem modlitwy o lepsze czasy, o normalność, o zwykłe, przyzwoite wygody własnego domu i miłości. „Jutro ruszamy do akcji. Gdzie? Bóg raczy wiedzieć. Obiecuję myśleć o tobie, jak zawsze. Już niedługo będziemy znów razem, może prędzej, niż myślisz. Twój kochający Tristram.” Po czym wypisał jej imię na taniej kopercie z kantyny i zalepił w niej list; wreszcie nagryzmolił, jak za



każdym razem, takie oto pisemko przewodnie: „Ty świnię, nazywająca się moim bratem, oddaj to mojej żonie, ty zimny, obłudny skurwysynie. Z wieczną nienawiścią twój T.F.” Zewnętrzną kopertę zaadresował: „D. Foxe, Siedziba Rządu, Brighton, Wielki Londyn”. Nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że taki łobuz jak Derek zawsze będzie u władzy, jak to oportunistą w typie wikarego z Bray, niezależnie od tego, kto rządzi. Najprawdopodobniej maczał ręce również w tej wojnie, jeżeli to ma być wojna. Definicja „wroga”, jaką podał dowódca, jest błędna. – Wiesz, co ja myślę? – podjął sierżant Lightbody, gdy Tristram odpowiedział na jego pierwsze pytanie sam sobie i ku własnej satysfakcji, chociaż nie odzywając się. – Ja myślę, że nie ma żadnego wroga. Myślę, że jak się znajdziemy na pokładzie tego transportowca, oni go po prostu zatopią. Myślę, że zrzucą na niego parę bomb i rozwalą nas w drobny mak. Tak sobie myślę.

– Nie ma takich samolotów – odparł Tristram. – Bombowce już nie istnieją. Wyszły z użycia dawno temu.

– Widziałem je w filmach – odrzekł sierżant Lightbody.

– Bardzo starych. Z wojen dwudziestego wieku. Te starożytne wojny były strasznie skomplikowane w szczegółach.

– To rozwalą nas torpedami.

– Znowu przestarzała technika – rzekł Tristram. – Przypominam ci, że nie ma też okrętów wojennych.

– No dobrze – odparł sierżant Lightbody. – W takim razie puszcza gazy trujące. Tak czy inaczej, ale załatwią nas. Nie będziemy mieli szansy oddać ani jednego wystrzału.

– To możliwe – zgodził się Tristram. – Przecież nie będą chcieli niszczyć naszych mundurów i wyposażenia. Ani całego statku. – Wzdrygnął się i zapytał: – Ale co za „oni”? O kim my właściwie mówimy?

– Zdawało mi się, że to oczywiste – rzekł sierżant Lightbody. – Mówiąc „oni” mamy na myśli tych, którzy pasą się wyrabiając okręty, mundury i karabiny. Robią je, niszczą i znowu robią. I tak robią zawsze i zawsze, bez końca. To oni wywołują wojny. Patriotyzm, honor, chwała, obrona wolności: wszystko to jaja. Celem wojny jest to, co służy do prowadzenia wojny. A wróg to *my*.

– Czyj wróg?

– Nasz własny. Popamiętasz moje słowa. My nie dożyjemy, żeby to zobaczyć, ale wchodzimy teraz w epokę niekończącej się wojny: niekończącej się, ponieważ nie będzie ona dotyczyć ludności cywilnej. Ponieważ ta wojna będzie się toczyć bardzo poręcznie, daleko od cywilizacji. A cywile uwielbiają wojnę.

– Ale tylko tak długo – zauważył Tristram – jak długo mogą pozostać cywilami.

– Niektórzy pozostaną nimi. Ci rządzący i ci, którzy robią pieniądze. I oczywiście ich kobiety. Nie mówię o tych biednych sukach, z którymi będziemy walczyć ramię w ramię: oczywiście pod warunkiem, że dadzą nam pożyć, aż znajdziemy się na tamtym brzegu.

– Nie widziałem – rzekł Tristram – od czasu, kiedy się zaciągnąłem, ani jednej kobiety ze służb pomocniczych.

– Pomocniczych? To również jaja. Mają po prostu bataliony kobiece, całe cholerne pułki. Wiem coś o tym: moja siostra z poboru trafiła do takiego. Czasem do mnie pisuje.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł Tristram.

– Według tego, co pisze, one robią prawie że to samo, co my. Właściwie to wszystko z wyjątkiem praktyki w strzelaniu. Tylko patrzeć, jak rzucą bombę też na te biedne suki.

– Czy bardzo nie chciałbyś – zapytał Tristram – być zabity?

– Aż tak bardzo mi nie zależy. Najlepiej, żeby to było z zaskoczenia. Wolałbym nie leżeć w

łóżku, czekając na śmierć. Kiedy się nad tym zastanowić – stwierdził sierżant Lightbody, układając się przytulnie, jak gdyby w trumnie – to wiele przemawia za tym: „Niechaj zginę jak żołnierz.” Życie to tylko wybieranie sobie, kiedy umrzeć. Całe życie to jedno wielkie odwlekanie, ponieważ tak trudno wybrać. Jakaż to ulga, nie być zmuszonym do tego wyboru. – W oddali zaryczał morski transportowiec, jak gdyby szydził z tych banalnych aforyzmów.

– Ja zamierzam przeżyć – rzekł Tristram. – Mam tyle rzeczy, dla których warto żyć. – Transportowiec znowu zaryczał. Nie obudził czterech pozostałych sierżantów na wspólnej kwaterze; były to chamy, skłonne do wykpiwania Tristrama za jego akcent i aspiracje do wyższej kultury, a teraz chrapiące po hucznej nocy, spędzonej w mesie przy spiracie. Sierżant Lightbody więcej się nie odezwał i niebawem też zasnął, lekko i gładko, jak gdyby wykroił sobie smakowitą porcję niepamięci. Tristram jednak spoczywał w obcym łóżku, w obcej sypialni koszarowej, w łóżku, które poprzednio zajmował sierżant Day (wypisany jako zmarły na botulizm), przez Tristrama właśnie zastąpiony. Przez całą noc porykiwał transportowiec, jakby głodny swego ładunku spisanych na straty, nie chcący czekać aż do śniadania, i Tristram słuchał go, przewracając się w brudnych kocach. Niekończąca się wojna. Dało mu to do myślenia. Nie przewidywał takiej możliwości, przynajmniej jeśli prawo cykli historycznych nie utraciło mocy. A może przez tyle lat historycy woleli nie zauważać, że historia toczy się po spirali? może dlatego, że spiralę tak trudno opisać? Łatwiej sfotografować spiralę z góry, łatwiej spłaszczyć sprężynę w taki dwuwymiarowy zwój. Czyżby więc wojna okazywała się jednak tym wielkim rozwiązaniem? Czyżby ci dawni teoretycy w swoim prostactwie mieli słuszność? Wojna jako wielki afrodyzjak, wielkie źródło światowej adrenaliny, odpowiedź na takie rzeczy jak apatia, *spleen*, zniechęcenie, *ennui*, nuda, *Angst*, chandra, melancholia? Sama wojna jako zbiorowy akt seksualny, szczytujący w detumescencji będącej nie tylko metaforyczną śmiercią? I wreszcie wojna jako równoważnik, eliminator i kontroler, jako usprawiedliwienie płodności?

– *War* – chrapał żołnierz w metalowej wnęce. I przewracając się w ciężkim śnie odpowiedział mu implozując hrapnięcia: – *War* – sierżant Bellamy. Na całym świecie, w tejże chwili, miliony niemowląt wydostawały się z brzuchów na powietrze z krzykiem: – *War*. – Tristram ziewnął i jego ziewnięcie zabrzmiało jak: – *War*. – Był strasznie zmęczony, lecz nie mógł zasnąć mimo tej kołysanki, odgrywanej wokół niego na tylu instrumentach: – *War*. – Ale noc nie trwała zbyt długo; arbitralny ranek nastąpił o godzinie 0400 i Tristram był wdzięczny, że nie musi znosić męczarni swych kolegów, innych sierżantów, ze stękaniem powracających do świata i klnących, że chcą wrócić do tej martwoty, podczas gdy syntetyczna trąbka rozrzucała pobudkę po całym obozie.

#### 4

Zaiskrzyło się w nocno-porannym przejściu pod koszarami, kiedy pluton 1 stawał w szeregu, kaszląc, chrząkając, klnąc o półtora metra powyżej iskier. Kapral Haskell strzykał światłem z cienkiej latarki na listę, którą trzymał mu jego sierżant. Tristram, w hełmie i szynelu pradawnego kroju, wyczytywał na wiatr nazwiska:

– Christie.

– Ta jes.

– Crump.

– Pierdol się.

– Gashen. Howell. Mackay. Muir. Talbot. – Kilku odpowiedziało, niektórzy świniąc. – Policzyć i tyle – powiedział Tristram. Kapral Haskell zaczął oświetlać wąskim promieniem swej latarki po

trzy twarze, seryjnie ukazując same odcięte maski, okropne widma w czerni Atlantyku. – Dwudziestu dziewięciu, sierżancie – zameldował kapral Haskell. – O’Shaughnessy dostał tej nocy w czapę.

– Pluton czność – zaproponował Tristram. – Trójkami w prawo. Na lewo marsz. – Z grubsza wykonano ten ogólnikowy rozkaz. Pluton odskrzył, wykonując zwrot na lewo, zwrot na prawo, stanął na niewłaściwej nodze przy swojej kompanii. Pozostałe plutony doszły rozmaicie, dowlokły się, z ogniem u pięt, obszczekiwane, i dowódcy plutonów wystąpili, aby zająć swe miejsca. Wreszcie zjawił się kapitan Behrens, jak mlecznobiałe widmo w oficerskim deszczowcu, aby pomaszerować z kompanią na plac defiladowy batalionu. Tu w blasku łukowych lamp, jak w tatuażu, kapelan batalionowy odprawił mszę, ziewając i trzęsąc się, kiedy wybijał swe pokłony przy ołtarzu pod baldachimem. Był już chleb do transsubstancjacji (z rekordowych żniw ubiegłego roku), ale wina jeszcze nie było; w kielichu zastąpił je spirt o smaku czarnych porzeczek. Kapelan, długi facet o nieszczęśliwym wyglądzie, pobłogosławił wojsko i jego sprawę; niektórzy z żołnierzy szyderczo pobłogosławili go wzajemnie.

Nastąpiło śniadanie i przy wtórze ciamkania i siorbania komendant wygłosił przez głośniki mowę pożegnalną.

– Idziecie do walki z wrogiem, podłym i bezwzględny wcieleniem zła, aby bronić szlachetnej sprawy. Wiem, że okryjecie się sła się sła się sła się sła chrrrrk wracajcie żywi, a więc mówię wam z Bogiem i niechaj całe szczęście tego świata wam towarzyszy. – Jaka szkoda, pomyślał Tristram, pijąc namiastkę herbaty w mesie dla sierżantów, jaka szkoda, że pęknięta płyta sprawiła, iż ten człowiek – kto wie, czy nie mówiący ze szczerym przekonaniem – brzmiał tak cynicznie. Jakiś sierżant ze Swansea, z Prowincji Zachodniej, wstał przy stole i zaśpiewał pięknym tenorem: – Okryjcie się sła, się sła, się sła-aaa-aa.

O godzinie 0600 zmobilizowana część batalionu, pobrawszy nie wykorzystaną część dziennego prowiantu, odmaszerowała – z plecakami, w pasach, z manierkami, w hełmach, z karabinami, z bezpiecznie pustymi (oprócz oficerów i podoficerów) ładownicami – na nabrzeże. Transportowiec już czekał, skąpo oświetlony, ale ze świecą się nazwą: *T3 (ATL) W.G. Robinson London*. Zapach morza, ropy, brudnych kambuzów, cywilni marynarze w swetrach z golfem pluający z górnego pokładu; nagle wrzeszczący kuchcik, wylewający za burtę pomyje; żałosne i bezcelowe buczenie syreny. Tristram chłonał tę scenę, kiedy stali, czekając na zaokrętowanie, cały dramat: ostre cienie, paki ładunku, suwnice, zabiegana służba załadunkowa, żołnierze już zabierający się do swych racji żywnościowych (bysior włożony w pajdy chleba) na stojąco albo w przykucnięciu. Pan Dollimore, na uboczu od reszty młodszych oficerów, spoglądający raz po raz w czarne niebo jako źródło ewentualnej sławy. Trójdzielny pobór skompletował się: jeszcze więcej żołnierzy wmaszerowało przy wtórze pierdzenia na wargach, okrzyków zachęty i palców w literę V podnoszonych w sensie: kij ci w oko. Pojawił się major brygadier, ubrany jak na lekcję jazdy konnej, salutując i odbierając saluty. Z ust mówiących wychodziły dymki oddechu, jak przy dialogu w komiksach. Wciąż pompowano ropę z węża, którego wylot utkwiał w piersi statku jak żądło osy. Starszy sierżant sztabowy z innego batalionu zdjął hełm, aby podrapać się w sprośnie łysą głowę. Dwaj szeregowcy okładali się pięściami, pokrzykując, w wesołej walce na niby. Wysoki kapitan z irytacją tarł się w kroczu. Syrena okrętowa buczała. Młodszemu kapralowi poszła krew z nosa. Zadaszony trap nagle rozjarzył się pięknie lampkami jak choinka. Kilku żołnierzy jęknęło. Z głośnika rozległo się stłumione, odnosowione: – Baczdność. Uwaga. Przysteppujeby do zaokrettowania. Wchodzić w kolejności bataliodów według ich duberacji. – Oficerowie wykrzykiwali i błagali, stojąc na kołyszącym się tle okrętu. Tristram skinął na kaprala Haskella. We dwóch uszeregowali swój pluton, klnący i podśmiewający się, pod kątem prostym do burty. Pan Dollimore, wyrwany ze snów o

dalekiej Anglii i chwale jej imienia, liczył ich z pomocą warg i palców. Najpierw na pokład weszło sześć plutonów z pierwszego batalionu; jednemu z żołnierzy ku powszechnej radości karabin wypadł za burtę; jakiś niezdarny półgłówek potknął się, omal nie przewracając przed sobą całego rzędu kolegów, jak w dominie. Na ogół jednak zaokrętowanie przebiegało sprawnie. Teraz drugi batalion z plutonem pierwszym na czele. Tristram odprowadził swych ludzi do międzypokładzia, zaopatrzonego w haki do zawieszania hamaków (które miano później wydawać) i w przyśrubowane stoły; buczała klimatyzacja, pompująca do środka chłodne powietrze, mimo to grodzie pociły się. – Nie zamierzam spać w takiej kurwie – oświadczył Talbot, dowiedziawszy się o hamakach. – Wolę przespać się na podłodze.

Tristram poszedł szukać własnej kwatery.

– O jedno się założę – rzekł sierżant Lightbody, zdejmując plecak – mianowicie, że oni zagwożdżą luki, czy jak to się nazywa po marynarsku. Przekonasz się. Nie dadzą nam wyjść na pokład. Na Boga czy Doga, szczury w pułapce! – Położył się, jakby ogromnie zadowolony, na dolnej koi, niczym na płytce tacy. Z kieszeni na udzie swego starodawnego munduru polowego wydobyl podniszczoną książkę. – Rabelais – wyjaśnił. – Słyszałeś o tym starożytnym pisarzu? *Je m'en vais chercher un grand peut-etre*. Tak powiedział na łożu śmierci. „Idę szukać wielkiego być może.” Ja również. I my wszyscy. „Spuścić kurtynę, farsa się skończyła.” Jak również on powiedział.

– To po francusku, prawda?

– Po francusku. W jednym z martwych języków.

Tristram z westchnieniem wspiął się na górną koję. Inni sierżanci – twardsi, a może głupszy – zabierali się już do gry w karty; jedna grupa nawet zaczęła się kłócić o jakoby fałszywe rozdanie. – *Vogue la galere!* – rozległ się głos sierżanta Lightbody. Okręt nie od razu posłuchał, ale za jakieś pół godziny usłyszeli szczękaninę, towarzyszącą odbijaniu, i niedługo po tym równe dudnienie maszyn, jakby rejestrów organowych wysokości dwudziestu metrów. Nikomu nie pozwolono wyjść na pokład, jak przepowiedział sierżant Lightbody.

## 5

– Kiedy będzie żarcie, panie sierżancie?

– Dziś już nie będzie żarcia – wyjaśniał cierpliwie Tristram. – Przypominam, że dostaliście racje żywnościowe. Ale macie wysłać kogoś do kuchni okrętowej po kakao.

– Już to zjadłem – rzekł Howell. – Kiedy czekaliśmy, żeby wejść na pokład. Co za pieprzone oszustwo. Jesteśmy kurwa na wpół zagłodzeni i kurwa upierdoleni, i kurwa wysyłają nas, żeby do nas kurwa strzelano.

– Wysyłają nas do walki z wrogiem – rzekł Tristram. – My też będziemy mieli szansę postrzelać, nie ma obawy. – Dużą część tego zagwożdżonego poranka spędził na czyszczeniu swego pistoletu, całkiem pięknie wykonanej broni, której – licząc na to, że odsłuży swój czas jako pokojowy instruktor – w ogóle nie spodziewał się użyć. Wyobrażał sobie ten wyraz zaskoczenia, z jakim ktoś przewróciłby się, zastrzelony z niej; wyobrażał sobie twarz eksplodującą barwnie dżemem śliwkowym, miazgę z jej rysów w wyrazie zaskoczenia czy jakiegokolwiek innej emocji; wyobrażał sobie, jak on sam, ze sztucznym uzębieniem i w szklach kontaktowych i tak dalej, nagle okazuje się człowiekiem i spełnia ludzki czyn zabicia człowieka. Zamknął oczy i poczuł w myśli swój palec na spuście pistoletu, jak łagodnie naciska; a zaskoczona twarz przed nim była twarzą Derka; to Derek w tym ładnym, pojedynczym trzaśnięciu zamienił się w budyń z dżemem, umieszczony na stylowym żakiecie. Tristram otworzył oczy i wtedy raptem uświadomił sobie, jak go

widzą jego żołnierze: zajadły, z oczyma w szparki i szczerzący się w morderczym uśmiechu, przykład i wzór.

Tymczasem żołnierze byli niespokojni, rozdrażnieni, znudzeni, skłonni do popadania w zadumę, wcale nie w nastroju do krwawych rojeń. Porozsiadali się, z podbródkiem w dłoniach, z łokciami na kolanach, z oczyma zaszklonymi od przywidzeń. Podawali sobie z rąk do rąk fotografie, a któryś grał na organkach, najbardziej smętnym z instrumentów. Śpiewali:

*Wrócimy do domu,  
Do swojego domu  
W styczniu, w maju albo czerwcu.  
Przyjdzie na to pora,  
Z rana czy z wieczora,  
Tylko miej nadzieję w sercu.*

Tristram, znowu na swojej koi, pogrążony w zadumie, poczuł przenikający go dreszcz, kiedy słuchał tej smutnej piosenki. Wydało mu się, jakby nagle przeniesiono go w czasy i miejsca, gdzie nigdy nie był, do niewymownie starożytnego świata z ksiązek i filmów. Kitchener, *napoo*, Bottomley, ciężka artyleria i czołgi, pelotki, Zeppelin, Bing Boys... takie słowa pełne zapachu, pełne dręczących wspomnień i skojarzeń, nakładały mu się na piosenkę jak niezależny sopran.

*Czekaj więc powrotu  
W furtce od ogrodu,  
Aż mój statek się wynurzy z fali.  
Bo gdy teraz wrócę,  
Już cię nie porzucę,  
Byśmy więcej się nie rozstawali.*

Leżał jak sparaliżowany, ciężko dysząc. To nie to, co dawni autorzy *science fiction* nazywali przesunięciem czasu. To naprawdę film, naprawdę opowieść, w które zostali wciągnięci. Wszystko fikcja, oni zaś są postaciami z czyjegoś snu.

*On powróci, my wrócimy,  
Ja do domu wrócę.*

Wyskoczył z koi. Potrząsnął sierżantem Lightbody. – Musimy się stąd wydostać – powiedział dysząc. – Tu dzieje się coś nie tak, jak powinno. Tu dzieje się coś złego.

– Właśnie to, co ciągle usiłowałem ci wytłumaczyć – łagodnie odrzekł sierżant Lightbody. – Ale nic na to nie poradzimy.

– Och, przymknijcie się – zawołał któryś sierżant, usiłując zasnąć, bo wszystek czas na morzu był taki sam.

– Nie rozumiesz – mówił natarczywie Tristram, ciągle nim potrząsając. – To coś złego, bo niepotrzebne. Jeżeli chcą nas zabić, to dlaczego po prostu nie zabiją nas, tu i teraz? Dlaczego nie zrobili tego na B6? Bo im nie o to chodzi. Oni chcą, żebyśmy ulegli złudzeniu...

– Złudzeniu, że mamy coś do wyboru – rzekł sierżant Lightbody. – Teraz już zaczynam się z tobą zgadzać. Myślę, że to złudzenie okaże się dosyć przewlekłe. Mam nadzieję, że nie zanadto.

– Ale po co, dlaczego?

– Może dlatego, że nasz obecny rząd pragnie, aby wszyscy mieli złudzenie wolnej woli.

– Sądzisz, że ten okręt się naprawdę porusza? – Tristram zaczął nasłuchiwać. Maszyny okrętowe nadal rozlegały się jak organy, przyjemne dla brzucha jak ciepły okład, lecz nie sposób odróżnić, czy...

– Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi.

Wszedł okrętowy sierżant dyżurny, pryszczaty młodzian o końskich zębach i szyi jak poskręcane kable. Był w czapce i opasce z literami SOS. – Co się tam dzieje na górze? – spytał Tristram.

– Skąd mam wiedzieć? Mam powyżej gardła pieprzenia się z tą bandą. – Zanurzył dłoń w kieszeni na udzie. – Powinienem być kapralem od doręczania poczty – zauważył. Przetasował listy. Skąd listy? – Mam kurczę za dużo tych spraw na głowie. Ten komendant od wojska to istny sukinsyn. Proszę – rzucił paczkę listów na środek stołu karcianego.

– Skąd je wzięłeś? – zmarszczył się zdziwiony sierżant Lightbody.

– Z kancelarii okrętowej. Chyba helikopter je zrzucił. – Bałagan i przepychanka. Jeden z graczy jęknął: – Akurat teraz, kiedy poszła mi taka dziobanie dobra karta.

Jeden był do niego, do Tristrama. Pierwszy, dokładnie pierwszy, absolutnie, dosłownie, cholernie pierwszy list od czasu, jak się zaciągnął. Czyżby i to było złowróżbne, także część filmu? Znał ten charakter pisma; serce w nim zatańczyło. Położył się na koi, całkiem osłabły i roztrzęsiony, spocony, aby rozerwać kopertę nieprzytomnym palcem. Tak, tak, tak, tak. To ona, od niej, od jego miłości: zapach drewna santalowego i kamforowego.

„Najdroższy, najdroższy Tristramie, tyle zmian zaszło w tym zwariowanym świecie, tyle dziwnych rzeczy wydarzyło się od czasu naszego nieszczęsnego rozstania, że nie mogę tutaj powiedzieć nic poza tym, że mi ciebie brakuje, kocham cię i tęsknię do ciebie...” Cztery razy przeczytał ten list, a potem jak gdyby stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, stwierdził, że nadal kurczowo ściska go w palcach. – „Codziennie się modlę, aby morze znów mi ciebie zesłało. Kocham cię i jeżeli cię kiedykolwiek zraniłam, to przepraszam. Wróć do swojej...” – Tak, tak, tak, tak. Będzie żył. Będzie. Nie dostaną go. Zsunął się rozdygotany z koi na podłogę, ściskając list, jakby to była tygodniowa wypłata. Po czym bewstydnie ukląkł, zamknął oczy i złożył dłonie. Sierżant Lightbody przyglądał mu się wytrzeszczonymi oczyma. Jeden z karciarzy odezwał się: – Skurwel poszedł na rozmówkę z komendantem – i pośpiesznie a sprawnie rozdał karty.

## 6

Jeszcze trzy dni w łonie statku, wciąż to elektryczne światło, dudnienie maszyn, pocące się grodzie, szum wentylatorów. Na śniadanie jaja na twardo, na obiad pajdy chleba z bysiorem, na podwieczorek ciasto, na kolację kakao i ser, obstrukcja (absorbująca ich całymi dniami, coś nowego) jako główne problemy dla wojska. A potem, w senne popołudnie, z góry dobiegło buczenie i z bardzo daleka bucząca odpowiedź, ciężki zgrzyt odwijającego się łańcucha kotwicznego długości półtora kilometra i w megafonach głos sierżanta ze sztabu pułku: – Wyokrętowanie o 1700, podwieczorek o 1600, apel na pokładach zakwaterowania w ekwipunku marszowym o 1630.

– Słyszysz te odgłosy? – zapytał sierżant Lightbody, ciężko marszcząc się w stronę swego nadstawionego lewego ucha.

– Czyżby działa?

– Na to wygląda.

– Tak. – Tristramowi przeleciały spiralnie przez mózg strzępki starej piosenki, jak dym z

jakiegoś zapomnianego źródła: „Byliśmy w Loos, kiedy wyście się spili tym, czego nikt nie zna prócz tych, co tam byli.” – (Co za Loos, gdzie to jest i co tam robili?) „Zabierzcie mnie z powrotem do kochanej Blighty, prosto na pociąg do...” (Blighty to chyba określenie rany, która powodowała ewakuację do kraju, nieprawdaż? Taka rana przyświecała im jako coś pożądanego, Anglia również, więc Anglia i rana utożsamiały się. Tragiczny bywa los człowieka.) Żołnierze z jego plutonu nucili posepnie, jakby w sentymentalnej powtórcie:

*Bo gdy teraz wrócę,  
Już cię nie porzucę,  
Byśmy więcej się nie rozstawali.*

Tristram przeżuwał i przeżuwał suchy placek z ziarnem, który dano im na podwieczorek; omal nie przyszło mu wpychać sobie tej piguły palcem do gardła. Po jedzeniu nałożył szynel zapięty z przodu na szereg metalowych guzików, co nadało mu wygląd człowieka narysowanego przez małe dziecko, i płaski hełm jak odwrócona kapiółka dla ptaków. Założył też plecak i chlebak; przypiął sobie ładownice i kliknął z pistoletu. Po czym, żołnierz jak się patrzy, był gotów dla swego plutonu i pana Dollimore. Kiedy wszedł do ich mesy, zastał już pana Dollimore, mówiącego: – Stary kraj, który tak kochamy. Zrobimy dla niego wszystko, co, chłopaki? – Oczy mu świeciły zza okularów, na czoło wystąpił pot, jak na grodziach. Pluton z zażenowaniem odwracał oczy.

Tristram nagle poczuł, że ich ogromnie kocha.

Wdarło się lodowate morskie powietrze: otwarto luki. Okrętowy sierżant sztabu pułkowego zaczął przez głośniki obojętnie podawać kolejność wyokrętowania. Tristramowi zostało trochę czasu, żeby się wytarabanić na pokład. Ciemność, gdzieniegdzie jakaś lampa, liny, cumy, spluwający marynarze w swetrach, dojmujące zimno, od lądu grzmoty i huki, błyski wybuchów. – Gdzie jesteśmy? – zapytał Tristram marynarza o płaskiej twarzy. Marynarz potrząsnął głową i wyjaśnił, że nie mówi po angielsku: – *Yingguo hua wo bu dong*. – Chińszczyzna. Morze syczało i uderzało z szumem, w języku obcego morza. Obcego? Czyżby.

Pluton za plutonem drobił po stromej rampie w swoich ciężkich buciorach. Mroczne nabrzeże cuchnęło ropą naftową. Lamp niewiele, jak gdyby obowiązywały jakieś zmodyfikowane przepisy o zaciemnieniu. Oficerowie służby kolejowej biegali z klibordami. Żandarmi przechadzali się po dwóch. Major z czerwoną naszywką i fałszywie arystokratyczną wymową śmiał się grubo, klepiąc się po boku skórzaną pałką. Pan Dollimore oraz inni młodszy oficerowie zostali wezwani na krótką naradę pod jakimiś szopami. W głębi lądu grzmot ciężkiej artylerii, wizg pocisków, błyskająca poświata, jakby z wojennego filmu. Nieznajomy kapitan z podkreconymi na końcach wąsami, gestykulując, przemawiał do pana Dollimore, stojącego z otwartymi ustami, oraz do jego towarzyszy. A gdzie kapitanowie ich własnej brygady? Tristrama niepokoiło, że nie widzi żadnego oficera z tej brygady w randze powyżej porucznika. A więc kapitan Behrens odprowadził tylko swoją kompanię na statek. Pozostali zatem jedynie porucznicy i niższe rangi, których można spisać na straty. Wrócił pan Dollimore i oznajmił, nieco zdyszany, że mają pomaszerować półtora kilometra w głąb lądu, do głównego obozu.

I pomaszerowali, prowadzeni przez obcego kapitana, pluton za plutonem. Żołnierze śpiewali z cicha, jak to nocą:

*Wrócimy do domu,  
Do swojego domu*

*W styczniu, w maju albo czerwcu.*

*Przyjdzie na to pora,*

*Z rana czy z wieczora...*

Wczesny bezksiężycowy wieczór. W rozbłyskach ukazywały się z obu stron metalicznej drogi oskubane drzewa jak sceniczne wycinanki. Kraj bez żywopłotów i gospodarstw. Ale kapral Haskell powiedział: – Znam to miejsce. Przysięgam. Coś takiego w powietrzu. Jakaś miękkość. Kerry albo Clare, albo Galway. W czasach pokoju zjeździłem całe to zachodnie wybrzeże – dodał niemal przepraszająco. – Kupując i sprzedając, no wiecie. Znam tę część Irlandii jak własną kieszeń. Taka deszczowa miękkość – powiedział – rozumiecie, o co mi chodzi? Więc to z Irusami będziemy walczyć. No no. W bójce to istne diabły. Ale potem nie mają pretensji. Rozwałą ci głowę i zalepią.

Dochodząc do obozu, maszerowali na baczność. Otoczony drutem kolczastym, chwiejna brama w betonowych słupach, ze zgrzytem otwarta przez wartownika. Oświetlone baraki. Prawie żadnego ruchu. Jeden człowiek przeszedł śpiewając i balansując ciastkami na kubkach z herbatą. Posępny, zgłuszony brzęk, z jakim nakrywano do stołu w szopie z napisem MESA SIERŻANTÓW, odór smażenia na niedostatecznym rozgrzanym tłuszczu. Zatrzymano poborowych; kierowano ich, pluton za plutonem, do przydzielonych im koszar pod wodzą młodszych (nie kryjących swej chucpy jak magazynierzy) kapralów kategorii C3 w tenisówkach; sierżantów zaprowadzono do kwater bez żadnych wygód: goła czerwona żarówka na suficie, jak to w obozie przejściowym; zakurzone biszkopty z wyłazającym kapokiem jako posłanie, bez łóżek, bez dodatkowych koców; brudny wyziębły piec. Ich przewodnikiem był kompanijny sierżant kwatermistrz. – Gdzie jesteśmy? – zapytał Tristram. – W obozie głównym 222. – Tak, wiemy o tym, ale gdzie?

Tamten w odpowiedzi cmoknął tylko zębami i odszedł.

– Posłuchaj – rzekł sierżant Lightbody, stojący przy drzwiach obok Tristrama. – Nie słyszysz w tym łomocie czegoś dziwnego?

– Tyle różnego hałasu.

– Wiem, ale posłuchaj. Z tamtej strony. Dada *ryms*, dada *ryms*, dada *ryms*. Czy odróżniasz?

– Chyba tak.

– Dada *ryms*, dada *ryms*. Co ci to przypomina?

– Jakiś bardzo regularny rytm, prawda? Już rozumiem, o co ci chodzi: *zbyt* regularny.

– Otóż to. Czy nie przypomina ci to pożegnalnej mowy komendanta?

– O mój Boże – powiedział Tristram, na nowo zaszokowany. – Pęknięta płyta gramofonowa. Czy to możliwe?

– Jak najbardziej. Potężne wzmacniacze. Błyski magnezyj. Wojna elektroniczna, wojna gramofonowa. A wrogowie, ci nieszczęśnicy, widzą i słyszą to samo.

– Musimy się stąd wydostać – wzdrygnął się Tristram.

– Gadanie. Jesteś tak samo w pułapce, jak byłeś na statku. Obóz otoczony drutami pod napięciem, wartownik pouczony, że ma strzelać bez ostrzeżenia. Musimy to jakoś przetrzymać.

Jednak podeszli razem do ogrodzenia z drutu, wysokiego na cztery metry. Solidna robótka. Tristram poszperał po wilgotnej ziemi smużką światła ze służbowej latarki. – Popatrz – powiedział. W krążku światła leżał trupek wróbla, zwęglony jakby na ruszcie. I zaraz podszedł do nich młodszy kapral, podobny do królika, bez czapki, w mundurze rozpiętym pod szyją, machając pustym kubkiem po herbacie. – Nie podchodź do tego, chłopie – odezwał się z arogancją magazyniera. – To elektryczne. Mnóstwo woltów. Spaliłoby cię na żużel.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał sierżant Lightbody.



– Obóz główny 222.

– Och, na Boga – zawołał Tristram. – Ale *gdzie!*

~ To nie ma nic do rzeczy – odparł młodszy kapral z bystrością godną jego pojedynczej belki. –

*Gdzie*, to nie ma znaczenia. Jakiś kawałek kraju i tyle. – Usłyszeli na drodze za obozem nasilający się warkot silników. Przejechała trzytonowa ciężarówka z włączonymi na całość reflektorami, podskakując, w kierunku wybrzeża, za nią druga i trzecia, cały konwój z dziesięciu wozów. Młodszy kapral stał na baczność, dopóki nie znikło ostatnie tylne światło. – Zabici – rzekł ze spokojną satysfakcją. – Całe ciężarówki trupów. I pomyśleć, że jeszcze dwie noce temu niektórzy z nich byli tutaj, przechadzali się przed kolacją, tak jak wy, i gawędzili ze mną całkiem tak samo jak wy. – Potrzęsnał głową z udawanym smutkiem. Dalekie nagranie wciąż dudniło: *dada ryms, dada ryms.*

## 7

Następnego ranka, zaraz po mszy, powiedziano im, że jeszcze tegoż wieczora wyruszą na front, bo „szukuje się” coś poważnego. Perspektywa ta sprawiła, że pan Dollimore aż się rozpromienił z radości. – Zagrajcie, trąbki, na cześć tych, co giną! – zacytował nietaktownie do swego plutonu.

– Zdaje się, że pan ma dosyć silne pragnienie śmierci – zauważył Tristram, czyszcząc pistolet.

– Co takiego? Co? – Pan Dollimore jakby oderwał się od swego indeksu pierwszych linijek. –

My przeżyjemy – odparł. – A Szwab dostanie, co mu się należy.

– Szwab?

– Czyli wróg. To synonim wroga. Na moim szkoleniu oficerskim – wyjaśnił pan Dollimore – co wieczór oglądaliśmy filmy. I zawsze były to Szwaby. Nie, skłamałem. Czasami nie Szwaby, tylko Fryce. I od czasu do czasu Szkopy.

– Aha. Mielście też poezję wojenną?

– Rano w każdą sobotę. Po przerwie. Kapitan Auden-Isherwood mówił, że to wzmacnia nasze morale. Była to jedna z moich ulubionych lekcji.

– Rozumiem.

Chłodny i suchy dzień z wiatrem niosącym kurzawę. Druty kolczaste pod wysokim napięciem, tablice Departamentu Wojny, jak gdyby wypalona ziemia za ogrodzeniem, równie przygnębiająca jak ten działający na wątrobę Atlantyk wokół B6. Wciąż jeszcze rozlegały się odległe huki i grzmoty – spektakl trwający przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawdopodobnie na trzy zmiany dysk-dżokejów w randze młodszego kaprala – ale bez ognistego nieba. W południe starożytny samolot – skrzydła na linkach i zastrzałach, otwarty kokpit, machający ręką lotnik w goglach – zakrążył nad obozem i odleciał. – Jeden z naszych – przemówił do swego plutonu pan Dollimore. – Śmiałek z Królewskiego Korpusu Lotniczego. – Obiad z bysiora i odtworzonych warzyw liofilizowanych; parę godzin na pryczach z taśm rozpiętych na ramie; podwieczorek z pasty rybnej i Prywatnej Zapiekanek Owocowej Arbuckle. I wreszcie, kiedy wrak słońca chylił się do morza – jak niebiańska patelnia jajeczniczy – nastąpiło pobranie amunicji z magazynów kwatermistrzostwa, jak również po jednej puszcze bysiora na głowę i po szarej pajdzie pszennego chleba. Puszka bysiora miała napis po chińsku, a jego kluczowe słowa tak wyglądały:



Tristram popatrzył na nie i obszczerzył się; drugie z tych słów, rozwidlone – czyżby więc dla

Chińczyków istota człowieka polegała na rozwidleniu? – byle dureń potrafiłby odczytać, gdyby miał siostrę zatrudnioną w Chinach. A nawiasem mówiąc, co się z nią stało? I z jego bratem w Ameryce? W ciągu jedenastu miesięcy otrzymał jeden list, tylko jeden, od jednej z drogich mu osób, ale za to najdroższej. Poklepał się po kieszeni na piersiach, gdzie spoczywał bezpiecznie ów list. *Shu ren*, co? Łacińska transliteracja u dołu etykiety nie pozostawiała wątpliwości. Soczysty, miękki, dobrze ugotowany człowiek.

W zapadającym zmroku pomaszerowali w szyku, napełniwszy manierki, zatknąwszy bagnety, w hełmach okrytych pokrowcami do hełmów. Na odbiór tej parady pojawił się niejaki pan Salter z innego batalionu, świeżo awansowany na kapitana Saltera i wyraźnie zażenowany z tego powodu. Wyglądało na to, że wskazówki wypisano mu na kawałku papieru; innego przewodnika nie było. Powiedział im, głosem nieco piskliwym, żeby ustawili się trójkami w prawo, a Tristram, spełniając to polecenie, po raz pierwszy zastanowił się nad tym anachronizmem. Przecież w tamtych prototypowych wojnach z pewnością ustawiano się czwórkami? Lecz istotą współczesnej wojny zdawała się być eklektyczna prostota: nie bądźmy zbyt pedantyczni! Z obozu wymaszerowali na baczność. Nikt nie machał im na pożegnanie prócz wartownika, który właściwie powinien był, zgodnie z regulaminem, sprezentować przed nimi broń. Zwrócili się w lewo i po kilkuset metrach już maszerowali swobodnie. Nikt jednak nie śpiewał. Zatknięte bagnety wyglądały jak Las Birnamski ze szpikulców. Między jednym a drugim łup, chrup, dup – rozlegającymi się rzadziej niż poprzednio, i chyba wyrzucono tę pękniętą płytę – słychać było gulgotanie wody chlupoczącej w manierkach. Niebo łyskało ogniem; po obu stronach drogi czarno powycinane trupy drzew odcinały się ponuro na tle nagłych rozbłysków światła.

Przemaszerowali przez wioskę, raczej nieprawdziwe zbiorowisko gotyckich ruin, i po kilkuset metrach kazano im stanąć.

– Teraz dokonacie mikcji – zarządził kapitan Salter. – Rozejść się. – Wykonali komendę. Ktoś jednak znał ów medyczny termin, a co tępsi rychło zorientowali się, podpatrując jego i kolegów, co znaczy to dziwne słowo; na drodze rozległy się swojskie, przyjemne, ciepłe odgłosy siusiania. Znowu stanęli w szyku. – Znajdujemy się tuż przy linii frontu – przemówił kapitan Salter – i w zasięgu ostrzału artyleryjskiego ze strony wroga. (Co za brednie, pomyślał Tristram.) Pomaszerujemy gęsiego, trzymając się lewej strony drogi. – *Od tre corde do una corda*, jak fortepian stłumiony moderatorem. Żołnierze rozciągnęli się w jeden długi sznur i podjęto marsz. Jeszcze prawie dwa kilometry i podeszli do czegoś z lewej, co wyglądało na ruiny wiejskiego dworu. Kapitan Salter zajrzał do swojej instrukcji, korzystając z rozbłysku na niebie, jakby sprawdzając, czy to właściwy numer domu. Widocznie usatysfakcjonowany, wkroczył śmiało przez drzwi wejściowe, a za nim długi potok ludzki. Tristram stwierdził z ciekawością, że znaleźli się w okopie. – Dziwny dom – burknął któryś z ludzi, jakby naprawdę sądził, że zaproszono ich tu na kolację. A była to sama skorupa, niby coś z dekoracji filmowych. Tristram błysnął po ziemi służbową latarką – dziury, płatanina drutów, jakieś nagle pierzchające zwierzątko z długim ogonem – i natychmiast usłyszał: – Zgaś to pieprzone światło! – Posłuchał; głos brzmiał autorytatywnie. Wzdłuż niekończącego się szeregu podawano sobie z ust do ust ostrzeżenia: -Dziura...jura... ciura...-albo:-Druty... dłuty... huty... – jakby przykłady lokalnych zmian fonetycznych. Tristram szedł, potykając się, na czele sekcji pierwszej swego plutonu i widział wyraźnie cały ten montaż, gdy na niebie zapalały się fajerwerki (właśnie fajerwerki, na pewno). Przecież powinna być jakaś linia odwodów, linia wsparcia, wartownicy na stopniu strzelniczym, dym i smród z ziemianek? Cały ten labirynt wyglądał na całkiem opuszczony, nikt ich nie witał. Nagle skręcili w prawo. Wyprzedzający go żołnierze potykali się, kłęli z cicha, stłaczani w ziemiankach.

– Wróg – wyszeptał ze zgrozą pan Dollimore – znajduje się zaledwie o sto metrów przed nami. O tam. – Wskazał palcem, pięknie oświetlony potężnym błyskiem, w stronę ziemi niczyjej, czy jak to się nazywa. – Musimy wystawić wartowników. Po jednym co czterdzieści albo pięćdziesiąt metrów.

– Słuchaj pan – rzekł Tristram – kto tu dowodzi? Czym jesteśmy? W skład czego wchodzimy?

– Słowo daję, tyle tych pytań. – Wytrzeszczył się łagodnie do Tristrama w kolejnym błysku fajerwerków.

– Chodzi mi o to – naciskał go Tristram – czy to jest... czy my jesteśmy posiłkami dla jakiegoś wojska albo czegoś tam już znajdującego się na linii frontu, czy też... Czym właściwie jesteśmy? Kto nam wydaje rozkazy i skąd? Jakie mamy rozkazy?

– Ależ, sierżancie – rzekł pan Dollimore po ojcowsku – proszę się nie martwić o tak poważne sprawy. Ktoś się o to zatroszczy, nie ma obawy. Proszę tylko dopilnować, żeby ludzie byli należycie rozmieszczeni, A potem wystawić wartowników, dobrze?

Tymczasem trwał nieszkodliwy harmider; odtwarzacze grzmiały na podobieństwo zajadłej wojny; głośniki musiały znajdować się bardzo blisko. Światła o znakomitym natężeniu bluzgały, jak dziwny rodzaj oleju, z ziemi ku górze. – Prześlyczne – odezwał się ktoś akcentem z Prowincji Północnej, wyglądając z wykopu.

– Ale po co – nastawał Tristram – wystawiać wartowników? Tam nie ma żadnego wroga. Wszystko to lipa. Ten okop wyleci wkrótce w powietrze, a wysadzi go jakiś zdalnie sterujący, pieprzony, ogromny pająk, usadowiony w bazie. Czy pan tego nie widzi? Przecież to nowy i nowoczesny sposób na pozbywanie się nadmiaru ludności. Ten hałas to lipa. Te rozbłyski to lipa. Gdzie nasza artyleria? Czy widział pan jakąś artylerię za linią frontu? Oczywiście nie widział pan. A jakieś granaty czy szrapnele? Niech pan wytknie głowę za to przedpiersie i co z tego wyniknie, jak pan myśli? – Tristram wdrapał się po kilku workach, wypełnionych ziemią, porządnie ułożonych – najwyraźniej murarska robota – i wyjrzał. W krótkim rozbłysku fajerwerku zobaczył płaski kawał gruntu i w odległej perspektywie drzewa, za nimi wzgórze. – Proszę – oznajmił schodząc.

– Zastanawiam się – przemówił, trzęsąc się, pan Dollimore – czy pana nie aresztować. Zastanawiam się, czy pana nie zdegradować. Zastanawiam się, czy nie należy pana...

– Nie może pan. – Tristram potrząsnął głową. – Jest pan tylko porucznikiem. Wasz tymczasowo pełniący obowiązki kapitana Salter też nie może. A proszę mi jeszcze coś wyjaśnić: gdzie są wyżsi oficerowie? Nie ma tu ani jednego starszego oficera. Na przykład gdzie się podziało dowództwo batalionu? Powtarzam swoje pierwsze pytanie: kto tu rozkazuje?

– To niesubordynacja – zatrząsł się pan Dollimore. – To zdrada.

– Och, proszę nie wygadywać bredni. Posłuchaj pan – rzekł Tristram – ma pan obowiązek powiedzieć ludziom, co się dzieje. Pańskim obowiązkiem jest odprowadzić ich z powrotem do obozu i zapobiec tej oficjalnej rzezi. Jest pan obowiązany zadać kilka pytań.

– Proszę nie uczyć mnie moich obowiązków. – Ku jego zaskoczeniu pan Dollimore wyjął z kabury pistolet. – Zastanawiam się, czy pana nie zastrzelić – oznajmił. – Mam do tego prawo. Za szerzenie paniki i defetyzm. – Trząsł się jakby w ataku gorączki tropikalnej. Pistolet gwałtownie latał mu w rękę.

– Nie odbezpieczył pan – zauważył Tristram. – Co za cholerny nonsens. Nie starczyłoby panu odwagi. Wynoszę się stąd. – Wykonał w tył zwrot.

– O nie, nic z tego. – I ku skrajnemu zdumieniu Tristrama pan Dollimore, najwidoczniej przesunąwszy bezpiecznik, dał ognia. Huknęło i kula, jęknąwszy z dala od celu, wbiła się nieszkodliwie w worek z ziemią. Kilku żołnierzy wyjrzało, żując albo przestając żuć, wypatrując odgłosu prawdziwej broni.

– No dobrze – westchnął Tristram. – Ale tylko poczekaj. Przekonasz się, że mam rację, ty kretynie.

## 8

Jednak Tristram nie do końca miał rację. Własny zdrowy rozsądek powinien był podpowiedzieć mu, że jest pewna luka w jego drastycznych domysłach. Pan Dollimore oszedł, trzęsąc się, gdziekolwiek p.o. kapitan Salter zainstalował swe żalosne dowództwo. Tristram rozejrzał się po swym plutonie. Kapral Haskell powiedział: – Pan wie, co znalazłem, sierzancie? Koniczynkę. To raczej potwierdza, gdzie się znajdujemy, no nie?

– A zna pan jakiś powód, żebyśmy się tutaj znaleźli? – zapytał Tristram.

Kapral Haskell zrobił żabią twarz i powiedział: – Żeby się napażać z Irlandczykami, już mówiłem. Chociaż po co mamy z nimi walczyć, Bóg raczy wiedzieć. Tylko że nie wiemy ani połowy z tego, co się tu dzieje, prawda? Według tego, co słyszałem parę tygodni temu w wiadomościach, to powinni być raczej Chińczycy. Może Iruy i Chinole sąjakoś powiązani.

Tristram zastanawiał się, czy uświadomić Haskellu, który wyglądał mu na porządnego faceta z dobrej rodziny. *Nigdy nie uwierzą mi*. Szorstki głos oficerski wyśpiewywał to w okopie, oddalony o kilka metrów. Urządzali sobie na tych kursach oficerskich wieczory starych pieśni wojskowych, czy co? Tristram zastanawiał się, czy teraz mógłby zaryzykować icichaczem stąd prysnąć. Ale widząc, że to wszystko pułapka, wypracowany system, domyślał się, że nie ma stąd ucieczki poza linię frontu, na tyły. Jeśli w ogóle jest jakieś wyjście, to tylko do przodu, z okopu za przedpiersie i na los szczęścia. Zagadnął kaprala Haskellu: – Czy jest pan zupełnie pewien, że to zachodnie wybrzeże Irlandii?

– Tak pewien, jak tylko można.

– Ale nie wie pan dokładnie, co za miejscowość?

– Nie – odparł Haskell – ale powiedziałbym, że nie tak daleko na północ jak Connaught. Czyli że musi to być Galway albo Clare, albo Kerry.

– Aha. A jak dostać się stąd na przeciwległy brzeg?

– Chyba koleją, nie? Tu w Irlandii oni mają wszędzie te stare, parowe pociągi, albo mieli, kiedy ja tu podróżowałem. Niech ja pomyślę. Jeśli to Kerry, w takim razie można pojechać z Killarney do Dungarvan. Albo jeszcze bardziej na północ z Listowel przez Limerick i Tipperary i Kilkenny do Wexford. Albo jeżeli jesteśmy w hrabstwie Clare...

– Dziękuję wam, kapralu.

– Oczywiście to niemożliwe, jeżeli walczymy z Irusami. Poderznąliby panu gardło, jak tylko usłyszeliby pańską wymowę.

– Ach tak. W każdym razie dziękuję.

– Nie zamierza pan dać drapaka, co, sierzancie?

– A skąd, oczywiście, że nie. – Tristram wyszedł z ciasnej, smrodliwej ziemianki, pełnej rozwalonych niedbale mężczyzn, żeby pogadać z najbliższym wartownikiem. Ten przyszczyty chłopak nazwiskiem Burden powiedział:

– Zajmują pozycje, sierzancie.

– Gdzie? Kto?

– Po tamtej stronie. – Skinął hełmem w stronę przeciwległych okopów. Tristram wyteżył słuch. Czyżby Chińczycy? Dobiegło go mamrotanie dosyć wysokich głosów. Nagrane odgłosy bitwy znacznie osłabły. No tak. Zrobiło mu się ciężko na sercu. Mylił się, całkowicie się mylił. Jednak tam

są wrogowie. Wsłuchał się uważniej. – Zajęli te pozycje bardzo szybko, a do tego po cichu. Wyglądają na niezłe zdyscyplinowanych.

– To już niedługo – rzekł Tristram.

Jakby na potwierdzenie tych słów nadszedł okopem, potykając się, pan Dollimore. Zobaczył Tristrama i odezwał się: – Ach, to pan? Kapitan Salter mówi, że należałoby pana wziąć pod ścisły areszt. Ale powiedział, że teraz już na to za późno. Atakujemy o 2200. Proszę sprawdzić zegarki.

– Atakujemy? Jak to?

– Proszę, znów te pańskie głupie pytania. Wyskakujemy z okopów na górę punktualnie o 2200. Teraz mamy – sprawdził – dokładnie godzinę 2134. Na bagnety. Mamy rozkaz zdobyć te wrogie okopy. – Był cały radosny i rozgorączkowany.

– Kto wydał ten rozkaz?

– Mniejsza o to, kto wydał rozkaz. Pan postawi pluton w stan pogotowia. Karabiny załadowane, nie zapomnieć o naboju w lufie. – Pan Dollimore stał wyprostowany i ważny z wyglądu. – Anglia – powiedział zniecka i do nosa napłynęły mu łzy. Tristram zsalutował, nie mając w tych okolicznościach nic więcej do powiedzenia.

O godzinie 2140 zapadła nagle ciszajak uderzenie w twarz.

– Ej – wydali z siebie żołnierze, pozbawieni swojskiego hałasu. Światła przestały błyskać. W tej niezwyklej, wyciszzonej ciemności słyhać było wyraźniej wroga, jak pokasłuje, szepce, w wysokiej tonacji drobnokościstych orientalów. O godzinie 2145 ludzie powstawali, ciężko dysząc przez usta, wzdłuż całego okopu. Pan Dollimore, z trzęsącym się w rękę pistoletem, nie odrywał oczu od zegarka na rękę, gotów poprowadzić swych trzydziestu (w jakimś zakątku obcego pola) do bohaterskiego ataku, dłużny Bogu jedynie śmierć (czyli na zawsze Anglia). 2150 i bez mała słyhać już było wszystkie serca. Tristram wiedział, jaką rolę ma odegrać w tym nadchodzącym samobójstwie: obowiązkiem pana Dollimore było porwać za sobą ludzi, żeby wyskoczyli z okopu, a on ma ich popychać: – Wstawać i wyłazić, wy tchórze, albo zastrzelę tu każdego śmierzdiela. – 2155. – Boże bitw – szeptał pan Dollimore – utwierdź me żołnierskie serce. – 2156. – Ja chcę do mamusi – jakiś humorysta Cockney udawał, że szłocha. 2157. – Albo jeżeli jesteśmy bardziej na południe – odezwał się kapral Haskell – mógłby się pan dostać z Bantry do hrabstwa Cork. – 2158. Bagnety zadygotały. Ktoś dostał czkawki i powtarzał: – Przepraszam. – 2159. – Ach – mówił pan Dollimore, wpatrzony we wskazówkę sekundnika, jakby w popisy cyrku pcheł. – Już zaraz... Już zaraz...

2200. Przerażliwe i przenikliwe gwizdki zasrebrzyły się na całej linii, buchnęło też nagle i szaleńczo fonograficzne bombardowanie. W towarzyszących temu spazmatycznych błyskach ukazywał się pan Dollimore, wdrapujący się na górę, wymachujący pistoletem, z ustami rozciągniętymi w jakimś niedosłyszalnym okrzyku bojowym ze szkolenia oficerskiego. – Jazda, naprzód – warczał przez uzębienie Tristram, szturchając pistoletem, popychając, grożąc i kopiąc. Żołnierze wydostawali się na górę, niektórzy nawet całkiem żwawo i zręcznie. – Nie, nie – spanikował jakiś sękaty człowieczek – Jezu Chryste, nie zmuszajcie mnie. – Właż na górę, szlag by cię trafił – zacharczało uzębienie Tristrama. Z góry dobiegł krzyk kaprala Haskella: – O Jezu, idą na nas! – Jadowicie trzaskały i pluły karabiny, napelniając ostre powietrze jeszcze ostrzejszą wonią tysiąca zapalek, jakby o posmaku wędzonej szynki. Posępnie kwiliły kule. Grube i wściekłe przekleństwa, przeraźliwe wrzaski. Tristram, z głową wytkniętą ponad krawędź okopu, widział rysujące się ostro czarne sylwetki w zwarciu wręcz, niezgrabne, przewracające się, strzelające, dżgające, z jakiegoś starego filmu o żołnierzach. Wyraźnie zobaczył, jak pan Dollimore cofa się (wciąż ten element absurdu: jak gdyby w tańcu chciał utrzymać się na nogach i dalej tańczyć) i wreszcie pada z otwartymi ustami. Kapral Haskell dostał okrutnie w nogę; strzelał wciąż upadając i otworzył usta

(jak na przyjęcie hostii) dla kuli, po czym jego twarz się rozprysnęła. Tristram, klęcząc jednym kolanem na worku z ziemią, wściekle opróżnił swój pistolet w kierunku chwiejnie napierających. Była to rzeź, obustronna masakra, nie dawało się chybić. Tristram zmienił magazynek, ponieważ zarazony gorączką, w jakiej zginął nieszczęsny Dollimore, pośpiesznie cofając się do okopu, wbijając czubki butów w szpary między workami z ziemią, z głową w hełmie, z oczyma i strzelającą dłonią nad przedpiersiem. I oto zobaczył wroga. Dziwna rasa, małego wzrostu, o wydatnej piersi i biodrach, krzycząca po kobiecemu wysokim głosem. Padali jeden po drugim, powietrze wypełniał smakowity dym i wciąż jeszcze gwizdały kule. Na ten widok, podczas gdy jakaś chłodna i wyodrębniona komórka w jego mózgu porządkowała to wszystko, a wszystko jakby zwiastowane już w Świętej Grze z czasów pelagiańskich, jemu się odbiło i rzygnął z brzucha całą kwaśną zawartością pogryzionego mięsa. Jeden z jego ludzi zawrócił do okopu, chwytając się powietrza, upuściwszy karabin, dławiąc się: – O, cholerny Chryste! – A potem stęknęło zza mostka, gdy kule wdierały mu się w plecy. Przewrócił się jak szklanka, pociągając za sobą Tristrama, cały złożony z rąk i nóg, istota człowieka, rozwidlenie. Tristram, ciężko rzucony o drewnianą kładkę w błocie okopu, szamotał się z martwym ciężarem tego inkuba, wycharkującym z siebie resztkę życia, a potem usłyszał z flanków, jakby z kulis teatralnych, suchy deszcz ognia z karabinów maszynowych, najwyraźniej żywy odgłos na tle fałszywej kakofonii bombardowania.

Wykańczają ich, pomyślał. Wykańczają ich.

Po czym cały ten wielki hałas ucichł, nie było też żadnych specyficznie ludzkich odgłosów, tylko zwierzęce, kurczowe łapanie tchu zapóźnionych w konaniu. Ostatni błysk ukazał mu tarczę zegarka: 2203. Od początku do końca trzy minuty. Z ogromnym wysiłkiem zepchnął trupa ze swego żołądka na dno okopu; a ten stęknął, osuwając się. Przestraszony, odczołgał się żałośnie, by samemu zakwilić, w kłębiącym się jeszcze wokół potwornym zapachu śniadania z wędzonej szynki. Załkał i nie mógł się powstrzymać; po chwili już się zanosił płaczem z rozpacz i przerażenia, widząc, jak gdyby ciemność była lustrem, własną nieszczęsną, wykrzywioną twarz, język oblizujący łyzy, dolną wargę wysuniętą i trzęsącą się z gniewu i beznadziejności.

Gdy wyczerpał się ten upiorny poryw, zdawało mu się, że słyszy nad sobą dalszy ciąg bitwy. Ale były to tylko pojedyncze wystrzały z pistoletu, w nieregularnych odstępach. Ze zgrozą podnosząc oczy ujrzał smugi światła z latarek, jak gdyby poszukujące w stosach trupów czegoś, co tam zgubiono. Zesztywniał z przerażenia. – Stary gnadensztos – rozległ się chamski głos. – Biedna cizia. – I parę kończących wystrzałów. Latarka szukała, szukała, sięgnęła poza krawędź okopu, odnajdując go. Leżał ze znieruchomiałą znów twarzą, jak taki, którego spotkała nagła śmierć. – Biedny stary skurwel – odezwał się ordynarny głos i kula *zabrzmiała*, jakby trafiła w kość. – A tu sierżant – przemówił inny głos. – Rąbnięty na dobre. – Lepiej się upewnić – rzekł pierwszy głos. – Ech, do diabła – rzekł tamten. – Rzygam już tą robotą. Naprawdę. To parszywa, brudna robota. – Tristram poczuł, jak światło latarki przesuwają się po jego zamkniętych powiekach i oddala się. – No dobra – odezwał się znów pierwszy. – Weź to sobie. Jeżeli ci pozwolą. Ej, ty – do kogoś znajdującego się dalej. – Nie szperaj po kieszeniach. Żadnej grabieży. Miej trochę szacunku dla umarłych, szlag by cię trafił. – Buty oddaliły się z chrzęstem; jeszcze kilka wystrzałów. Tristram leżał sztywno jak nieboszczyk, nie drgnąwszy nawet, kiedy jakieś małe zwierzątko skrętnie przebiegło po nim, węsząc i łaskocząc go wąsami po twarzy. Powróciło ludzkie milczenie, lecz on, marznąc, przeleżał jeszcze cały wiek.

Nareszcie, w martwej ale bezpiecznej ciszy, Tristram poszedł, przyświecając sobie latarką, do ziemianki, w której kapral Haskell zapoznawał go z geografią Irlandii, gdzie pierwsza sekcja jego plutonu śpiewając, wylegując się, kręcąc się niespokojnie czekała na wejście do akcji. Za uszczelniającymi drzwiami z koca było cicho, smrodliwie, pachniało życiem. Leżały porozrzucane plecaki i manierki, pewnie i jego własne, bo pozostawił te bambetle w którejś sekcji, wybierając się do okopów. Lampa oświetlająca ziemiankę, zasilana z akumulatora, została zgaszona przed natarciem, lecz nie zapalił jej. Własna latarka ukazała mu na stole kupkę pieniędzy: gwinee, siódmaki, korony i półkoronówki, dziesiątaki, floreny, funciaki; wiedział, że jest to zgromadzona (zgodnie ze starą tradycją) gotówka całego plutonu, bezużyteczna dla poległych, a nagroda dla tych, co przeżyją. Tristram, jedyny pozostały przy życiu, skłonił głowę, ładując pieniądze do kieszeni. Po czym napełnił byle który plecak puszkami konserw mięsnych, założył sobie na pas pełną manierkę wody i załadował pistolet. Westchnął, szykując się do kolejnej wędrówki.

Wygramolił się z okopu, potykając się o ciała na tym kawałeczku ziemi niczyjej, nie śmiąc jeszcze użyć swej latarki na otwartej przestrzeni. Wymacał zejście do przeciwległego okopu i wyjście z niego, krzywiąc się z bólu wywołanego tym dawnym już upadkiem z przedpiersia na deski w okopie, lękając się przyczajonych być może strzelców. Gola ziemia rozciągała się w wąłym świetle gwiazd. Przeszedł – jak mu się zdawało – ponad kilometr i zobaczył przed sobą na horyzoncie światła, przyćmione, w dużych odstępach. Ostrożnie, z pistoletem w rękę, powłókł się dalej. Światła urosły mu w oczach, raczej jak owoce niż pestki. Niebawem ujrzał – a lęk dudnił mu w piersiach – wysokie ogrodzenie z drutu, ciągnące się bez końca w obydwie strony, niby gęsto utkana ze stali siatka, na przemian oświetlona albo w półcieniu. Zapewne pod napięciem, jak ogrodzenie w obozie. Jedyne, co mu pozostało, to powędrować równolegle do niego (żadnych drzew lub krzaków pozwalających się ukryć) i poszukać jakiegoś przejścia, czy to blefując, grożąc, siłą czy jakoś legalnie.

Wreszcie zobaczył rodzaj bramy w niekończącym się ogrodzeniu, w postaci metalowej ramy przybranej w drut kolczasty. Podeszedł ostrożnie. Za bramą stała drewniana szopa z jednym słabo świecącym oknem, a u jej drzwi sterczał, niemalże śpiący na stojąco, wartownik w szynelu i hełmie. Szopa, brama, drut, mrok, wartownik i nic poza tym.

Na widok Tristrama wartownik ożył, wzdrygnąwszy się z zaskoczenia, i skierował na niego karabin.

– Otworzyć – rozkazał Tristram.

– Skąd się pan tu wziął? – Dosyć tępa twarz wartownika przybrała wyraz zaniepokojenia.

– Mam jakąś rangę, nie? – huknął na niego Tristram. – Przepuścić. Zaprowadźcie mnie do podoficera.

– Przepraszam, panie sierżancie. Trochę mnie to zaszokowało. Pierwszy raz widzę, żeby ktoś przybył z tamtej strony. – Sprawa okazała się łatwa. Wartownik otworzył bramę, która odjechała z terkotem na kółkach, i rzekł: – Proszę tędy. – Innej drogi najwyraźniej nie było. – Sierżancie. – Zaprowadził Tristrama do strażnicy w szopie, otworzył drzwi, przepuścił go. Słaba żarówka jarzyła się na suficie jak pomarańcza; na ścianach wisiały oprawione regulaminy i mapa. Kapral Haskell miał zadziwiająco dobrego nosa: była to mapa Irlandii. Przy stole, czyszcząc sobie paznokcie, z nogami na krześle, siedział kapral, z włosów i wyrazu twarzy wyglądający prawie jak Charles Baudelaire. Tristram szczechnął: – Powstań, kapralu. – Kapral w pośpiechu aż przewrócił krzesło, reagując bardziej na oficerski ton i akcent Tristrama niż na jego dystynkcje. – W porządku – powiedział Tristram. – Proszę usiąść. Wy tutaj dowodzicie?

– Sierżant Forester śpi, panie sierżancie. Zaraz go zbudzę.

– To zbyt cenne. – Zdecydował się pociągnąć blef aż do pęknięcia. – Potrzebny mi transport.

Gdzie go znajdę?

Kapral zapatrzył się na Tristrama takim wzrokiem, jak Charles Baudelaire na dagerotypie. – Najbliższy park wojskowy znajduje się w Dingle. Zależy, dokąd pan chce się udać.

– Muszę złożyć raport z tej ostatniej roboty – rzekł Tristram. – Mogę spojrzeć na mapę? – Podszedł do przysadzistego, barwnego zwierza, jakim była Irlandia. Dingle znajdowało się, oczywiście, nad zatoką Dingle; zatoki Dingle i Tralee wyrzeźbiły w hrabstwie Kerry półwysep. Teraz już wszystko zobaczył: różne wyspy i wypustki na zachodnim wybrzeżu oznaczone były chorągiewkami Departamentu Wojny, zapewne wynajęte przez rząd Zjednoczonej Irlandii brytyjskiemu Departamentowi Wojny niby to w celach szkoleniowych. – Aha – rzekł Tristram.

– A dokąd – zapytał kapral – chciałby się pan dostać, sierżancie?

– Powinniście wiedzieć, że takich pytań się nie zadaje – zganił go Tristram. – Istnieje coś takiego jak względy bezpieczeństwa.

– Przepraszam, sierżancie. Panie sierżancie – spytał nieśmiało kapral – a co tam się *naprawdę* dzieje? – Wskazał w kierunku olbrzymiego, ogrodzonego pola bitwy.

– A nie wiecie?

– Nikogo tam nie wpuszczają, sierżancie. Nikomu nie pozwalają wejść. Słyszemy różne hałasy i na tym koniec. Sądząc po tych odgłosach to jest jakieś bardzo prawdziwe szkolenie. Ale nigdy jeszcze i nikomu nie pozwolono tego zobaczyć. Tak stoi w zarządzeniach.

– A co z wypuszczaniem?

– No, z tym w ogóle nie ma sprawy. Chyba dlatego, że tędy nikt stamtąd nie wychodzi. Pan jest pierwszy, jakiego widziałem, a jestem już tutaj od dziewięciu miesięcy. Czy warto, żeby tu była brama?

– Och, czy ja wiem – odpowiedział Tristram. – Dzisiejszej nocy jednak się do czegoś przydała, prawda?

– Rzeczywiście – przyznał kapral, jakby w podziwie dla przewidującej wszystko opatrności. – To wielka prawda. – I dodał, jakby starając się pomóc: – Oczywiście może pan zawsze dojechać pociągiem tam, dokąd pan zmierza, no nie, sierżancie?

– A stacja?

– Och, wszystkiego dwa, trzy kilometry tą drogą. Miejscowa linia do Tralee. Około drugiej rano jest pociąg dowożący robotników na zmianę do Killarney. Jeszcze go pan bez trudu złapie, panie sierżancie, gdyby to panu odpowiadało.

Pomyśleć, tylko pomyśleć: ciągle ta sama noc i jakby cały kawał czasu gdzieś poza czasem, odkąd się rozległy te gwizdki. Nagle przypomniał sobie, jak sierżant Lightbody mówił, że idzie się na poszukiwanie wielkiego być może: dziwnie pomyśleć, że on już od dawna je znalazł. Oczywiście to dla niego już nie jest być może. Tristrama przeszedł dreszcz.

– Nie za dobrze pan wygląda, sierżancie. Na pewno da pan radę zająć na tę stację?

– Dam radę – odparł Tristram. – Muszę.



Z Tralee do Killarney, z Killarney do Mallow. Przez większą część drogi Tristrama męczyły niedobre sny, skulonego w narożnym siedzeniu, z postawionym kołnierzem szynela. Wysoki głos jak gdyby rachował, górując nad hałasem parowozu i wagonów: „Liczymy, że tej nocy uzyskano tysiąc dwieście sztuk, przeciętnej wagi po sześćdziesiąt pięć kilogramów, bo kobiety są lżejsze od mężczyzn, to daje w przybliżeniu osiemdziesiąt ton martwej wagi. Pomnożyć przez tysiąc i wypadnie osiemdziesiąt tysięcy ton – z kośćmi, z kopytami – to w sumie na jedną noc niezły wynik.” Jego pluton w czasie apelu wytykał go z ubolewaniem palcami, bo pozostał przy życiu. Przybywszy do Mallow zbudził się szamocąc. Jakiś irlandzki robotnik przytrzymał go, nie dając się wyrwać, i uspokajał: – No, no, kolego! – W dzień pojechał z Mallow do Rosslare. Tam przespał noc w hotelu i widząc kręcącą się wszędzie żandarmerię, kupił sobie gotowy garnitur, deszczowiec, koszulę i obuwie. Wojskowy ubiór schował do plecaka, najpierw oddawszy puszki z mięsem skamłającemu nędzarzowi, który mu podziękował: – Jezus, Maryja i Józef niech ci błogosławią, *akuszla*. – Z pistoletem w kieszeni wsiadł po cywilnemu na statek do Fishguard.

Była to ciężka przeprawa, jak to w lutym. Kanał św. Jerzego wierzgał, stawał dęba i chrapał jak smok. Po przybyciu do Fishguard pochorował się i spędził tam noc.

Następnego dnia, w słońcu jak chłodne wino reńskie, ruszył na południowy wschód do Brighton. Minąwszy Salisbury, uległ natrętnej chęci kilkakrotnego przeliczenia swej gotówki, pieniędzy swego plutonu: za każdym razem wychodziło mu trzydzieści dziewięć gwinei, trzy siódmaki i jeden dziesiątak. Trząsał się bez przerwy, tak że inni pasażerowie w przedziale przyglądali mu się z ciekawością. Gdy zajechali do Southampton, uznał, że jest naprawdę chory, ale chyba wystarczy mu sił, aby tu wysiąść, znaleźć pokój i wychorować się. Było dość przyczyn, aby nie przyjeżdżać w tym stanie – chwiejny i padający z nóg, jawnie potrzebujący pomocy i nie panujący nad niczym – do Brighton.

W pobliżu Dworca Centralnego w Southampton znalazł wojskowe schronisko, zajmujące pięć dolnych pięter w drapaczu chmur. Wszedł, pokazał książeczkę żołdu i opłacił mieszkanie na pięć dni. Staruszek w wyblakłej granatowej kurtce służbowej zaprowadził go do małego, zimnego pokoiku jak cela klasztorna, ale z mnóstwem koców na łóżku. – Dobrze się pan czuje? – spytał staruszek. – Doskonale – odpowiedział Tristram. Kiedy staruszek odszedł, zamknął drzwi na klucz, rozebrał się czym prędzej i wlaź do łóżka. Tu przestał wreszcie trzymać się w garści, oddając się całkowicie we władanie gorączce, niby jakiemuś diabłu lub kochance.

Niekończące się dreszcze i poty pożerały czas, miejsce, odczucia. Po naturalnym następstwie światła i ciemności wyliczył, że przeleżał już tak półtorej doby, podczas gdy choroba dręczyła i żarła jego ciało jak pies kość, a pocił się tak obficie, że pęcherz poszedł na urlop; czuł, jak namacalnie robi się coraz chudszy i lżejszy, w szczytowym punkcie kryzysu przeświadczony, że ciało jego stało się przezroczyste, że kilka narządów wewnętrznych fosforyzuje w ciemności, że to skandaliczne marnotrawstwo, gdy żadna pielęgniarka nie sprowadza studentów anatomii, aby mu się przyjrzeni. Po czym zapadł w tak głęboki rów snu, że nie mogły go dopaść nawet rojenia senne ani halucynacje. Zbudził się rankiem, czując, że musiał przespać jak niedźwiedź albo zółw całą porę roku, bo słońce w pokoiku było jakby wiosenne.

Dotkliwe pragnienie wygoniło go z łóżka. Zataczając się podszedł do umywalki, wyjął ze szklanki swe oziębione uzębienie, po czym napełniał ją raz po raz twardą, południową, wapienną

wodą i wychylał ją z gulgotaniem tak długo, aż musiał wreszcie, łapiąc oddech, wyciągnąć się na łóżku. Przestał się trząść, ale czuł się cienki jak papier. Zawinał się w koce i znów usnął. Następnie zbudził go przepelniony pęcherz i opróżnił go, szczerze mówiąc, do umywalki. Teraz już poczuł, że może chodzić, ale mu bardzo zimno. To dlatego, że od dawna nic nie jadł. Słońce zachodziło, zapadał mroźny wieczór. Ubrał się nie myjąc, nie goląc, i zszedł do kantyny. Wokół siedzieli żołnierze, pijąc herbatę, utyskując i chełpiąc się, z numerami, które jeszcze nie wyschły. Tristram zamówił gotowane jaja kurze i prawdziwe mleko. O mięsie bał się nawet pomyśleć. Jedząc bardzo powoli czuł, że wraca mu jakby zapowiedź odzyskiwania sił. Zaintrygowało go, że starożytny zwyczaj (którego wprowadzenie do Anglii przypisywano mitycznemu marynarzowi nazwiskiem John Player) znowu odżył: kilku żołnierzy krztusiło się ssąc papierowe rurki, żarzące się na końcu. Okryjcie się sła... się sła... dada *ryms*. Łzy trysnęły mu z oczu i było to słycać. Lepiej wrócić do łóżka.

Przespał solidnie jeszcze jeden nie liczony kawał mroku i światła. Gdy się zbudził, a nastąpiło to nagle, poczuł się przeniesiony w rejony wielkiej jasności umysłu. – Co zamierzasz? – spytała deska w nogach łóżka. – Nie dać się złapać – odpowiedział Tristram na głos. Wcielono go do armii 27 marca, w Wielkanoc ubiegłego roku, a demobilizacja czekała go dokładnie w rok później. Do tego czasu – jeszcze ponad miesiąc – nie było takiej rzeczy, którą mógłby zająć się nie ryzykując. Wykręcił się od śmierci: Departament Wojny zapewne ściagałby go tak długo, aż nadrobi to zaniedbanie obowiązku. Ale czy im naprawdę zależy? Chyba jednak zależy: byłiby nieszczęśliwi, głowiąc się nad listą obecności, na której przy jednym nazwisku zamiast ptaszka widnieje znak zapytania, i nad brakiem jednej książeczki żołdu. Może i tu, w schronisku wojskowym, nie jest bezpieczny. Czuje się już dostatecznie zdrow – pomyślał – aby się wyprowadzić.

Dokładnie umył się i ogolił, starannie ubrał się po cywilnemu. Niemal sfrunął po schodach, lekki jak ostrzyżona owca. Ta choroba przyniosła mu też coś dobrego: oczyściła go od ciężkich humorów. W westybulu ani śladu żandarmów. Spodziewał się, że wyjdzie w poranek, tymczasem stwierdził, zapuściwszy się w głąb marynarskiego miasta, że to już późne popołudnie. Zjadł smażoną rybę w restauracji, mieszczącej się w zaułku, po czym niedaleko stamtąd znalazł brudny blok mieszkalny, jakiego potrzebował. Żadnych pytań, żadnego wścibstwa. Zapłacił z góry za tydzień. Pomyślał, że tych pieniędzy chyba mu akurat wystarczy.

## 2

Następne cztery tygodnie Tristram spędził dość pożytecznie. Przypomniawszy sobie swój zawód – nauczyciela historii z przyległościami – wobec czego, za pieniądze swojego nieszczęsnego, martwego plutonu, zafundował sobie krótki kurs odświeżający. Przesiadywał całymi dniami w Centralnej Bibliotece, czytając wielkich historyków i historiografów swej epoki: Stott *Konflikty ideologiczne XX stulecia*, Zuckmayer i Feldwebel *Podstawy historii ras*, Stebbing-Brown *Historia wojen nuklearnych*, Ang Xiongzhong Kongchan *chu yi*, Sparrow *Substytuty religijne w wieku prototechniki*, Radzinowicz *Doktryna cyklu*. Wszystko to były raczej cienkie książki w formie logogramów, tej zredukowanej ortografii, mającej na celu oszczędność miejsca. Ale teraz wydawało się, że miejsca już nie brakuje. Wieczorami, aby się zrelaksować, czytywał poezje i powieści nowych autorów. Spostrzegł, że pisarze z Pelfazy zostali jakby zdyskredytowani: może nie da się, mimo wszystko – i wielka szkoda – wydobyć sztuki z łagodnego, starego liberalizmu. W nowych książkach było pełno seksu i śmierci, kto wie, czy nie jedyne materiały dla pisarza.

W poniedziałek 27 marca, przy pięknej pogodzie wiosennej, Tristram wybrał się pociągiem do Londynu. Urząd Wojny mieścił się na Fulham. Stwierdził, że jest to biurowiec umiarkowanej

wysokości (trzydzieści pięter) zwany Juniper Building. Umundurowany portier oznajmił:

– Nie może pan tutaj wejść, Sir.

– Dlaczego?

– Najpierw trzeba się umówić.

Tristram wyszczerzył się i warknął: – Z drogi. Pan nie wie, kto ja jestem – i odepchnąwszy portiera wszedł do pierwszego biura, jakie napotkał. Tu gromadka tłustawych blondynek w mundurach klekotała na elektrycznych maszynach mówiących. – Chcę się widzieć z kimś odpowiedzialnym – rzekł Tristram.

– Z nikim nie może się pan widzieć bez uprzedniego umówienia się – oświadczyła jedna z pań. Tristram przeszedł przez biuro i otworzył drzwi z matową szybą u góry. Jakiś porucznik siedział, zajęty myśleniem, między dwiema pustymi tacami na korespondencję.

Zapytał: – Kto pana tu wpuścił? – Miał okulary w grubej czarnej oprawce, cerę pożeracza słodocy, obgryzione do cna paznokcie i splachetek meszku na szyi, gdzie źle się ogolił.

Tristram odparł:

– To bezprzedmiotowe pytanie. Nazywam się sierżant T. Foxe. Zgłaszam się jako jedyny, który pozostał żywy po takiej mile aranżowanej, niedużej masakrze, z tych, które urządza na zachodnim wybrzeżu Irlandii. Wolałbym porozmawiać o tym z kimś ważniejszym od pana.

– Pan to przeżył? – Porucznik wyglądał na zaskoczonego. – Może lepiej, żeby się pan zameldował u majora Berkeleya. – Powstał zza biurka, ukazując wydatny brzuch, jak to u pracujących przy biurku, po czym wyszedł przez drzwi naprzeciwko tych, przez które Tristram tu wszedł. Na pukanie do nich odpowiedział sam Tristram. Był to portier. – Przepraszam, że go nie zatrzymałem, Sir – zaczął. A potem: – Och! – bo Tristram wyciągnął pistolet: chcą się bawić w żołnierzy, to proszę. – Wariat – rzekł portier i czym prędzej zatrzasnął drzwi; za szkłem widniał jego szybko oddalający się cień. Wrócił porucznik. – Proszę tędy – powiedział. Tristram poszedł za nim korytarzem, oświetlonym tylko przez inne oszklone drzwi; schował pistolet.

– Sierżant Foxe – rzekł porucznik – Sir – otwierając drzwi, za którymi ukazał się oficer, udający rozpaczliwie zajętego układaniem pilnego raportu. Był to major z czerwoną naszywką i piękną kasztanową czupryną; ukazywał w niej Tristramowi, pisząc, łysinkę o rozmiarze i kształcie hostii. Na ścianach widniały grupowe zdjęcia ludzi, wyglądających na tępaków, przeważnie w szortach. – Jedną chwilę – powiedział surowo major, zawzięcie pisząc.

– Och, daj pan spokój – rzekł Tristram.

– Co proszę? – Major łypnął na niego wściekle; oczy miał niepewne i w kolorze ostryg. – Dlaczego pan nie jest w mundurze?

– Ponieważ, zgodnie z warunkami kontraktu, podanymi w mojej książeczce żołdu, dzisiaj o godzinie 1200 dobiegły kresu wszelkie moje zobowiązania.

– Ach tak. Zostaw nas samych, Ralph – rzekł major do porucznika, który skłonił się jak kelner i wyszedł. – Więc – przemówił major do Tristrama – co to za historia, że tylko pan jeden przeżył? – Chyba nie spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi, bo mówił od razu dalej: – Proszę mi pokazać swoją książeczkę żołdu. – Tristram ją wręczył. Nie poproszono go, żeby usiadł, więc usiadł. – Hm – zrobił major, otwierając, czytając. Pstryknął wyłącznikiem i przemówił do mikrofonu: – 7388026 sierżant Foxe T. Proszę natychmiast o akta. – A potem do Tristrama: – W jakiej sprawie chciał się pan z nami widzieć?

– Aby złożyć formalny protest – rzekł Tristram. – I ostrzec was, że ujawnię całą tę cholerną aferę.

Major wyglądał na zbitego z tropu. Miał długi nos, który teraz pocierał w zafrasowaniu. Ze

szczeliny w ścianie wypadła do drucianego koszyka brązowa teczka; major otworzył ją i zaczął uważnie czytać. – Aha – powiedział – już rozumiem. Wygląda na to, że wszyscy pana poszukiwali. Właściwie powinien pan być zabity, prawda? Tak jak reszta pańskich kolegów. Musiał pan bardzo szybko uciekać. Wie pan co, jeszcze i teraz mógłbym pana aresztować jako dezertera. Z ważnością wstecz.

– Ee, bzdury – odparł Tristram. – Jako jedyny pozostały przy życiu byłem dowódcą tej nieszczęsnej, wymordowanej jednostki. Jako taki postanowiłem wysłać sam siebie na miesięczny urlop. Poza tym chorowałem: i nic dziwnego.

– Pan wie, że to nieprzepisowe.

– Proszę mi tu nie pieprzyć, pan ani pańska mordercza, dziobana organizacja, że coś jest nieprzepisowe – rzekł Tristram. – Kupa zbrodniczych świni, oto, czym wy jesteście.

– Rozumiem – powiedział major. – A pan nie ma z nami nic wspólnego, czy tak? Przypuszczam – zauważył gładko – że pan więcej ludzi zabił, niż na ten przykład ja. Pan był uczestnikiem S.E.

– Co za S.E.?

– Sesja Eksterminacji. Tak się nazywają te nowe bitwy. Przypuszczam, że pan wykonał swoją część – no – nazwijmy to samoobroną? W przeciwnym razie nie wiem, jak mógłby pan przeżyć.

– Wydano nam pewne rozkazy.

– Oczywiście. Rozkazy, żeby strzelać. To chyba jedynie rozsądne, kiedy do was strzelają, nie uważa pan?

– A jednak było to morderstwo – gwałtownie wykrzyknął Tristram. – Te nieszczęsne, biedne, bezbronne...

– Och, co też pan! Bezbronni to oni nie byli, prawda? Niech się pan wystrzega stereotypów, Foxe. Bo widzi pan, jeden stereotyp prowadzi do drugiego, a końcowy rezultat tej serii zawsze jest pozbawiony sensu. Zostali przeszkoleni, dobrze uzbrojeni i zginęli bohaterską śmiercią, w przekonaniu, że umierają dla wielkiej sprawy. I rzeczywiście tak było. A pan, oczywiście, przeżył z przyczyn bynajmniej nie chwalebnych. Przeżył pan, ponieważ nie wierzy w to, za co walczymy i za co zawsze będziemy walczyć. Oczywiście, pan w to został wciągnięty na początku, kiedy system był jeszcze nader niedoskonały. Obecnie nasz system poboru jest bardzo wybiórczy. Nie powołujemy już takich podejrzanych osobników jak pan.

– Tylko wykorzystujecie tych biedaków, którzy nie mają dość rozumu, żeby się w tym połapać, czy tak?

– Oczywiście. Przecież lepiej, żebyśmy nie mieli tych kretynów i entuzjastów. Dotyczy to również chłopaczków sterczących na rogach ulic i kryminalistów. A jeśli chodzi o kobiety, to tych idiotek od nadmiernego dziecioróbstwa. Genetycznie to bardzo słuszne.

– O Boże, o Boże! – jęknął Tristram. – Wszystko to cholerne, czyste szaleństwo.

– Ależ bynajmniej. Przecież pan wypełniał rozkazy. Wszyscy wypełniamy rozkazy. A rozkazy Departamentu Wojny ostatecznie wydawane są przez G.P.L.A.

– Mordercy! Kimkolwiek są.

– Och, nie. Chodzi o Globalne Władze Ograniczania Populacji. One nie wydają, rzecz jasna, konkretnie rozkazów w sensie wojskowym. Tylko przygotowują raporty o tym, jak populacja ma się do zasobów żywności: oczywiście zawsze w perspektywie przyszłości. A ich koncepcja zasobów żywności nie opiera się na starym, prymitywnym pojęciu koniecznego minimum: oni troszczą się o wysoki standart oraz margines bezpieczeństwa. Zresztą nie jestem ekonomistą, więc proszę mnie nie pytać, na czym polega ten margines.

– Na tym ja się znam – wyjaśnił Tristram. – Jestem historykiem.

– Ach tak? No, więc jak powiedziałem, należało albo pozostawić pana na stanowisku instruktora – i ktoś prędzej czy później dostanie w kość za to, że przeniósł pana do jednostek frontowych – albo... co to ja chciałem? Ach tak: w ogóle nie należało pana wcielać do wojska.

– Rozumiem, dlaczego pan to mówi – rzekł Tristram. – Bo teraz wiem za dużo, nieprawdaż? I zamierzam pisać, wyklądać, uświadamiać na temat waszej cynicznej, morderczej organizacji. To już nie jest państwo policyjne. Nie ma szpiclów, nie ma cenzury. Powiem całą cholerną prawdę. Zmuszę rząd do działania.

Major przyjął to obojętnie. W powolnym rytmie gładził się po nosie. – Mimo swojej nazwy – powiedział – Departament Wojny nie jest w ogóle agendą rządu. Jest korporacją. Nazwa „Departament Wojny” po prostu nawiązuje do tradycji. Korporacja działająca w oparciu o własny statut. Jej statut odnawia się bodajże co trzy lata. Nie sądzę, aby istniał choćby cień prawdopodobieństwa, że nie zostanie odnowiony. Bo czyż istnieje inny sposób na ograniczenie wzrostu populacji? Wskaźnik urodzeń w ubiegłym roku niebywale wzrósł i dalej rośnie. Nie ma w tym oczywiście nic złego. Zapobieganie ciąży jest okrutne i sprzeczne z naturą: każdy ma prawo się urodzić. Ale każdy też musi wcześniej czy później umrzeć. Nasze kategorie wieku poborowych okazują się coraz starsze; oczywiście mówię o tych grupach ludności, które są zdrowe i normalne psychicznie; motłoch niech się zaciąga, skoro tylko dorośnie. Każdy musi umrzeć, a historia zdaje się wskazywać – jest pan historykiem, więc zgodzi się pan ze mną – otóż historia zdaje się wskazywać, że śmierć żołnierska to najlepszy rodzaj śmierci. Przewadze strasznej wbrew, jak rzecze poeta, za prochy ojców swych, za bogów swych świątynie i tak dalej. Nie sądzę, aby pan znalazł przeciwników obecnego systemu. Departament Wojny jest po trosze jak prostytutka: oczyszcza społeczeństwo. Gdyby nie my, duża część plugastwa kipiałaby w tym państwie. Jesteśmy ta ostryga, z której rodzi się perła. Łotry, zbrojeńcy, kochający się w śmierci: nie chcemy ich w cywilizowanym społeczeństwie. Dopóki jest armia, nigdy nie będzie państwa policyjnego, nigdy więcej szaraków, gumowych pałek, śrub do miażdżenia palców ani plutonów egzekucyjnych o niemile wczesnej godzinie porannej. Rozwiązano resztę problemów ustroju politycznego. Teraz mamy wolne państwo: ład bez organizacji, czyli ład bez przemocy. Bezpieczne i przestronne społeczeństwo. Czysty dom pełen szczęśliwych ludzi. Ale w każdym domu oczywiście musi istnieć system kanalizacji. My nią jesteśmy.

– Nic tu się nie zgadza – rzekł Tristram. – Ale to nic.

– Czyżby? No cóż, kiedy pan wymyśli coś lepszego, proszę zajrzeć do nas i powiedzieć nam o tym.

Z odrobiną nadziei Tristram zapytał: – Czy uważa pan, że ludzie są zasadniczo dobrzy?

– No – rzekł major – teraz mają szansę być dobrzy.

– Właśnie – podkreślił Tristram. – A to znaczy, że niedługo już nastąpi powrót do liberalizmu.

A nie sądzę, żeby państwo pelagiańskie odnowiło wasz statut.

– Nie? – majora niezbyt to interesowało.

– Podpisujecie na siebie wyrok śmierci przez sam fakt swojego istnienia.

– To dla mnie trochę zbyt epigramatyczne – rzekł major. – Przyjemnie mi się z panem rozmawiało, ale naprawdę jestem dość zajęty. Właściwie powinien pan zdemobilizować się w trybie urzędowym. Ale ja podpiszę pańskie zwolnienie, jeśli pan sobie życzy, i dam panu zlecenie do działu rachunkowości. – Wziął się do ich wypisywania. – Odprawa po dwadzieścia gwinei za każdy miesiąc służby. Miesiąc *oficjalnego* płatnego urlopu w związku z demobilizacją. W porządku. Szczegóły już oni załatwią. I wypłacą w gotówce, skoro pan ma taki podejrzliwy charakter. – Uśmiechnął się. – Poza tym – dodał – proszę nie zapomnieć o zwróceniu tego pistoletu. – Tristram

przeżył szok widząc, że przez cały czas trzymał go wymierzony w majora. – A najlepiej proszę mi go już oddać. My aż tak nie lubimy przemocy. Strzela się w armii, a pan do niej już nie należy, *panie* Foxe. – Tristram posłusznie położył swój pistolet na biurku majora. Zrozumiał, że teraz już zastrzelić Derka byłoby niestosownością. – Czy są jeszcze jakieś pytania? – zapytał major.

– Tylko jedno. Co się robi z poległymi?

– Z poległymi? Aa, rozumiem, o co panu chodzi. Po śmierci żołnierza zabieramy jego książeczkę żołdu i wysyłamy list z kondolencjami do jego – albo jej, oczywiście – najbliższych krewnych. Od tej chwili Departament Wojny już za nic nie odpowiada. Sprawa przechodzi w ręce prywatnych przedsiębiorców. Widzi pan, nauczyliśmy się czegoś z przeszłości: kto nie marnuje, temu nie brakuje. A co robią z tym przedsiębiorcy, to wyłącznie ich sprawa. Ale pieniądze się przydają. Dzięki temu korporacja może funkcjonować. Bo widzi pan, my jesteśmy całkiem niezależni od skarbu państwa. I chyba możemy być z tego dumni. Jeszcze jakieś pytania? Tristram zamilkł.

– Dobrze. W takim razie wszystkiego najlepszego, stary. Teraz będziesz musiał rozejrzeć się za jakąś pracą. To chyba nie będzie trudne przy twoich kwalifikacjach.

– I doświadczeniu – dodał Tristram.

– No właśnie. – Major uśmiechnął się serdecznie, wstał i podał mu rękę.

### 3

Najbliższym metrem Tristram pojechał do Brighton, powtarzając sobie w rytmie wystukiwanym przez pociąg: – Cierpli wości, cierpli wości. – W tym słowie mieściło się dla niego tak wiele: cierpliwość różnej długości i wagi, o różnej długości wyczekiwania. Gdy spiętrzyło się wokół niego ze wszystkich stron Brighton, mózg jego zadygotał od wspomnień, od oczekiwań. Cierpliwości. Trzymaj się z daleka od morza, jeszcze przez krótki czas. Załatwiał wszystko jak należy.

Znalazł Departament Edukacji tam, gdzie się zawsze znajdował: przy Adkins Street, tuż koło Rostron Place. W sekcji uzgadniającej spotkania pracował, tak jak dawniej, Frank Gosport. Nawet poznał Tristrama. – Świetnie wyglądasz – powitał go – naprawdę świetnie. Jak po długich wakacjach. Co możemy dla ciebie zrobić? – Miły i zaokrąglony człowiek, promienny, o włosach jak kaczy puch.

– Szukam pracy – rzekł Tristram. – Dobrej pracy.

– Hm. Historia, prawda? Wychowanie obywatelskie i tym podobne?

– Masz doskonałą pamięć – pochwalił Tristram.

– Nie aż tak dobrą – odpowiedział Gosport. – Nie mogę sobie przypomnieć twego imienia. Derek? Nie, co ja wygaduję, nie może być Derek. Derek Foxe to sekretarz do spraw Koordynacji w Ministerstwie Płodności. Ależ oczywiście, to twój brat. Już sobie wszystko przypominam. Twoje imię zaczyna się na T. – Przycisnął guzik na ścianie; na przeciwległej ścianie, wypisane łagodnie ognistymi literami, pojawiły się szczegóły o wolnych posadach, klatka za klatką łagodnie ognistych liter. – Czy widzisz coś takiego, co by ci odpowiadało?

– Szkoła Unitarna (Męska) Londynu Południowego (Kanał) Rejon Czwarty – przeczytał Tristram. – Kto tam jest obecnie pryncypałem?

– Joscelyne. Tak jak dawniej. A wiesz, ożenił się z taką prawdziwą, starą siekierą bojową. To spryciarz. Podążył za falą.

– Jak mój brat Derek.

– Chyba tak. Coś ci tam odpowiada?

– Raczej nie. Za dużo niedobrych wspomnień. Ale wpadł mi w oko ten lektorat na Kolegium

Technicznym. Historia wojen. Chyba tego mógłbym się podjąć.

– To coś nowego. Prawie nie ma zgłoszeń. Wpisać twoją kandydaturę?

– Chyba tak.

– Mógłbyś zacząć z początkiem letniego semestru. Więc znasz się na wojnie? Mój syn właśnie dostał powołanie.

– Cieszy się z tego?

– To młody gbur. Ciągłe są z nim jakieś kłopoty. Może w wojsku trochę się opamięta. Dobrze. Zajrzyj kiedyś do tego Kolegium. Zdaje się, że mają piękny budynek i pryncypał jest bez zarzutu. Nazywa się Mather. Myślę, że się z nim dogadacie.

– To świetnie. Dziękuję.

Na Rostron Place Tristram znalazł agencję nieruchomości. Zaproponowano mu bardzo przyzwoite mieszkanie w Winthrop Mansions: dwie sypialnie, bywalnia połączona z jadalnią, spora kuchnia z lodówką, stereo tv, ścienny odtwarzacz dla *Dysku Codziennego* lub jego konkurentów. Obejrzał je i wynajął, podpisując normalną umowę i płacąc z góry za miesiąc. Po czym udał się na zakupy: wyposażenie kuchni, zapasy żywności (w nowych, prywatnych sklepach oferowano ją w niezłym asortymencie) oraz trochę bielizny, piżama i szlafrok.

A teraz. A teraz. A teraz. Z sercem bijącym i roztrzepotany niby ptak w papierowej torbie wyszedł, starając się nie śpieszyć, na promenadę. Tłumy ludzi w wiosennym słońcu, w świeżym morskim powietrzu, mewy skwirzące niczym basowy obój, kamienny majestat Siedziby Rządu. Ministerstwo Płodności z płaskorzeźbą pękającego jaja, z którego ukazują się młodzietkie skrzydła, i tablicą, na której wymieniono także *Wydziały Wyżywienia, Rolnictwa, Badań nad Rozplodem, Religii, Rytuału i Kultury Masowej*. Motto: WSZELKIE ŻYCIE TO JEDNOŚĆ. Przyglądając mu się z nerwowym uśmieszkiem Tristram doszedł do wniosku, że jednak nie zamierza tam wchodzić, bo nie ma do powiedzenia swojemu bratu nic takiego, co przyniosłoby jakiś pożytek. Po raz ostatni zleciał w dół na swojej huśtawce i przystopował, ryjąc piętami w ziemi. Bo zwycięstwo należało do niego, Tristrama, co wykaże dzisiejsze popołudnie. To, co jest najdroższą własnością jego, Tristrama, on, Tristram, odzyska przed upływem dziewięćdziesięciu minut, jeśli nie wcześniej. Nareszcie. Definitywnie. To jedyny rodzaj zwycięstwa, jaki był mu potrzebny.

Wysoko nad gmachem Siedziby Rządu spizowa postać w barokowo fałdzistej szacie, z barokową brodą, wpatrywała się w słońce w ten dzień bezwietrzny, a włosy i szaty jej rozwiewał barokowy wiatr z wyobraźni rzeźbiarza. Kto to jest? Augustyn? Pelagiusz? Chrystus? Szatan? Tristramowi wydało się, że dostrzega błysk różków we wzburzonej masie kamiennych włosów. Trzeba będzie poczekać, wszyscy będą musieli poczekać. Ale był nieomal pewien, że cykl znów się rozpocznie, że ta postać będzie znów głosić słońcu i chmurom nadmorskim ludzką zdolność urządzenia sobie dobrego życia, zbędność łaski, boskość zawartą w człowieku.

Pelagiusz, Morgan, Starzec Morski.

On zaczeka.

#### 4

– Morze – wyszeptała Beatrice Joanna – naucz nas wszystkich rozsądku. – Stała przy balustradzie promenady, a rozgulgotane puchate różowe bliźnięta tłukły się łagodnie w swoim wózku. Oto rozciągało się przed nią, wyposażone w szaleństwo, lamparcia skóra, płaszcz poprzebijany tysiącami tysięcy słonecznych bożków, hydra absolutna, pijane swym własnym niebieskim mięsem, gryzące się we własny rozmigotany ogon w zgiełku jak milczenie. – Morze, morze, morze.

Za morzem Robert Starling, były premier Wielkiej Brytanii i przewodniczący Rady Premierów Związku Anglojęzycznego, w swojej śródziemnomorskiej willi, w otoczeniu swych słodkich chłoptasiów, delikatnie podjadając, sącząc sok owocowy, z umieszczonymi w górze nogami czytając klasyków, subtelnie obmyślał kres swojego wygnania. Na innych brzegach morza talasografowie szykowali się do zamachów na niezgłębione, zielone bogactwa za pomocą nowych urządzeń, sprytnych mierników. Nietknięte życie czaiło się w głębi, odległe o kilometry, o mile, wiorsty i sążnie.

– Morze, morze.

Modliła się o kogoś i modlitwy jej natychmiast wysłuchano, lecz odpowiedź nie przyszła z morza. Przyszła z cieplejszego kraju, leżącego poza nią. Łagodna dłoń na jej ramieniu. Odwróciła się, zaskoczona. A potem, po chwili oniemiałego szoku, ciągle nie miała na to słów, tylko łzy. Przylgnęła do niego, olbrzymie powietrze, życiodajne morze, przyszła historia ludzkości w głębinach, piętrzące się dzisiaj miasto, brodacz na szczycie, wszystko to znikło w ciepłe jego obecności, w bliskości jego uścisku. Stał się morzem, słońcem i wieżą. Bliźnięta gulgotały. Ciągle brak słów.

Wiatr się zrywa... musimy starać się żyć. Niezmierzone powietrze otwiera się i zamyka moją książkę. Fala, rozbita w pył, waży się uderzać i roztrącać o skały. Odlatujcie precz, oszołomione, olśnione stronice. Rozbryzgajcie się, fale. Bryzgajcie radosną wodą...



## POSŁOWIE AUTORA

Powieść ta ukazała się jesienią 1962 roku, w parze z moim drugim utworem z gatunku beletrystyki przyszłościowej, który ukazał się wiosną tegoż roku, czyli *Mechaniczną pomarańczą* (tłumaczoną też jako *Nakręcana* lub *Sprężynowa*). Pomarańcza ta została wyciśnięta z moich pełnych przerażenia obserwacji zachowania młodzieży angielskiej, które okazało się dla mnie nowe i dziwne. W roku 1954 porzuciłem Wielką Brytanię, cierpiącą na różne niedostatki, ażeby spędzać bardzo pracowite, lecz stosunkowo nie najgorzej wynagradzane życie w Federacji Malajskiej. Kiedy powróciłem na dobre do Anglii (a przynajmniej taki był mój zamiar) w 1959 roku, poczułem się niemal jak cudzoziemiec w kraju niby to pławiącym się w dobrobycie, a także zalanym telewizją i rodzącym się kultem młodzieży. Podczas gdy tematem *Pomarańczy* była przemoc młodzieżowa, łącząca się z potwierdzeniem konieczności zła w świecie, wciąż jeszcze ożywianym przez prawo moralnego wyboru, jej powieściowy odpowiednik dotyczył zjawiska, które uświadomiłem sobie żyjąc na Wschodzie: eksplozja zaludnienia i kurczenie się światowych zasobów żywności. *Rozpustne nasienie* usiłuje pokazać, jak może wyglądać Anglia, gdyby weszła na tę drogę rozwoju co Indie. Odpowiedzią na perspektywy przeludnienia i głodu może się okazać kultura sprzyjająca bezpłodności przez popieranie homoseksualizmu i nagradzanie kastrujących się. Jednakże – podpowiedział mi nie godzący się na to instynkt – natura może zareagować na ludzką bezpłodność własnymi rodzajami bezpłodności, tak iż rozwiązanie problemu zaludnienia może się okazać nawet bardziej bezlitosne i bardziej logiczne.

Podczas gdy teologiczne motto *Pomarańczy* brzmi: „Musimy mieć wolność dokonywania wyborów moralnych”, motto *Rozpustnego nasienia* brzmi: „Każdy ma prawo się urodzić.” Oba twierdzenia są tradycyjnie chrześcijańskie, a ściślej mówiąc katolickie. Model historii przedstawiony w tej książce opiera się na konflikcie dwóch odmian wiary chrześcijańskiej: augustiańskiej i pelagiańskiej. Święty Augustyn nauczał, że człowiek rodzi się w grzechu pierwotnym, a brytyjski mnich Pelagiusz tej doktrynie zaprzeczył. Pesymizm na temat człowieka przeciwstawia się promiennemu optymizmowi. W kategoriach politycznych jest to przeciwstawienie konserwatyzmu liberalizmowi oraz jego późniejszej wersji, czyli socjalizmowi. Historia społeczna toczy się cyklicznie, jak mój bohater Tristram Foxe uczy swe przepelnione klasy w przyszłej szkole. Pesymistyczny konserwatyzm, spodziewający się po człowieku wszystkiego, co najgorsze, nie zawsze musi przegrywać, więc modyfikuje się go w kierunku optymistycznego socjalizmu. Lecz ta ostatnia wiara, oczekująca od człowieka wszystkiego, co najlepsze, zwykła przynosić rozczarowanie, a rozczarowanie wyraża się we wzmożonych rygorach rządowych, te zaś kończą się na całkowitej tyranii (wiele tyrańskich rządów określało się jako socjalistyczne). Lecz tyrania kończy się rewolucją i powrotem do filozofii augustiańskiej: Gusfaza, Pelfaza, Interfaza w nieustającym walcu, jak ujął to Tristram Foxe, wciąż obracające się w kółko.

Książka zaczyna się z początkiem Interfazy, kiedy rząd brytyjski podejmuje drakońskie kroki – aż do takich jak Policja Populacyjna czyli Polpop – dla kontrolowania urodzeń i racjonowania żywności. Ale naród buntuje się i rozwiązuje ten wielki problem na drodze ludożerstwa, usprawiedliwiając to jako powrót to sakramentalnego chrześcijaństwa: nazywając wręcz ludożerstwo „pożywaniem eucharystycznym”. Kiedy przywrócony zostaje porządek i system konserwatywny, dochodzi do zracjonalizowania kanibalistycznej innowacji w postaci zorganizowanej wojny: mężczyźni przeciw kobietom, a trupy przerabia się na puszkowane białko w konserwach dla supermarketów. Tylko że, jak odgaduje Tristram Foxe, nie może to przetrwać raz na zawsze. Dojdzie do interwencji liberalizmu, życie ludzkie znów będzie uznane za święte i rozpocznie

się kolejna Pelfaza.

Dwadzieścia lat temu potraktowano tę książkę jako lekką, chociaż ponurą, komedię i nikt nie uznałby na serio, że ludożerstwo może być rozwiązaniem światowych problemów przeludnienia i głodu. Mówiło się, że ludzkie mięso jest w ogóle trujące. Później nastąpiła katastrofa samolotu w Andach i najsilniejsi przeżyli jedząc swych towarzyszy. Po zbadaniu tych, co przeżyli, okazało się, że są dobrze odżywieni, tylko cierpią na okropne zatwardzenie. Uważam za możliwe, że pewnego dnia znajdziemy w naszych marketach konserwy mięsne z napisem *Mench* albo *Munch*, zawierające ludzkie mięso doprawione azotynem sodu, i że hasło „Każdy ma prawo się urodzić” zostanie uzupełnione hasłem „Nikt nie ma prawa do życia”. To ostatnie wydaje mi się prawdziwe, jako że, urodziwszy się, nie możemy już określić ilościowo, ile nam tego życia przypadło (niektórzy umierają w wieku lat osiemnastu, inni osiemdziesięciu: i nie ma co wykrzykiwać z tego powodu o niesprawiedliwości). A mężczyźni i kobiety walczący w sprawiedliwej wojnie (przecież wojna o zapewnienie zasobów żywności jest niewątpliwie sprawiedliwa) nie mają powodu do pretensji, że są w niej zabijani: w końcu ich prawo do urodzenia się zostało respektowane. Aborcja i kontrola urodzeń to straszliwe grzechy; można więc pojąć, że zastrzelić nienaturalnego wroga to grzech do wybaczenia.

Książka ta ujawnia w wielu pomniejszych szczegółach, że napisano ją dziesiątki lat temu. Nie wszedł jeszcze dziesiętny system monetarny i nie wierzyłem, aby mogło to kiedykolwiek nastąpić. Podobały mi się takie monety jak siódmaki, szóstaki, dziesiątaki czy nawet półkoronówki. Te ostatnie, kto chce, może traktować jako dzisiejszy funt po ciężkiej inflacji, albo przyjąć, że czterdzieści takich to w urzędowej terminologii funciak. Niektóre ze wspomnianych przez mnie państw afrykańskich pozmiały swe nazwy, ale nie ma powodu sądzić, że w dalszej przyszłości nie wrócą do poprzednich. W każdym razie jest to nie tyle przyszłość, co hipotetyczna projekcja w jakiś niemożliwy czas pewnych procesów historycznych, które uważam za jak najbardziej możliwe.

Świat *Pomarańczy* traktowałem jako rzeczywistą przyszłość (gdzieś około 1972 roku) i już po dwudziestu latach stał się przeszłością. Nie mogę przewidzieć, czy wysoce schematyczny świat *Rozpustnego nasienia* narodzi się kiedykolwiek, ale wydaje mi się, że niektóre z jego aspektów – na przykład gloryfikacja homoseksualizmu – już są rzeczywistością. Tytuł, jak zaznaczyłem na początku książki, wywodzi się ze starej angielskiej pieśni ludowej, gdzie *wanting* „brakujące, wybrakowane” albo nawet „jałowe” pomieszało się z *wanton* „rozpustne” czy „rozwiązłe”. Taka wieloznaczność jak najbardziej pasuje do mojej książki.

*Monaco w maju 1982*

*A.B.*

## PRZYPISY

Ograniczone do najbardziej koniecznych i tych, których brak mógłby spowodować istotne luki w rozumieniu treści. Pominięto m.in. autorskie i przyszłościowe neologizmy, które muszą się same tłumaczyć, oraz liczne nazwy miejscowości, które zainteresowany czytelnik może znaleźć w atlasie. Doktryny pelagiańska i augustiańska są elementarnie objaśnione w tekście, poza tym warto sięgnąć do tego, co powiedziano na ich temat w ukazującej się równolegle książce Anthony Burgessa *Rok 1985*. Nasuwa się podejrzenie, że mnóstwo lub większość przypadkowych na pozór nazwisk, występujących w tekście, to złośliwe, a co najmniej dowcipne aluzje do różnych znanych postaci, zwłaszcza autorów, którym pozmieniano tylko imiona, może również do prywatnych znajomych Burgessa. Oczywistym i skrajnym przypadkiem jest np. kapitan Auden-Isherwood. Tych aluzji nie komentuje się, a wielu zapewne nie dałoby się odtworzyć.

*akusza*: z irl. *a cuisle* „kochanie” itp. Pieszczotliwa odżywka, często wtrącana przez Irlandczyków nawet mówiących po angielsku.

*Angst*: niem. trwoga.

*artuński*: chodzi o legendarnego króla Artura.

*Beatrice*: kto chce, niech wymawia np. *beatrycze*. Po angielsku wymawia się [‘bietris] z akcentem na pierwszym *i*. Taka wymowa byłaby zalecana ze względu na umyślne mieszanie języków. Jej dwa imiona mogą się w sposób wyrafinowanie dwuznaczny kojarzyć z bohaterką Dantego i Joanną d’Arc np. z eposu Woltera.

*Bing Boys*: tak nazywano w I wojnie światowej walczące w Europie oddziały kanadyjskie, którymi dowodził Lord Byng of Vimy.

*Blighty*: Anglia w żołnierskim żargonie z I wojny światowej.

*bonne bouche*: fr. przysmak, deser.

*Brighton*: nadmorskie miasto i kąpielisko, położone obecnie ok. 50 km na południe od granic Londynu.

*Ci*: najniższa kategoria wojskowa.

*calmamente* i *calmo*: wł. spokojnie.

*ceilidh*: irl. wym. *kejli*. Przyjacielska wizyta albo wieczorek z muzyką.

*Chester*: starożytna historia i nazwa tego miasta wywodzą się z łacińskiego *castrum* „obóz wojskowy”.

*Ciotka Sally*: jedna z typowych zabaw jarmarcznych. Głowa na drągu albo drewniana kobieta, zwykle z fajką w ustach. Rzuca się w nią kijami albo piłkami, żeby ją przewrócić lub utracić jej fajkę.

*Dazhongguo*: wym. trójsylabowo *da-dżong-guo* Wielkie Chiny. To pojęcie, budzące nieraz kontrowersje, używane bywa obecnie w trzech znaczeniach: politycznym, językowym i etnicznym. W pierwszym obejmuje m.in. Taiwan, w drugim kraje będące pod wpływem konfucjanizmu, więc aż do Wietnamu i Korei włącznie, a w trzecim wszystkie kraje świata, gdzie istnieje znacząca diaspora chińska.

*Dh Wks v Wlym Shkspr*: Dzieła Williama Szekspira.

*Diandria*: rodzaj botaniczny, w którym komórka żeńska wymaga zapłodnienia przez dwie męskie.

*Dunlop*: wynalazca opon pneumatycznych i założyciel wielkiej firmy wytwarzającej ogumienie.

*Dzięki Bogu...* itd. Patrz *Lecz gdybym zginął...* itd.

*egzofagia*: spożywanie osobników spoza własnej wspólnoty.

*ennui*: fr. smutek, nuda, melancholia itp.

*fatyczny*: określenie tych funkcji języka, które służą nie przekazywaniu informacji, lecz jako sygnał kontaktu.

*fucked off*: wym. *faktof*. Z ang. spierdalać.

*gnadensztos*: z niem. *Gnadenstoß* i fr. *coup de grâce*, dosłownie „cios łaski” dobijający przeciwnika, żeby się nie męczył.

*G.P.L.A.*: skrót od *Global Population Limitation Authority*: Globalne Władze Ograniczania Populacji.

*grand hauteur*: fr. dumna wyniosłość.

*Guoyu*: chin. język narodowy, wym. *guo-jü*. Tak określa się urzędowy język chiński w ujednoliconej wymowie.

*Nic est enim corpus...* itd. Formuła konsekracji: łac. To jest bowiem ciało... To jest bowiem kielich krwi...

*/ wtedy kogut zapiał. Oto moja krew*: cytaty z ewangelii. Pierwszy dotyczy zaparcia się Jezusa przez Piotra.

*Introibo ad altare Dei*: łac. Przystąpię do ołtarza Boga. Fragment z ministrantury.

*ityfaliczny*: z olbrzymim fallusem w stanie erekcji.

*J.E.* Jego Ekscelencja. Tytuł ten zastępuje niektóre inne, typowo angielskie i w praktyce nieprzetłumaczalne.

*J.K.M.* Jego (albo Jej) Królewska Mość.

*Kitchener*: znakomity wódz brytyjski Lord Horatio Herbert Kitchener (1850-1916) był m.in. naczelnym dowódcą w Indiach i Egipcie, zwyciężył mahdystów w Sudanie i Burów w Afryce Południowej, w I wojnie światowej był ministrem wojny Wielkiej Brytanii.

*klibord*: z ang. *clipboard*, co oznacza powszechnie znaną podkładkę do papierów ze sprężynującym klipsem u góry, który je przytrzymuje. Wyraz pilnie potrzebny w języku polskim.

*kot z Cheshire*: występuje w *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla. Kiedy znika, pozostają na koniec widoczne tylko zęby.

*Królewski Pokój*: czyli King's Peace. Praworzędność i nietykalność jako zasada ustrojowa Wielkiej Brytanii.

*Księga męczenników*: potocznie nazywa się tak ogromne dzieło pt. *Actes and Monuments* z XVI wieku, wydane po łacinie i niebawem też po angielsku, będące niezbyt wiarygodną, lecz żywą historią chrześcijaństwa ze szczególnym uwzględnieniem cierpień jego męczenników, a zwłaszcza protestantów prześladowanych przez katolickich papistów. Jego autorem był bezkompromisowy kapłan i autor religijny John Foxe.

*Las Birnamski*: zamaskowane gałęziami wojska, które w tragedii Szekspira podchodzą pod zamek Makbeta.

*Lecz gdybym zginął...* itd. Dwa pierwsze cytaty (oraz kolejny na początku rozdziału 7 części piątej) pochodzą z cyklu słynnych wierszy żołnierskich, które napisał Rupert Brooke (1887-1915), młody i obiecujący poeta, który stracił życie w I wojnie światowej. Autorem trzeciego cytatu jest Henry John Newbolt (1861-1938), znany głównie z ballad o wojennej tematyce morskiej.

*Loos*: małe miasto w północnej Francji, wokół którego w 1915 roku toczyły się ciężkie walki między wojskami niemieckimi z jednej strony, a francuskimi i angielskimi z drugiej.

*maszeruje wciąż jego duch*: z nadzwyczaj popularnej pieśni amerykańskiej *John Brown* o bohaterze narodowym, powieszonym za walkę o zniesienie niewolnictwa.

*Mench* albo *Munch*: zmyślone przez autora wyrazy kojarzące się z niem. *Mensch* „człowiek” i ang. *munch* „żuć”.

*morwa, jabłka, orzechy*: charakterystyczne motywy z angielskich piosenek ludowych o symbolicznej treści, przeważnie swawolnej lub obscenicznej.

*napoo*: już po wszystkim, śmierć, koniec. Wyraz typowy dla żołnierskiego żargonu z 1 wojny światowej, wywodzący się z francuskiego *il n y en a plus*: już nie ma.

*Njal*: bohater jednej ze słynnych sag islandzkich, spalony w swoim domu wskutek waśni rodowej.

*noosfera*: sfera rozumnej działalności ludzkiej.

*Nuneaton*: miasto leżące obecnie jakieś 100 km na północny zachód od Londynu.

*Ockham*: aluzja do Williama Ockhama, filozofa z XIV wieku, który sformułował słynny postulat zwany *brzytwą Ockhama*: bytów nie należy mnożyć ponad potrzebę. Czyli: fakty trzeba wyjaśniać jak najprościej, eliminując zbędne słowa, pojęcia i aksjomaty.

*ogniki elfów*: występujące m.in. na czubkach drzew i gałęzek słabe wyładowania elektryczności statycznej, od których niekiedy zapalają się substancje eteryczne uchodzące z pąków.

*Origenes*: znakomity filozof i ojciec Kościoła, który się ze względów moralnych wykastrował.

*Pease Pottage*: nazwa stacji kojarząca się z *peas potage* „gęsta grochówka”.

*priapiczny*: tu mniej więcej tyle co ityfaliczny.

*Quetzalcoatl*: wym. Kecalkoatl. Najwyższy bóg prekolumbijskich Indian z Ameryki Środkowej, zwłaszcza Azteków, w postaci upierzonego węża. Składano mu nadzwyczaj okrutne ofiary z ludzi.

*Shandy*: chodzi o Tristrama Shandy, tytułowego bohatera powieści, której autorem jest genialny pisarz Laurence Sterne (1713-1768) i po którym wziął imię Tristram Foxe, tak jak nazwisko wziął zapewne od autora *Księgi męczenników*. Jego matka, wspomniana tu jako pani Shandy, rodziła bohatera w skomplikowanych okolicznościach, kojarzących się na wiele sposobów ze szczegółami *Rozpustnego nasienia*. Nadzwyczaj wyrafinowana technika zawiłych i splecionych dygresji w powieści Sterne'a sprawia, że trudno je streścić.

*shu ren*: wym. *szu żen*.

*Spuścić kurtynę...* itd. Nie jest pewne, czy te ostatnie słowa wygłosił Rabelais, ale jemu są przypisywane. W oryginale: *Tirez le rideau, la farce est jouée*.

*Przewadze strasznej wbrew...* itd. Z poematu *Horatius*, który napisał Thomas Babington Macaulay (1800-1859).

*Quia peccavi nimis...* itd. Urywki z łac. modlitwy *Spowiedź powszechna*: Bo zgrzeszyłem bardzo... Gdyż dotychczas... Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

*Sheek*: niby angielska, w rzeczywistości nie istniejąca wersja francuskiego wyrazu *chic* tzn. szyk. Shelley Percy Bysshe (1792-1822): sława młodo zmarłego poety jako romantyka zatarła w potocznej świadomości fakt, że był on w 1811 roku współautorem broszury o *Potrzebie ateizmu*. Napisany w rok później poemat *Queen Mab*, wyprowadzony z mitologii irlandzkiej i naukowego racjonalizmu tych czasów, zakazany przez cenzurę i ścigany sądownie, przyniósł poecie sławę czołowego bezbożnika i stał się klasycznym tekstem radykalnego liberalizmu.

*sufflaminandus*: łac. domagający się powściągnięcia.

*tre corde... una corda*: wł. trzy struny albo sznury. I następnie: jedna struna albo sznur.

*Upaniszady*: zaliczają się do podstawowych tekstów starożytnej filozofii indyjskiej. W poemacie T.S. Eliota *Ziemia jałowa* i gdzie indziej u Burgessa powtarza się z nich sanskrycki cytat, złożony z trzech wyrazów na *da*, przekazujących wypowiedź gromu.

*Vogue la galere!* Też cytat z Rabelego, który stał się powiedzonkiem międzynarodowym w

znaczeniu: niech się dzieje, co chce! Będzie, co ma być! itp. Dosłownie: niechaj płynie galera, czyli pierwotnie: odcumować ją i postawić żagle.

*war*: ang. wojna. Nieprzetłumaczalny efekt polega na tym, że wymowa [wO:] czyli coś w rodzaju: *uoo!* daje się bardzo łatwo skojarzyć z odgłosami chrapania, ziewania, z krzykiem noworodka itd.

*wikary z Bray*: na wpół legendarny XVI-wieczny przysłowiowy oportunistą ze wsi o tej nazwie w hrabstwie Berkshire. Zależnie od tego, jaką religię wyznawali panujący, przechodził czterokrotnie z protestantyzmu na katolicyzm i na odwrót.

*Yingguo hua wo bu dong*: chiń. nie rozumiem po angielsku.

*Zagrajcie, trąbki...* itd. Patrz *Lecz gdybym zginął...* itd.

*Zdrada klerków*: w oryginale *La Trahison des clercs*. Julien Benda zasłynął w 1927 roku z tej książki, której tytuł (po polsku niedokładnie przetłumaczony) stał się porzekadłem. Chodzi o to, że intelektualiści, którzy powinni zajmować się pięknem i prawdą, zdradzili lud pracujący, wdając się w podejrzane układy i kombinacje polityczne.

*Złota gałąź*: fundamentalne 12-tomowe dzieło o magicznej genezie religii, którego autorem jest James George Frazer.

# Spis treści

<a href="#"><u>CZEŚĆ PIERWSZA..</u></a>	<a href="#"><u>3</u></a>
<a href="#"><u>CZEŚĆ DRUGA..</u></a>	<a href="#"><u>37</u></a>
<a href="#"><u>CZEŚĆ TRZECIA..</u></a>	<a href="#"><u>69</u></a>
<a href="#"><u>CZEŚĆ CZWARTA..</u></a>	<a href="#"><u>102</u></a>
<a href="#"><u>CZEŚĆ PIĄTA..</u></a>	<a href="#"><u>135</u></a>
<a href="#"><u>EPILOG..</u></a>	<a href="#"><u>168</u></a>
<a href="#"><u>POSŁOWIE AUTORA..</u></a>	<a href="#"><u>179</u></a>
<a href="#"><u>PRZYPISY..</u></a>	<a href="#"><u>182</u></a>